

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Cena 7 zł (w tym 5% VAT)

KRAKÓW

www.miesiecznik.krakow.pl

Nr 06 (187) Czerwiec 2020



Śmierć planety i ekologia

Michał Jasiński: Ekokatechizm na wiek XXI

Haiku i zen

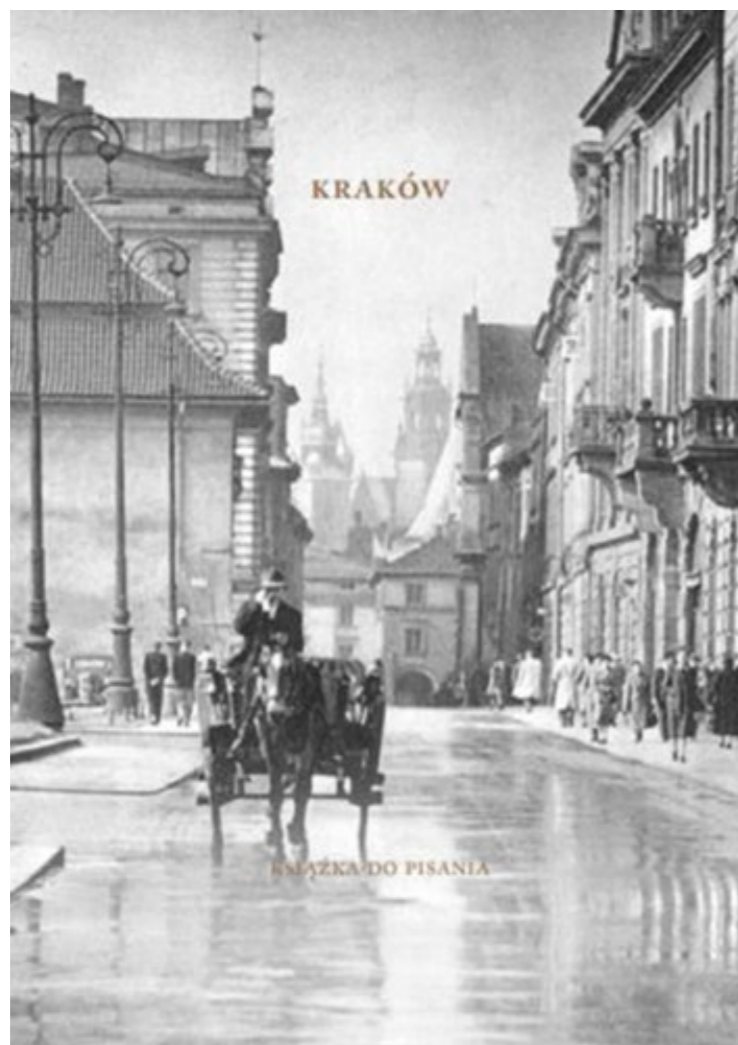
24 godziny z życia lekarza



9 771733 045002 06

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Wstęp do Klubu nie wychodząc z domu.



KLUB
PRZYJACIÓŁ
MIESIĘCZNIKA

KRAKÓW

- a otrzymasz jedną z książek związaną z naszymi autorami! *

Wpłać 140 zł (osoby) lub 500 zł (firmy), a otrzymasz upominki związane z pismem i przez cały rok będziemy w piśmie zamieszczać logotyp **Twojej firmy lub Twój podpis**. Oczywiście członkowie Klubu **otrzymują** miesięcznik w wersji papierowej oraz elektronicznej!

Wpłaty prosimy dokonywać na konto (z dopiskiem KLUB PRZYJACIÓŁ „KRAKOWA”):

BIBLIOTEKA KRAKÓW

pl. J. Nowaka-Jeziorańskiego 3

31-154 Kraków

nr konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528

więcej informacji:

www.Miesiecznik.Krakow.pl/zakladka:

Klub Przyjaciół „Krakowa”

email: redakcja@Biblioteka.Krakow.pl

*Oferta ważna do wyczerpania zapasów

„Kraków” – miasto inaczej

zaczynamy się
w Krakowie
KRAKÓW
MIESIĘCZNIK



Ilustracja: © Wikimedia Commons.

Drzeworyt nieznanego autora, po raz pierwszy opublikowany przez XIX-wiecznego francuskiego astronoma Camille'a Flammariona, ukazuje wędrowca, który dotarł do styku Ziemi i Nieba i nareszcie ma szansę poznać prawdziwy mechanizm napędzający zjawiska przyrody nieożywionej i ożywionej. Pandemia koronawirusa uświadamia, że znajomość praw przyrody jest kluczowa, aby móc znaleźć sobie miejsce na świecie. **Michał Jasiński proponuje zatem Nasz ekokatechizm na wiek XXI.**

Nasz ekokatechizm na wiek XXI

Tekst: Michał Jasieński

W tym trudnym dla ludzkości okresie pandemii i globalnych zmian klimatycznych przyjmijmy nowy katechizm na XXI wiek, pamiętając, że to greckie słowo *κατηχητικός* (katichtikós) oznacza po prostu „nauczanie”.

Oto siedem darów przyrody, które uzupełniają i udoskonalają te cnoty, z którymi przyszlismy na świat i które wynieśliśmy z domu. Otrzymujemy od przyrody:

- Dar Mądrości, dzięki któremu rozumiemy, że miłość do przyrody jest także miłością do ludzi.
- Dar Rozumu, dzięki któremu możemy rozumieć prawdy płynące z badań naukowych.
- Dar Rady, dzięki któremu, opierając się na rozumieniu świata i motywów postępowania innych ludzi, możemy podejmować właściwe decyzje.
- Dar Dzielności, dzięki któremu możemy bronić wartości tolerancji i wrażliwości dla innych ludzi, gotowi wypełniać wobec nich więcej niż tylko siedem głównych uczynków miłosierdzia (nakarm głodnych, napój spragnionych, daj schronienie nieznanym, odziej nagich, odwiedź chorych, dbaj o więźniów i pochowaj zmarłych).
- Dar Umiejętności, dzięki któremu umiemy dostrzegać w świecie porządek wynikający z praw przyrody, aczkolwiek często nie jest to łatwe.
- Dar Ufności, dzięki któremu odważamy się obdarzać zaufaniem naszą społeczność i obcych ludzi żyjących poza nią.
- Dar Nadziei, dzięki któremu wiemy, że warto doskonalić relacje z przyrodą i ludźmi, ponieważ przyroda jest cierpliwa i umie wrócić do zdrowia, którego ją pozbawiamy, a ludzie – potrafią i chcą wybaczać.

*

Pewne zjawiska toczą się, czy podoba się to nam czy nie, niezależnie od tego, czy chcemy gwałtem zmusić przyrodę do posłuszeństwa naszym planom, czy też raczej uważamy, że jej dobrostan zasługuje na szacunek. Zależności w przyrodzie są na ogół bardzo skomplikowane i czasami udaje się nam zrozumieć ich logikę, jak, na przykład, związek pomiędzy fazami Księżyca a przypływami oceanów. Pandemia koronawirusa też ma swoją logikę.

Dynamika przebiegu pandemii daje się opisać modelami matematycznymi, które uwzględniają wiele czynników, takich jak długość okresu inkubacji wirusa zanim osoba zarażona zacznie zarażać innych, przeciętną liczbę kontaktów między ludźmi w ciągu dnia, w jaki sposób można się wirusem zarazić (na przykład drogą kropelkową, w przypadku koronawirusa) itd. Na dynamikę rozprzestrzeniania się pandemii ma wpływ nasza determinacja w ograniczaniu kontaktów i w przestrzeganiu kwarantanny. Nawet jeżeli uda się nam osłabić jej tempo, nie zmienia to logiki pandemii i potrzeby zrozumienia tego zjawiska.

*

Nasz stosunek do przyrody ilustruje z bezwzględną precyzją siedem grzechów głównych, które tu przy-

wołam, aby wysłać mój przekaz w sposób zrozumiały.

Pycha

Czujemy się lepsi. Uważamy, że wiemy lepiej, że nie potrzebujemy opinii lekarzy, epidemiologów, ekologów i klimatologów. Podejrzewamy ich o własne ułomności, czyli o to, że wszystko, co mówią, napędzane jest przez doraźny interes prywatny albo polityczny. Zarozumiale nie wierzymy także w demokratyczny proces i robimy wszystko, z pogardą łamiąc prawo i dobre obyczaje, żeby racja była po naszej stronie, nawet kosztem zdrowia ludzkiego.

Uważamy, że mamy prawo czynić sobie przyrodę poddaną. Zapominamy, że nie jesteśmy właścicielami tego świata, tylko jego depozytariuszami. Nie odziedziczyliśmy go od przodków, lecz pożyczaliśmy go od naszych dzieci, jak ktoś mądrze powiedział. Nawet gdyby przodkowie przekazali nam świat w spadku, dając do dysponowania nim wszelkie plenipotencje, nietaktem byłoby świat ten dewastować. Nasze dzieci, którym przyjdzie w nim żyć, nie dały nam żadnych uprawnień do zachowywania się w tym świecie jak polscy leśnicy z harwesterami w Puszczy Białowieskiej.

Chciwość

Podpalamy stosy z toksycznymi odpadami, bo tak jest taniej, niż stosować właściwe procedury utylizacji takich odpadów. Stłaczamy kurczęta tysiącami w ciasnych klatkach i karmimy je paszą zrobioną z dziobów i pazurów ich własnych pobratymców, aby wypełnić wymogi rachunku ekonomicznego i uzyskać opłacalność. Z chciwości przekraczamy granice przyzwoitego zysku w błędnym przekonaniu, że rynek ma zawsze rację i skoro jest popyt, to cena może rosnąć w nieskończoność. Zapominamy, że jeżeli popyt wynika z rozpaczliwej konieczności chwytania się wszelkich możliwych środków, żeby uchronić się przed zachorowaniem na COVID-19, to sprzedawanie maseczek, rękawiczek i płynu do odkażania z wielesetprocentowym zyskiem jest niegodne.

Lenistwo

Z lenistwa wypalamy łąki (zamiast je pracowicie kosić), powodując hekatombę żywych stworzeń zamieszkujących wśród traw. Z lenistwa nie dbamy o to, aby porządnie segregować śmieci. Zaledwie 34 proc. odpadów komunalnych w Polsce jest recyklowane, w porównaniu z 68 proc. w bogatych Niemczech. Recyklujemy 58 proc. opakowań, a w Belgii – aż 82 proc. Dlaczego im się chce, a nam się nie chce? Butelka plastikowa, wyrzucona na śmietnik, na wysypisku

rozkłada się przez 450 lat! Szklana butelka – przez milion lat! Piankowy kubeczek na napoje – przez 50 lat. Styropian – nigdy! Powtarzam – nie rozpadnie się w ogóle.

Z lenistwa intelektualnego szukamy tematów zastępczych dla wszystkiego, co ważne i wymagające wiedzy oraz umiejętności. Lubujemy się w tworzeniu teorii spiskowych, rewidowaniu historii i innych tematach zastępczych, bo jest to łatwe – każdy może się w tym czuć ekspertem. Wystarczy po prostu wyrazić opinię, a to, że jest wyssana z palca, nie ma znaczenia. Całe nasze życie polityczne w końcu na tym, niestety, polega.

Każdy może zacząć ruch antyszczepionkowy, wmawiając podobnym sobie, że za szczepieniami stoi spisek pazernych firm farmaceutycznych. Każdy może zacząć nowy kult i każdy może założyć nowy związek wyznaniowy. Wystarczy trochę charyzmy i trochę rozczarowania stanem obecnym wśród ludzi, podsycanego fake newsami.

Natomiast budowanie czegoś z niczego, co robią artyści, naukowcy, inżynierowie i przedsiębiorcy, jest trudne. Wymaga wiedzy teoretycznej, umiejętności praktycznych, dyscypliny i zaangażowania. Wyleczenie człowieka też jest trudne – wymaga na dodatek odwagi i wielkiego poczucia odpowiedzialności.

Nieczystość

Widzimy nieczystość i zarazki w ciałach uchodźców, ale sami wyrzucamy śmieci do potoku, opony do lasu, zużyte baterie do kosza, wylewamy toksyczną chemię budowlaną do rynsztoka albo palimy lakierowanymi meblami w piecu.

Nie dbamy nawet o to, aby udawać, że przestrzegamy wymaganych przez zdrowie publiczne i przepisy stanu epidemii reguł izolowania się od innych ludzi. Jak bezmyślnie cielęta tłoczmy się w marketach budowlanych, narażając siebie i innych na roznoszenie koronawirusa, aby tylko ktoś przez moment nie nudził się w domu, skoro może piłować i wkręcać. Roznosząc wirusową niewidzialną nieczystość, przynosimy cierpienie lub śmierć innym.

Łakomstwo

Jemy, co popadnie, bez żadnego uważania. Nie chcemy wiedzieć, że wyprodukowanie kilograma wołowiny wymaga zużycia aż 16 000 litrów wody. Kilogram wieprzowiny potrzebuje tylko 6000 litrów, ale jest to i tak ponad dwa razy więcej niż zużycie wody potrzebne na otrzymanie kilograma ryżu. Aby uzyskać litr mleka krowiego używamy ponad 1000 litrów wody, podczas gdy produkcja litra mleka sojowego wymaga tylko 300 litrów wody. Sami zaś rozchlapujemy dziennie ponad 200 litrów wody na osobę, aby dobrze zjeść i pięknie pachnieć, popijając kieliszek wina, do którego produkcji zużyto ponad 100 litrów wody. Udajemy, że nie słyszeliśmy o etiopskich kobietach, które muszą iść dziennie trzy godziny, aby w starych plastikowych baniakach przynieść do domu wodę do picia.

Zazdrość

Zazdrościmy bogatym krajom Europy Zachodniej ich komfortu i bogactwa. Chcemy żyć tak samo. Mało

tęgo – chcemy mieć więcej i lepiej niż inni. Uważamy, że historia potraktowała ich lepiej niż nasz kraj i że wszelkie ograniczenia, których nałożenie jest cechą nowoczesnych albo oświeconych społeczeństw, nas nie obowiązują.

Zazdrościmy też sobie nawzajem. Wieś zazdrości miastu wygody, a miasto wsi – taniego KRUS-u i świeżego powietrza. Prostacy zazdroszą wykształciuchom ogłady, a pretensjonalny salon zazdrości prostakom wolności od konwenansów.

Gniew

Ci, którzy starają się przywołać nas do opamiętania i do życia w zgodzie z naszą planetą, budzą w nas niechęć. Nazywamy ich sposób myślenia „ekologizmem” i brukamy ich publiczny wizerunek, kłamliwie przypisując im ukryte motywy polityczne lub nieomal terrorystyczne. Niedawne ataki na ekologów napełniły mnie niesmakiem właśnie za ich bezrozumność – to odwrót od wiedzy oraz prób rozumienia świata i ruch w kierunku brutalnej dominacji. To już nie „mędrca szkieleto i oko”, lecz pycha namiestników imperium, czerwonego, czarnego lub jakiegos tam (ale na pewno nie tęczęwego), których zadaniem jest zdławić, wypatroszyć, wycisnąć i zmusić do ukorzenia się. Zostaje po tym oniemiała ze zgrozy pustka. Zaiste, boże dzieło... A pandemia jest za nie karą.

*

Łza

żyłem długo
wśród ludzi
co grzyby hodują
dla ich zabójczego
wywaru
którzy stal kują
do krwi
dla jej z krwią
niezwykłego
powinowactwa
którzy
w mamroczących kręgach
skupieni
obmyślają
zdrady
huragany
i powodzie

żyłem wśród nich
wiele lat
a dziś
łza
wysychająca
na Twoim policzku
rozerwała mi
duszę



Dr Michał Jasieński – absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego i Harvard University; wykłada innowatykę w Wyższej Szkole Biznesu – National-Louis University w Nowym Sączu. Warszawiak z urodzenia, krakowiak z wyboru, autor wielu prac badawczych i esejów z dziedziny biologii, filozofii i metodologii dydaktyki oraz zarządzania wiedzą.

**TEMAT MIESIĄCA:
ŚMIERĆ PLANETY I EKOLOGIA****Michał Jasiński.**

Czujemy się lepsi. Uważamy, że wiemy lepiej, że nie potrzebujemy opinii lekarzy, epidemiologów, ekologów i klimatologów. Podejrzewamy ich o własne ułomności, czyli o to, że wszystko, co mówią, napędzane jest przez doraźny interes prywatny albo polityczny.

Uważamy, że mamy prawo czynić sobie przyrodę poddaną. Zapominamy, że nie jesteśmy właścicielami tego świata, tylko jego depozytariuszami. Nie odziedziczyliśmy go od przodków, lecz pożyczyciśmy go od naszych dzieci, jak ktoś mądrze powiedział. Nawet gdyby przodkowie przekazali nam świat w spadku, dając do dysponowania nim wszelkie plenipotencje, nietaktem byłoby świat ten zdewastować

ECO-waste Sylwia Pyzik

KRAKÓW MÓWI**Biznes i muzyka**

z Leszkiem Mikosem/Anna Woźniakowska

Nie kłamie, kiedy śpiewam

z Beatą Rybotycką/Wacław Krupiński

ESEJ

Krempna-raj Anna Mazela

LUDZIE, MIEJSCA, WYDARZENIA

Z fototeki Danuty Wegiel/Lata płyną i...

(Ewa Lipska) Jakub Wydrzyński

Kronika kulturalna

Krakowski łącznik

Kraków (Główny)

Linia A-B

24 GODZINY Z ŻYCIA LEKARZA

Darowany czas (prof. Lidia Tomkiewicz-Pająk)

Magdalena Oberc

REKOMENDACJE:

Od Matejki do Sasnała Witold Bereś

Anty-Heimatroman Jakub Wydrzyński

Atlas chasydyzmu skali światowej

Krzysztof Burnetko

Krakowski Festiwal Filmowy się nie poddaje

Magda Huzarska-Szumiec

Granatowi mordercy sąsiadów

Krzysztof Burnetko

Inaczej o socrealizmie Witold Bereś

Łże-dziennik Tadeusza Konwickiego

Jakub Wydrzyński

ZAPRASZAMY NA SPACER

... do eMCKu

OBYWATELE KRAKOWA

Sztuka w migrację zaangażowana (Pamela Bożek)

Magdalena Oberc

PORTRETY

„Portrety 2020” (czerwiec)

HISTORIA

Foto-retro Krzysztof Jakubowski

Kalendarium krakowskie: czerwiec 2020

Krzysztof Jakubowski

Krakowianin z wyboru Teodor Axentowicz

Ewa Danowska

TEATR

Moje spotkanie z Kottlem Paweł Głowacki

FILM**Tworzę nowe światy**

z Magdaleną Łazarkiewicz/Elżbieta Wojnarowska

Lustro Romana Polańskiego Maria Malatyńska

Mniejsze niebo Łukasz Maciejewski

LITERATURA

O spokoju wewnętrznym Witold Bereś

Na debiut nigdy nie jest za późno

z Lucyną Olejniczak/Katarzyna T. Nowak

KSIĄŻKI

Nasza biblioteka

Moja Krakowska Książka Miesiąca

Janusz M. Paluch

GALERIA „KRAKOWA”

Tomasz Westrych Magda Huzarska-Szumiec

FELIETON

NA CZERWONYM ŚWIETLE Ewa Lipska

OKIEM BERESIA Witold Bereś

Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI Krzysztof Burnetko

SMOCZE JAJO Mieczysław Czuma

POZA KRAKOWEM

Magdalena Miśka-Jackowska

BEDEKER KRAKOWSKI Iga Dzieciuchowicz

NIE TYLKO O CRACOVII Jerzy Pilch

OKŁADKA

Anna VanMatre, *Tym, którzy ochraniają... Wieczór* (Tryptyk – panel środkowy), 2019, technika mieszana, 130 x 100 cm/eksponowany na wystawie *Natura w sztuce w MOCAK-u*/Kolekcja Krystyny i Jana Baranów/za zgodą artystki

Różnice

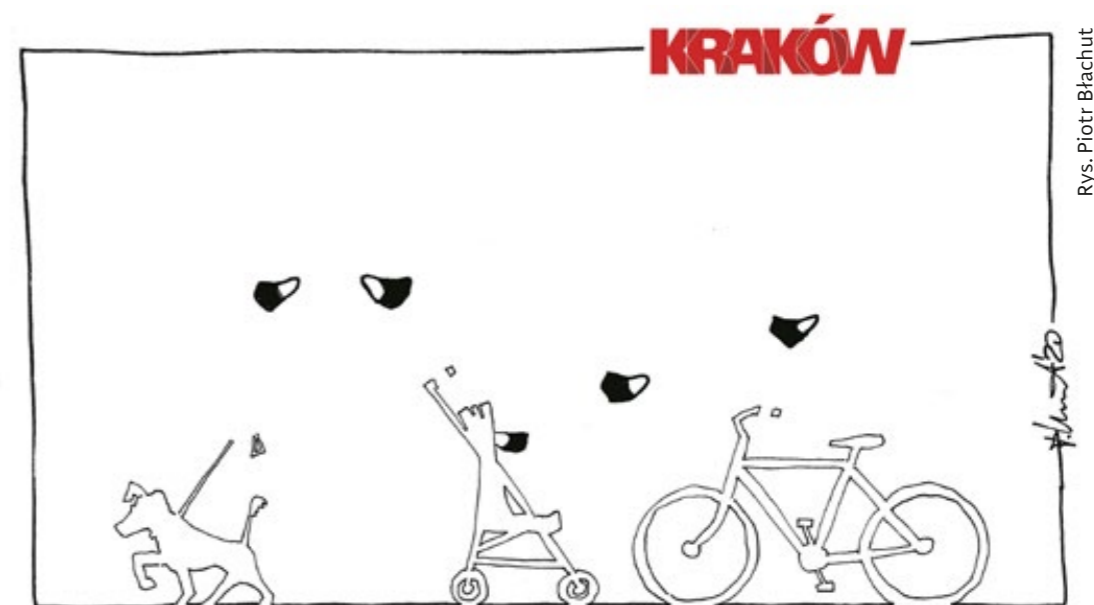
Tekst: Ewa Lipska

Różnica pomiędzy Polską Północną i Polską Południową (jest to podział mentalny, nie geograficzny) polega na tym, że w Polsce

Północnej znają już wynik przyszłych wyborów, a Polska Południowa łudzi się, że dojdzie do nich zgodnie z konstytucją.



Ewa Lipska – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.



Rys. Piotr Błachut

Zagłada na życzenie

Tekst: Witold Beres

Jan Kulczyk żyje, ale się ukrywa (Jarosław Gowin). Samolot pod Smoleńskiem Rosjanie zniszczyli bombą termobaryczną (Antoni Macierewicz). Koronawirus nie istnieje (Aleksandr Łukaszenko). Świrusów wietrzących absurdalne spiski jest mnóstwo. Ale najwięcej jest takich, którzy widzą spisek w globalnym ociepleniu.

Andrzej Duda pisał na Twitterze w 2013: „Jak sobie pomyślę, że płacimy za »globalne ocieplenie« i popatrzę za okno, to mnie trafia szlag”. A w roku 2018 żalił się kabaretowo, że Unia Europejska zakażała nie wiedzieć czemu sprzedaży w sklepach zwykłych żarówek, a nakazuje kupować tylko energooszczędne. Równie niezwykle popisywała się Anna Zalewska: „Tak naprawdę globalnego ocieplenia nie ma, ponieważ na Arktyce powinien lód topnieć, a przybywa. Dlaczego mówią nam inaczej? Bo to ko-

Bieżąca polityka, chaos państwowy, prawny i społeczny zakrywa nam tę perspektywę, nad którą wszyscy powinniśmy się pochylić. Perspektywę, wedle której wnuki obecnych pokoleń będą zdychać z braku wody i żywności.

smiczna kasa, ekolodzy takie pieniądze zarabiają na tym ociepleniu!”. Boże, i ona zarządzała nauczaniem...

Choć jest powód, by czepiać się polityków, którzy rządzą i wyznaczają kierunki, to przecież każdy z nas zna jakiegoś leciwego wujcia Franka, który ze swadą peroruje, że za jego czasów lato było gorętsze i nikt nie pieprzył o globalnym ociepleniu.

Tak to już jest, gdy nie umie się odróżnić klimatu od pogody...

Niestety – mamy pecha. Bieżąca polityka, chaos państwowy, prawny i społeczny zakrywa nam tę perspektywę, nad którą wszyscy powinniśmy się pochylić. Perspektywę, wedle której wnuki obecnych pokoleń będą zdychać z braku wody i żywności.

Gdzieś w szczyście pandemii i koronawirusowej paniki mignęła wiadomość, że w kwietniu zanotowano rekordowo niski poziom Wisły w Warszawie – 47 centymetrów! I jeszcze dobiegł mnie komentarz: „Hydrologzy alarmują, że poziom rzeki opada regularnie z każdym dniem i tak będzie w kolejnych tygodniach. Prognozy nie są optymistyczne”.

Zawisło pytanie: co będzie latem?

Ale zaraz pochłoneły nas spory na temat czwartego podpunktu porozumienia trzeciorzędnych polityków...

*

Jest taki mało znany w Polsce, a nader ciekawy, czeski powieściopisarz Martin Vopěnka. Polecam, dostępne po polsku, *Piąty wymiar* i *Podróżowanie z Benjaminem*, niebanalne spojrzenie na losy ludzkości i jednego człowieka. Ale jego ostatnia książka, tylko

na razie (mam nadzieję) nieprzetłumaczona na polski, to postapokaliptyczna opowieść *Můj bratr mešiasz* z roku 2017.

Nie chcę się tu zachwycać nad jej stylem, narracją itp., bo mój czeski to raczej polski, ale treść, treść jest cholernie na czasie. Oto jest rok 2096 i już wiele, wiele lat trwa susza na całym świecie. I tylko stare księgi przypominają, jak to sto lat temu rok za rokiem schła planeta, a ludzie nie chcieli tego widzieć. Teraz, w czasach akcji książki, koryto Wełtawy jest suche jak pieprz, ale pojawia się naukowy projekt odwrócenia części promieni słonecznych w stratosferze – i to budzi nadzieje. Czy pojawi się nam nowy Mesjasz? Nie będę zdradzał zakończenia opowieści, bo, jak to u Vopěnki, przygodowa narracja jest przykryciem dla treści bardziej filozoficznych. Ale coś innego jest ważne – jak łatwo doprowadziliśmy sami do swej zagłady.

Dlatego w tym numerze „Krakowa” zastanawiamy nad naszym stosunkiem do przyrody. Wszak – gdy piszę te słowa, pandemia i jej przebieg nie do końca są rozpoznane – za jedną z ważnych hipotez opisujących jej przyczyny uważane jest nasze lekceważenie środowiska.

Dlatego Sylwia Pyzik opisuje, co się dzieje wokół ruchu eco-waste, a co powinno się sprowadzać do jednego zdania: „Zaczynaj myśleć o tym, co wyrzucasz i jak tego uniknąć”.

Michał Jasieński zaś przejrzyście formułuje siedem naszych grzechów głównych popełnianych wobec przyrody

Pycha, bo czujemy się lepsi. Chciwość, bo taniej podpalać stopy z toksycznymi odpadami. Lenistwo, bo przez nie wypalamy łąki i nie segregujemy śmieci. Nieczystość, bo śmiecimy wokół siebie na wyścigi. Łakomstwo, bo żremy bez miary, nie chcąc wiedzieć, że wyprodukowanie kilograma wołowiny wymaga 16 000 litrów wody. Zazdrość – bogactwem i bogactwem, a sobie nawzajem wszystkiego innego. Gniew, bo budzą w nas niechęć ci, co chcą przywołać nas do opamiętania. „Zostaje po tym oniemiała ze zgrozy pustka. Zaiste boże dzieło... A pandemia jest za nie karą”.

Tak. Sami fundujemy sobie zagładę.



Witold Beres – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

Przykazanie Mariana Turckiego

Tekst: Krzysztof Burnetko

„Nie bądź obojętny!” – tak brzmiące „11 przykazanie” weszło już do kanonu polskich sentencji moralnych XX i XXI stulecia.

Towarzyszy choćby wskazówce Władysława Bartoszewskiego: „Warto być przywoitym”, parafrazie wiersza Antoniego Słonimskiego: „Chodzi prawie o nic – aby zbyt łatwo nie zgiać karku”, czy napomnieniom Marka Edelmanna: „Jak się przyglądasz znu i odwracasz głowę, to stajesz się współodpowiedzialny” i „Trzeba być przeciwko tym, którzy biją. Niezależnie od tego kim jest bity – trzeba z nim być. Trzeba dać mieszkanie bitemu, trzeba go schować w piwnicy. Trzeba się tego nie bać”.

Nagłośnienie owego „11 przykazania”, wymyślonego przez przewodniczącego Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego Romana Kenta, jest zasługą Mariana Turckiego. To on przywołał je w przemówieniu podczas styczniowych obchodów 75. rocznicy wyzwolenia obozu Auschwitz-Birkenau. Swoje słowa kierował, co ważne, nie tyle do oficjeli (choć wystąpienie siłą rzeczy zawierało wiele odniesień do tendencji i atmosfery narastającej w wielu punktach świata – w tym w Polsce), ile do młodych – w tym własnych wnuków.

Odwoływał się przy tym do własnych wspomnień świadka Zagłady i „epoki pogardy” w łódzkim getcie, więźnia Auschwitz, Buchenwaldu i Theresienstadt (czyli Terezina), dwukrotnie gnanego w marszach śmierci. Ale także do swojej wiedzy o mechanizmach historii i władzy. Przypominał, od jakich – pozornych – drobiazgów się zaczęło. Oto we wczesnych latach 30. ubiegłego wieku rząd Niemiec zakazał obywatelom pochodzenia żydowskiego siadania na ławkach w miejskich parkach. Potem nie mogli korzystać z pływalni. I należeć do niemieckich związków śpiewaczych. Dzieciom żydowskim zabroniono bawić się z dziećmi aryjskimi. Zakupy Żydzi mogli robić tylko po godzinie 17. „I tak powolutku, stopniowo, dzień za dniem ludzie zaczynają się z tym oswajać – i ofiary, i oprawcy, i świadkowie zaczynają przywykać do myśli, że ta mniejszość, która wydała Einsteina, Nelly Sachs, Heinricha Heinego, Mendelssohnów, jest inna, że może być wypchnięta ze społeczeństwa, że to są ludzie obcy, że to są ludzie, którzy roznoszą zarazki, epidemie”.

Ostrzeżenie Mariana, że „Auschwitz nie spadł nagle z nieba – Auschwitz tuptał, dreptał małymi krokami, zbliżał się”, cytowały „The Guardian”, „New York Times”, „Washington Post”, „Time”, „New York Post”, telewizja France24. Macierzysta „Polityka” rozpoczęła akcję promującą jego kandydaturę do Pokojowej Nagrody Nobla.

*

Poznałem go 15 lat temu, gdy rozpoczynałem pracę w „Polityce”. Jedno z pierwszych spotkań nastąpiło w redakcyjnej... toalecie. Była dość wczesna, jak

na redakcyjną rzeczywistość pora, gdy wpadłem tam na Mariana. Stał przed lustrem, twarz miał pokrytą pianką do golenia i przystępował właśnie do usunięcia zarostu. Okazało się, że przyjechał do pracy prosto z lotniska po kolejnej nocnej podróży z Izraela czy Stanów Zjednoczonych. Odbywał ich mnóstwo, nie zaniedbując jednak redakcyjnej roboty i wielu innych krajowych działań. A miał przecież wtedy 81 lat. Wówczas mogło mnie to dziwić. Ale potem mogłem z bliska przyglądać się, jak pracuje i działa. Dlatego dziś, gdy Marian nadal jest aktywny, a ma lat 94, zdziwiony już nie jestem.

*

W „Polityce” Marian ma oczywiście szczególny status. Należy wszak do dziennikarzy z najdłuższym stażem – w redakcji pojawił się w 1958 roku, gdy jako zbyt radykalny zwolennik październikowej odwilży z partyjnego polecenia został wyrzucony ze „Sztandaru Młodych”. Ale od początku łączy prowadzenie ważnego w piśmie działu historycznego z innymi zajęciami. Nie bez powodu powtarza choćby, że wśród kilku szczęśliwych dni w jego życiu ostatnim było otwarcie Muzeum Polin. Faktycznie, należy do Ojców Założycieli – mogło ono powstać między innymi dzięki jego energii, uporowi, krajowym i międzynarodowym kontaktom, zmysłowi dyplomatycznemu oraz, oczywiście, biografii. Inna rzecz, że tych samych przymiotów musi nadal używać, by bronić jego kształtu i misji.

*

W Auschwitzu Marian ostrzegał: kiedy władza widzi, że ludzie ogarnia obojętność i przestają reagować na zło, to może sobie pozwolić na dalsze przyspieszenie zaprowadzania zła. Prosił młodych, by nie byli obojętni.

Redakcja „Krakowa” śle Panu Marianowi Turckiemu najserdeczniejsze życzenia urodzinowe – zdrowia i siły do walki z zalewającą nas obojętnością.



Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, później tygodnika „Polityka” (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.

Sztuka w migrację zaangażowana

Tekst: Magdalena Oberc Zdjęcie: Alicja Kozak

Pamelę Bożek poznałam w kawiarni Cheder mieszczącej się w dawnym domu modlitwy społeczności żydowskiej na krakowskim Kazimierzu. Wtedy pachniało tam cynamonem i miętą, słychać było rozmowy w różnych językach. I było to idealne miejsce na takie spotkanie, bo temat migracji jest bardzo bliski tej młodej artystce.

Jeszcze do niedawna w Polsce było 11 ośrodków dla cudzoziemców i cudzoziemców, teraz jest ich 10. Osoby, które chciałyby starać się o ochronę, nie są wpuszczane przez granicę, co jest jawnym łamaniem konwencji genewskiej – opowiada Pamela. Pochodzi ze Stargardu, ale od ośmiu lat mieszka w Krakowie. Skończyła studia na Akademii Sztuk Pięknych, a teraz jest doktorantką tej uczelni.

Prowadząc zajęcia artystyczne dla dzieci w Ośrodku dla Cudzoziemców w Łukowie, poznała bliżej sytuację mieszkających tam migrantów i migrantek. Jako feministka i młoda mama szybko nawiązała nić porozumienia z kobietami. – Większość z nich to muzułmanki, kobiety wykształcone, kiedyś aktywne zawodowo, które uciekły przed przemocą domową, prześladowaniami politycznymi lub biedą – tłumaczy. – Po przedostaniu się do Polski latami czekają na przyznanie ochrony międzynarodowej, często nie otrzymując w tym czasie pozwolenia na podjęcie pracy, przez co skazywane są na izolację.

To właśnie w ośrodku powstał projekt partycypacyjny „Notesy z Łukowa”, które kupić można w galeriach sztuki i instytucjach kultury w całym kraju. Szyte ręcznie i produkowane z materiałów recyklingowych są nie tylko unikatowym, pięknym produktem, ale również częścią artystycznej strategii przywracania widzialności i wspierania ekonomicznego ich autorek. Osobowości prawnej udziela projektowi Stowarzyszenie „Dla Ziemi”, które od ponad dekady działa na rzecz uchodźczyń i uchodźców na Lubelszczyźnie. Rok temu artystka we współpracy z tym stowarzyszeniem otrzymała minigrant Funduszu Feministycznego, w ramach którego powstała tkanina *Wasze Rzeczy*. Pamela Bożek zorganizowała w Krakowie charytatywną zbiórkę odzieży, która dała początek temu przedsięwzięciu. Nie wszystkie ubrania, między innymi z powodu różnic kulturowych, mogły być wykorzystane przez mieszkanki ośrodka, ale wyrzucenie tych darów też byłoby niewłaściwe. Zaprosiła zatem do wspól-

pracy Natalię Guninę, krawcową z Ukrainy, a następnie razem z paniami Zairą, Zaliną, Lianą, Khavą, Ajną i Makką rozpoczęły prace nad dziełem. I tak powstała mierząca 20 metrów tkanina *Wasze Rzeczy*, obrazująca wędrowną i powtarzającą się ludzkie losy. Tkanina zachwyca zestawieniami kolorów i wzorów, łączy obce, niepasujące do siebie fragmenty

Pamela Bożek: Teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebujemy empatii i wspólnoty, a łączy nas więcej, niż się spodziewamy. To, co wydaje mi się najważniejsze, to próba zrezygnowania z perspektywy pomagania na rzecz wzbogacającej wymiany i wzajemności, a więc otwartość na przyjęcie innego.

w unikatowy wzór. Przywraca wartość temu, co niechciane i bezużyteczne. Praca prezentowana była na 16. Międzynarodowym Triennale Tkaniny „Przekraczanie granic” w Łodzi.

Swój najnowszy projekt: kwartalnik „WIZA-VIS” – współtworzony przez osoby z doświadczeniem uchodźczym i poświęcony tematyce migracji – Bożek zrealizowała w ramach Stypendium im. Bogny Olszewskiej. Pierwszy numer, poświęcony tematowi „drogi”, miał premierę w styczniu w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, które wraz z Fundacją Nieograniczona jest fundatorem tego stypendium.



Magdalena Oberc – absolwentka teatrologii, dziennikarka i PR-owicz, zainteresowana tematyką społeczną i medycyną. Od kilku lat związana z Fundacją Ad Vocem, która przeciwdziała przemocy wobec dzieci.





Łańcuchy miejskie do zamykania ulic

Tekst i zdjęcie współczesne: Krzysztof Jakubowski Zdjęcie archiwalne – rok 1933, NAC

Dawne miasta stosowały różnorodny arsenał środków służących ich obronie. W Krakowie kluczową rolę odgrywał rzecz jasna podwójny pas murów obronnych z basztami i fosą wypełnioną wodą z Rudawy. Gdyby jednak najeźdźcy udało się sforsować fortyfikacje, przygotowane były też inne zabezpieczenia. Należały do nich żelazne łańcuchy służące do zamykania ulic wiodących do Rynku Głównego.

Najstarsza wzmianka o ich istnieniu pochodzi z 1397 roku. W księdze rachunków miejskich odnotowano wówczas wydatek na naprawę łańcucha na ul. Grodzkiej i konserwację pozostałych. Późniejsze księgi wspominają też o zakupie kłódek i ich naprawie.

Najstarsze łańcuchy mocowane były na palach wbijanych w narożnikach ulic, ponieważ zabudowa była długo jeszcze, w przeważającej mierze drewniana. Kiedy w XV wie-

ku zaczęły pojawiać się coraz liczniej domy murowane, łańcuchy przytwierdzane były na hakach wbijanych w kamień i zalewanych ciekłym ołowiem.

Istotne, że obowiązek zamykania ulic ciążył na właścicielach kamienic, mimo że łańcuchy należały do miasta. Należało je zamykać każdej nocy od godziny 22, a przestrzegania tego obowiązku pilnowali pachołkowie miejscy podlegli hutmanowi, wyższemu urzęd-

nikowi Ratusza odpowiedzialnemu za bezpieczeństwo.

W warunkach zagrożenia zamknięte były na stałe wszystkie bramy i furty z wyjątkiem bram na wylotach trzech głównych ulic: Floriańskiej, Grodzkiej i Sławkowskiej. Nie zamknięto ich tylko w ciągu dnia, aby możliwy był wjazd do miasta. Z tego powodu ulice te zaopatrzone w dodatkowe łańcuchy, przy przecznicach biegnących najbliżej murów obronnych.

Na fotografii wykonanej w 1933 roku widać taki właśnie, potężny łańcuch umocowany na ścianie pałacu Tarnowskich przy ul. Sławkowskiej 13–15. W kadrze znalazł się raczej przypadkowo chłopiec w gimnazjalnej czapce wraz z bratem (?), na oko 10-letnim. Eksploracyjny charakter felietonu nie pozwala pominąć tajemniczej okrągłej tabliczki, widocznej poniżej łańcucha. To tak zwany reper, czyli punkt osnowy geodezyjnej pionowej, wykorzystywany też w niwelacji. Repery są najczęściej kotwione na ścianach budynków, nisko ponad podłożem. Mogą mieć (jak tu) postać metalowych bolców z wyrytym

numerem. Ich kształt umożliwia ustawienie łąty niwelacyjnej.

A łańcuchy? Cóż, zdemontowane w czasie okupacji, poszły do niemieckich hut. W najlepszym wypadku pozostały po nich kotwy – jak przy ul. Sławkowskiej – bądź kiepskie repliki, jak przy ul. Floriańskiej 17.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.



ECO-waste. Mała wielka codzienność

Tekst: Sylwia Pyzik Zdjęcia: Grzegorz Kozakiewicz

Kryzys klimatyczny stał się faktem. Problem jest złożony, ale odpowiedzialność wspólna. Można wychodzić na ulice, złożyć petycje na rządy i korporacje. Albo zacząć od siebie.

W Pacyfiku unosi się Wielka Pacyficzna Plama Śmieci (tak, doczekała się nazwy własnej) o powierzchni 1,6 mln km². Mikroplastik jest znajdowany w rybach, które jemy, wodzie, którą pijemy, a ostatnio, tu, na naszym krakowskim podwórku, także w powietrzu, którym oddychamy. Na scenę wkracza zero waste – nowy styl życia, który stanowi jednostkową odpowiedź na kryzys klimatyczny. Życie w zgodzie z tą zasadą jest wyzwaniem, które może podjąć każdy.

Cudu brak

Jeszcze kilka lat temu skutecznym rozwiązaniem dla fali zalewających nas odpadów miał być recykling. Niektórzy wciąż pamiętają pukających się w głowę Kowalskich, którzy uśmiechem politowania komentowali pomysł posiadania w domu czterech koszy na śmieci. „Ale wymyślają!” – grzmieli tradycjoniści w obronie kubła umieszczonego w jednym słusznym miejscu, czyli pod zlewem. Wiadomo, każda zmiana napotyka opór. Im dalej w ekologiczny las, tym bardziej okazuje się jednak, że recykling nie jest *perpetuum mobile* – wymaga zużycia energii, a jakość materiałów otrzymywanych w ramach tego procesu spada. Czy zatem powinniśmy recyklingować więcej? Niekoniecznie.

Śmieci są ważne

W teorii sprawa wydaje się prosta – staraj się żyć tak, by marnować jak najmniej. Zastanów się, jak często wyrzucasz śmieci – codziennie, raz na dwa dni, dwa razy w tygodniu? Guru ruchu Béa Johnson, szczęśliwa posiadaczka czteroosobowej rodziny, wraz z najbliższymi produkuje jeden słoik odpadów w ciągu roku! Brzmi nieprawdopodobnie, a w zasadzie sprowadza się do zaledwie pięciu prostych zasad – odmawiaj, ograniczaj, wyko-

rzystaj ponownie, recyklinguj i kompostuj. Można jeszcze prościej – zacznij myśleć o tym, co wyrzucasz i jak tego unikać.

W odwiedzinach

Zero waste ma swój początek w domu. Nie pozostaje mi więc nic innego, jak się do takiego domu wprosić. Tłumaczka z Krakowa Monika Dobija już we wstępnej rozmowie telefonicznej podkreśla, że wraz z mężem prowadzi raczej dom *less waste* niż *zero waste*. Może i tak, może i nazbyt skromnie – ale udało się im osiągnąć wiele. Jaka była moja pierwsza myśl po przekroczeniu progu ich krakowskiego mieszkania? Przestrzeń! Ile

Staraj się żyć tak, by marnować jak najmniej: odmawiaj, ograniczaj, wykorzystaj ponownie, recyklinguj i kompostuj. Zacznij myśleć o tym, co wyrzucasz i jak tego unikać.

tu miejsca. Okazuje się, że mieszkanie nie jest wcale tak duże, a wrażenie jest spowodowane niewielką liczbą mebli i innych bibelotów. Monika wyjaśnia mi, że minimalistką była od zawsze, a *zero waste* stało się tego naturalną konsekwencją, gdy wraz ze zwiększającą się świadomością, odezwały się w niej kwestie etyczne.

Tchnąć w przedmiot drugie życie

Wróćmy jednak do mebli, tu niemal każdy ma swoją historię. Dębowy stół – blat skazany na utylizację przez producenta, przejęty od znajomych. Białe, gustowne lustro – fragment wiekowej toaletki, zakupiony za kilkadziesiąt złotych od sprzedawcy antyków li-



kwidującego sklep. Fotel „pomyłka, dawno temu, z Ikei”, ale podnózek do niego już totalne zero waste – stary taboret zabrany od teściowej z pokrowcem wykonanym ze swetra kupionego w second handzie. Stół w kuchni – znaleziony przy drodze, na wystawce, przeznaczony na śmietnik. Podkładki pod kubki – wykonane z suchej gałęzi brzozy znalezionej na działce (wystarczyło pociąć, zaimpregnować, dokleić od spodu filc i voilà). Niby drobniaczek, a wspomnienia zostają: – Taki był radosny, jak stał na trawniku i machał do mnie tą gałęzią. Jeszcze nie wiedział, co z niej będzie! – to o mężu, renowatorze samouku. – To są takie rzeczy, które się chce przekazać. Kosztowały nas tyle pracy, że na pewno nie wyrzuciłbym ich po kilku latach. Nie chodzi też o pieniądze, biorąc pod uwagę nakład czasowy, jaki musimy im poświęcić, i zawody, które wykonujemy – nam się to nie opłaca. Jakoś się tak jednak człowiek tym zarządza, że ratuje kawałek świata... – mówi z delikatnym zawstyżeniem w głosie Monika. – Wyrobiliśmy sobie odpowiedzialność za rzeczy. Jeśli ty je nabyłeś, to ty musisz znaleźć dla nich jakieś miejsce, jakąś funkcję – przekonuje.

Czy potrzebujemy tak wiele?

Przejdźmy do łazienki, tu przeżyłam zawstyżenie. – Widzisz, ja tutaj nie mogłam niczego przed tobą schować, bo tutaj po prostu nie ma półek – wyznaje z uśmiechem Monika. Rzeczywiście, wystarczy szafka pod zlewem, głównie na ręczniki i kilka szklanych buteleczek na wannie. W tej łazience jest jednak to, czego potrzeba: szczoteczka do zębów z bambusa, naturalne mydło, krem, pasta do zębów w pastylkach, myjka do twarzy, wielorazowa maszynka do golenia, w której wystarczy wymienić żyłkę, kilka olejków. Przedmioty użytku codziennego, zwykle zalane plastikiem, które każdego dnia lądują w naszych koszach (oczywiście wraz z naszymi pieniędzmi, w myśl zasady – kup, wyrzuć, znowu kup – o, i to ci jest dopiero *perpetuum mobile*) zastąpione produktami naturalnymi i wielorazowymi. – Jak człowiek się w to wkręci, to wręcz zaczyna czuć obrzydzenie do tego plastiku, gdy sobie uświadomi, ile go wszędzie jest – zauważa z grymasem.

W kuchni żelazna dyscyplina i to już na poziomie zakupów. Monika zawsze wybiera się na nie ze swoimi opakowaniami – żadna filo-

zofia, wystarczy kilka materiałowych toreb, sprzedawcy w okolicznych sklepach już się przyzwyczaili. Wody butelkowanej brak, zamiast tego filtr. Dużo ziaren, herbat i naturalnych produktów – półproduktów brak. Gąbkę w zlewie zastępuje myjka konopna. Śmieci oczywiście posortowane: plastik (kartonowe pudełeczko, wyrzucane średnio raz na pół roku), twarde plastik (na przykład nakrętki po napojach – gromadzone od roku), zmieszane odpady (o, tam niespodzianka – papierowy paragon nie nadaje się do papierów!), obierki po czosnku i cebuli w słoiku (ponoć po odpowiednim przyrządzeniu świetnie działają na mszyce), skorupki z jajek zbierane w osobnym pojemniczku, wywożone na wieś

Jak człowiek się w to wkręci, to wręcz zaczyna czuć obrzydzenie do tego plastiku, gdy sobie uświadomi, ile go wszędzie jest.

do pani, od której kupują jajka (w paszy wracają do naturalnego obiegu). Zamiast pastylek do zmywarki – zwykła soda oczyszczona. Jeszcze szybki wgląd do pomieszczenia gospodarczego, a tam samodzielnie zrobiony proszek do prania i płyn do płukania, a także ocet do mycia okien.

Bacny obserwator

Michał Matuszewski ujrzał kiedyś stertę książek, które w pewien dżdżysty dzień samotnie piętrzyły się przy kontenerze. Nie miał czasu, by rzucić się im na ratunek – inni przechodnie zrobili to za niego (co już napawa otuchą). Widok tych odrzuconych przez kogoś, a jednak dla innych wciąż tak cennych przedmiotów, dał mu do myślenia. Muzyk od trzech lat pracuje w domu pomocy społecznej przy ul. Krakowskiej dla osób z zaburzeniami psychicznymi. W tych trudnych, bo zmiennych warunkach zaczął skutecznie implementować zasadę zero waste. Początki były niepozorne. Michał wrzucił post na grupę, która zrzesza osoby zainteresowane ekologicznym stylem życia. Nie zawiódł się. Biblioteka ośrodka wzbogaciła o tak wiele nowych pozycji, że trzeba było powiększyć ją o kolejne pomieszczenie, a na jej półkach można znaleźć teraz tak reportaże podróży





nicze Wojciechowskiej, jak i *Historię filozofii* Tatarkiewicza.

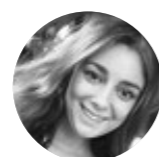
Nie samą książką jednak człowiek żyje – film również jest w cenie. Organizacja wieczorów filmowych w ośrodku niby nie powinna być trudnością, ale pozyskanie legalnych produkcji – już tak. Michał znowu wykazuje się czujnością. Skoro płyty DVD i CD odchodzą do lamusa, to pewnie wiele osób może chce się ich pozbyć. Kolejny strzał w dziesiątkę – powstaje biblioteka filmowa.

Salon piękności? Czemu nie. Michał działa intuicyjnie – apeluje, by oddać im nietrafione farby do włosów, lakiery do paznokci, kremy i kosmetyki do makijażu. Teraz dobrze zaopatrzony salon może prętnie działać i... leczyć.

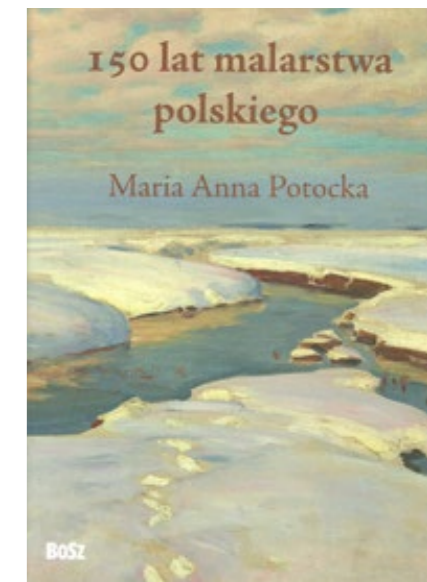
– Ludzie często pytają nas, czy możemy w jakiś sposób wykorzystać różne „odpady” – wyjaśnia. Okazuje się, że wprost idealnym polem do takich działań są zajęcia terapeutyczne. W butelkach po winie powstają lasy w szkle, ze starych tapet – opakowania

na świąteczne prezenty, a z pirackich płyt – wyjątkowe mozaiki w nowym stylu, a jakże, zero waste. W ogóle w ośrodku stosują metodę o wdzięcznej nazwie „przyda się”.

Michał stara się wprowadzać zero waste także w swoim życiu prywatnym. Jak przyznaje, w konsumpcyjnej rzeczywistości jest to bardzo trudne. Już dawno zrezygnował z foliówek, zawsze ma przy sobie plecak. Dzieli mieszkanie ze współlokatorami, którzy nie palili się do segregacji śmieci, ustawił więc sobie własne kosze w pokoju. Brak czasu i wygoda – to według niego największe trudności do pokonania. I choć pewnie jest ich znacznie więcej, a problem można ignorować, to można też zacząć działać – we własnym domu i w granicach własnych możliwości.



Sylwia Pyzik – dziennikarka i filolożka, absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego. Chętniej słucha, niż mówi – pisanie uznaje za naturalny kompromis.



Od Matejki do Sasnala

Tekst: Witold Bereś Zdjęcie: Rafał Sosin/za zgodą MOCAK-u

„Interpretowanie sztuki polskiej to wyzwanie dające spore możliwości. (...) Polska zapewnia swoim twórcom niemal pełny »wypas«. Doświadczają wszelkich odmian niewoli i wszelkich rodzajów pożądania wolności. (...) Bogactwo polskiej historii i polityki – również w sensie dialektycznym – wpływa na mentalność wszystkich Polaków. Stąd zapewne skłonność do roztrząsania krzywd, doświadczeń, wizji, przeczuć i wielkości” – ten fragment wstępu pióra autorki książki uzmysławia nam, że historia polskiej sztuki układa się ciąg nierozwalny i wspólny.

Maśka Potocka, warszawianka z doświadczeń, w ostatnich latach krakowianka z wyboru, jest dla miasta postacią nie tylko ważną funkcjonalnie (od ponad pięciu lat jest dyrektorem Muzeum Sztuki Współczesnej MOCAK, a zarządza też Bunkrem Sztuki i być może willą „Kossakówka”), ale jest też postacią istotną dla współczesnego dialogu na temat sztuki. Jednak nową książką, pożyteczną, przejrzystą i po prostu ciekawą, Potocka pokazuje twarz, której wielu by się po niej nie spodziewało: krytyczki ciekawie odczytującej również tradycyjne malarstwo. Czy zachwycając się zbiorami MOCAK-u, można pomyśleć, że jego szefowa, człowiek zbuntowany, niezależny i nowoczesny, sięgnie w osobistej opowieści również po Henryka Siemiradzkiego czy Wojciecha Kossaka? Jasne – tylko Potocka potrafi przeprowadzić *iunctim* między Michałowskim (1800–1855), postacią chronologicznie pierwszą w księdze, a ostatnią w tym samym porządku, czyli Kamilem Kukłą, rocznik 1989. W pierwszym dostrzega, że to wizerunek konia w jego obrazach ma ukazać ekspresję portretowanych postaci. W ostatnim – zauważa, że każda z rzeczy przez niego przedstawianych coś przypomina, ale gdy skupiamy się na tym, „skojarzenie znika i obiekt zapada się w abstrakcję”. Lecz przecież nie mamy wątpliwości,

że jest między nimi związek, nie tylko taki, że w obu wypadkach mamy dzieło malowane olejami na płótnie przez Polaków. A jakież to związku? Ano kontekst. Kontekst wewnątrz dzieła, gdzie sztuka służy artyście, aby przemodelować świat. Ale i kontekst społeczny, kontekst odbiorca-obraz, który zawsze budził Polaków do wolności i wrażliwości.

A już jej interpretacja Jana Matejki, wydawałoby się doskonale akademickiego, jest niezwykła. Jak choćby to zdanie o człowieku, który w jego obrazach zawsze zakłóca porządek świata.

Autorka idzie więc trochę jak detektyw – wychodzi od konkretnego obrazu, nawiązuje do fragmentu historii sztuki, który zainspirował twórcę, a następnie wpisuje to w całościowy kontekst nowożytnej polskiej sztuki. W ten sposób mamy 44 artystów tworzących od ponad 150 lat i reprezentujących niemal wszystkie możliwe kierunki w malarstwie, a całość układa się w spójny, linearny, ale niebanalny wykład dla każdego.

Ten album to książka z kategorii nawet nie *must-read*, ale *must-read-and-have*.

Anna Maria Potocka, *150 lat malarstwa polskiego*, Bosc, Lesko 2020.



Prof. Lidia Tomkiewicz-Pająk

Darowany czas

Tekst: Magdalena Oberc Zdjęcia: Jan Zych

Kiedy rodzi się dziecko z wadą serca, rodzice czekają na operację jak na cud. A kiedy ten cud się zdarza, dziecko rośnie pod troskliwą opieką rodziców i lekarzy. A co dzieje się potem? Jak funkcjonują ich połatane serca po dwóch, trzech, czterech dekadach?

Oddział Chorób Serca i Naczyń w Szpitalu im. Jana Pawła II mieści się w pawilonie M VIII. Piętrowy, szary budynek, otoczony placem budowy, nie wygląda zachęcająco. Mimo to już od rana w jego korytarzach gromadzą się pacjenci, którzy czekają na przyjęcie do szpitala lub na badania.

Profesor Piotr Podolec, ordynator oddziału, już rozpoczął poranną odprawę. Lekarze omawiają po kolei stan wszystkich 40 pacjentów, przeważnie starszych z chorobą wieńcową, nadciśnieniem tętniczym czy zaburzeniami rytmu serca. Ale jest też niewielka grupka pacjentów młodych z wrodzoną wadą serca. Tymi zajmuje się prof. Lidia Tomkiewicz-Pająk.

23-letni Adam, brunet średniej budowy ciała, z nieśmiałym uśmiechem na twarzy, wygląda całkiem zdrowo. Można pomyśleć, że przyszedł jedynie odwiedzić dziadka. Pani profesor właśnie informuje go, że niedługo otrzyma wypis ze szpitala. Walizka stoi już obok łóżka. Ale wróci tu – czeka go prawdopodobnie operacja. Zadzzwonią niedługo. Chłopak jest zagubiony i niepewny. – Mam zespół Fallota. To chyba nie jest najpoważniejsza wada. Mogłem gorzej trafić... – pociesza się. – Zoperowano mnie, kiedy miałem dwa lata, więc tego nie pamiętam. Potem tylko co roku przyjeżdżałem do szpitala w Prokocimiu na badania kontrolne. Chciałem żyć tak, jak inni, ale zawsze musiałem na siebie uważać. Miałem zwolnienie z WF, koledzy pytali, dlaczego nie ćwiczę, a ja nie chciałem im tego tłumaczyć. Dziś też nie lubię o tym mówić... – milknie na chwilę. – Dwa lata temu wymieniono mi zastawkę, codziennie biorę leki, badam się regularnie, a teraz czekam i nie wiem, co będzie dalej, bo ostatnie badania nie wyszły dobrze: mam powiększoną prawą komorę.

Adam przez swoją chorobę nie zdecydował się zdać na studia – zbyt dużo stresu. Musiał zrezygnować niemal całkowicie z wysiłku fizycznego, w dodatku często łapie przeziębienia. Nie potrafi planować przyszłości. Nie chce. W każdym razie nie teraz, kiedy wyniki badań są niepewne. Ale i tak może mówić o szczęściu, bo jeszcze 50 lat temu większość dzieci z wadami serca umierało w czasie ciąży lub tuż po porodzie. Dziś w Polsce 85 procent operowanych ze złożoną wadą serca osiąga pełnoletność; szacuje się, że w kraju żyje 110 tys. dorosłych osób po takich operacjach.

– Kiedy zaczęły się do nas zgłaszać dorosłe osoby z wrodzonymi wadami serca, mieliśmy spory problem, bo na przykład u pacjentów z pojedynczą komorą serca anatomia tego narządu jest zupełnie inna niż u osoby zdrowej – wyjaśnia prof. Tomkiewicz-Pająk. – Mają tylko jedną komorę, jedno naczynie, które z niej wychodzi i jeden przedsionek serca. Bardzo trudno zinterpretować wyniki badań takiego pacjen-

ta, bo one w żaden sposób nie mieszczą się w parametrach.

W Europie działają specjalistyczne centra medyczne dla osób dorosłych z wrodzonymi wadami serca. Pracują tam specjaliści z zakresu kardiologii dziecięcej i dla dorosłych, kardiochirurdzy, ginekologzy, psychologzy i przeszkolony personel pielęgniarski. W Polsce nie ma takiego centrum. Ścisła współpraca z Uniwersyteckim Szpitalem Dziecięcym w Prokocimiu i prowadzenie własnych badań naukowych zaowocowały stworzeniem kilkanaście lat temu zespołu, którym kieruje prof. Tomkiewicz-Pająk. Opracowano odrębne protokoły i schematy leczenia dla tej grupy osób.

– Mój mąż jest kardiochirurgiem dziecięcym, więc ten temat naturalnie był obecny w sferze moich zainteresowań zawodowych – odpowiada pani profesor. – To, że wiem, jak wyglądają takie operacje serca, jakie są możliwe powikłania i jak przebiega leczenie w wieku dziecięcym, bardzo pomogło mi w budowaniu wiedzy medycznej o dorosłych z wadami serca. Pamiętam, jak mąż przez długi czas walczył o ży-

Pierwszą operację korekcji wady serca wykonał dr Robert Gross z Bostonu w 1938 roku. Jednak dopiero skonstruowanie w latach 50. XX wieku sztucznego płuco-serca umożliwiło przeprowadzanie pierwszych operacji wewnątrzsercowych, takich jak zamknięcie ubytku w przegrodzie międzykomorowej. Wiele prób operowania serca kończyło się śmiercią pacjenta, ale każda poszerzała wiedzę na temat wrodzonych wad serca i zachęcała pionierów tej dziedziny do dalszych poszukiwań skutecznych metod operacyjnych. Prawdziwy przełom nastąpił w latach 70. za sprawą Aldo Castenady i Williama Norwooda, którzy są twórcami większości stosowanych obecnie procedur operacyjnych złożonych wad serca.

cie małej dziewczynki, rozmawialiśmy o tym wiele, kosztowało nas to mnóstwo emocji. I pewnego dnia ona przyszła do mnie do poradni jako dorosła osoba. Znałam jej nazwisko, znałam przebieg jej opera-



cji i późniejszego leczenia, ale zobaczyłam ją wtedy po raz pierwszy. To było niebywałe wrażenie. Natychmiast tamte dni do mnie wróciły.

Pani profesor przechodzi do czteroosobowej sali dla kobiet. Spod koszul każdej z pań wynurzają się dyskretnie kolorowe kabelki, którymi podpięte są do kardiomonitorów śledzących puls i inne parametry życiowe pacjentek. Tutaj poznaję panie, które są najlepszym dowodem na to, że można żyć normalnie nawet z poważną wrodzoną wadą serca. Pani Renata jest drobną, uśmiechniętą, 50-latką. Przeszła w dzieciństwie operację przełożenia wielkich naczyń.

– U takich pacjentów prawa komora pracuje jako komora systemowa, a lewa jako podpłucna – wyjaśnia pani profesor. – Prawa komora nie jest przystosowana, by pracować pod wysokim ciśnieniem i z czasem może dość do jej powiększenia. Pojawia się wtedy niedomykalność zastawki trójdzielnej i dlatego musimy częściej kontrolować stan tych pacjentów, by w odpowiednim momencie skierować ich na operację wymiany zastawki albo przeszczepu serca.

– Miałam operację w wieku 7 lat w Łodzi i właściwie potem o tym zapomniałam – opowiada pani Renata. – Wysłałam za męża, urodziłam córkę i żyłam

zupełnie normalnie. Ale byłam coraz słabsza, stale zmęczona, cierpiałam na bóle głowy. Jeździłam do różnych lekarzy, lecz żaden nie skojarzył moich dolegliwości z wadą serca. Wszyscy myśleli, że moje serce zostało w dzieciństwie naprawione. Przez całe lata nikt nie skierował mnie do kardiologa. Dopiero półtora roku temu trafiłam do tego szpitala z powodu zaburzeń rytmu serca i okazało się, że przyczyną moich dolegliwości jest ta wrodzona wada. Przeszłam operację i teraz regularnie przyjeżdżam tutaj na badania. Chyba miałam wielkie szczęście, że przez tyle lat to moje chore serce wytrzymało.

Moi pacjenci są najlepszym przykładem na niebywały postęp medycyny i farmakologii. Wielu z nich żyje zupełnie normalnie, bez większych ograniczeń.

Prof. Tomkiewicz-Pająk

Sąsiednie łóżko zajmuje pani Beata, która urodziła się z ubytkiem w przegrodzie międzyprzedsionkowej (ASD). To jedna z najczęstszych wrodzonych wad serca. Dwa razy częściej występuje u dziewczy-

nek niż u chłopców. Pewnie z tego powodu dwie córki pani Beaty zmarły tuż po urodzeniu. Dopiero syn urodził się zdrowy. Dwa dni temu przeszła scyntyografię i koronarografię, czyli badania obrazowe pozwalające na ocenę drożności naczyń krwionośnych. – Nauczyłam się żyć z tą wadą. Nigdy się nie poddałam. Kolejne badania czy operacje też traktuję jak wyzwanie – wyjaśnia pani Beata. – Żyję normalnie. Mam swoje pasje: szyję, odnawiam meble, hoduję kwiaty. Mam rodzinę. Mam po co żyć.

Na korytarzu robi się tłoczno. Zbliża się południe. Rodziny przynoszą pacjentom gazety i mandarynki. Młoda lekarka wprowadza do sali chorych przenośny aparat EKG. Dwójka ratowników medycznych z pogotowia toruje sobie drogę, transportując na łóżku siwego staruszka. Salowa zmienia pościel i przygotowuje szafki dla nowych pacjentów, którzy już czekają w korytarzu. Wśród nich jest 20-letnia Ola, która urodziła się z hipoplazją lewego serca (HLHS). To jedna z najpoważniejszych wad serca. Do końca lat 70. ubiegłego wieku zawsze powodowała śmierć noworodka. Dopiero potem opracowa-

nowanie Adama i jego mamę. Jeszcze czekacie na wypis? – dziwię się. – To normalne, że trzeba poczekać – odpowiada spokojnie pani Irena, mama Adama. – Zresztą wypis nie jest najważniejszy. Jeśli jest potrzeba, to od razu ktoś się zjawia. W niedzielę syn miał fatalny nastrój, martwił się wynikami... Wtedy przyszedł do nas lekarz-rezydent i tak wspaniale z nim rozmawiał! Byłam pełna podziwu, że taki młody człowiek ma tyle empatii i wiedzy.

Młodym pacjentom z wadami serca zawsze towarzyszą rodzice. Od urodzenia troskliwie się nimi opiekowali, wozili do szpitala, podawali leki i dbali o zdrową dietę. Robią to nadal, chociaż ich dzieci są już dorosłe i coraz trudniej znoszą wszelkie przejawy nadopiekuńczości.

Tymczasem w poradni czeka już kilku nowych pacjentów, którzy ukończyli 18 lat i przechodzą ze szpitala w Prokocimiu pod opiekę szpitala Jana Pawła II. Z jednym z nich pani profesor idzie do pracowni echokardiograficznej, by rozstrzygnąć wątpliwość w ocenie wyników. Analizuje też przesłaną dokumentację. W przypadku niektórych nowych pacjentów potrzebne jest sprowadzenie protokołów operacyjnych lub dodatkowa konsultacja z prowadzącym kardiologiem dziecięcym. – Zaplanowanie cewnikowania czy innego badania u pacjentów z wrodzoną wadą serca wymaga wielu przygotowań, ponieważ przebiega ono inaczej niż w przypadku osób z prawidłową anatomią serca – wyjaśnia pani profesor. – W dodatku mamy mnóstwo dokumentacji do wypełnienia, a to zabiera nam dużo czasu. Marzę o tym, byśmy mieli asystentów medycznych, którzy przejmą od nas część obowiązków – chociażby pobieranie ankiet czy zgód na badania. Jednak przy dzisiejszym finansowaniu służby zdrowia jest to niemożliwe.

Pani profesor pracuje w poradni do 15. Potem wychodzi ze szpitala, ale to nie koniec jej obowiązków. Wieczorami sprawdza prace przysłane przez studentów, analizuje zebrany materiał naukowy (a ma na koncie prawie 150 publikacji). W ostatnich latach w kardiologii, kardiologii i farmakologii dokonał się niebywały postęp. Praca naukowa pozwala na podsumowanie dotychczasowych osiągnięć i wytyczniny nowych sposobów leczenia. Ale i tak wielu jej pacjentów z wadami serca umrze przedwcześnie.

Pytam, jak radzi sobie z takim obciążeniem psychicznym. – Kilka lat temu skończyłam studia z coachingu i to bardzo pomogło mi uporać się z różnymi problemami emocjonalnymi oraz lepiej wspierać pacjentów. Chciałabym, żeby cały zespół uczestniczył w takich zajęciach, bo my musimy być silni psychicznie. Kiedy umiera mój pacjent, tłumaczę sobie, że zrobiliśmy dla niego wszystko, co mogliśmy. Daliśmy mu dodatkowy czas.



Magdalena Oberc – absolwentka teatrologii, dziennikarka i PR-owicz, zainteresowana tematyką społeczną i medyczną. Od kilku lat związana z Fundacją Ad Voce, która przeciwdziała przemocy wobec dzieci.

no trzyetapowe leczenie operacyjne, które dało im szansę życia. A ta ładna, wysoka blondynka zupełnie nie wygląda na chorą. – Kiedy byłam dzieckiem, dużo czasu spędzałam w szpitalach i poznałam wiele innych dzieci z taką samą wadą. Cały czas utrzymujemy kontakt, chociaż teraz jest nas coraz mniej... Nie jestem naiwna, wiem, że w tej chorobie umieralność jest wysoka, ale w pewnym momencie zrozumiałam, że nie mogę tracić czasu na martwienie się. Muszę cieszyć się życiem, bo każda chwila jest mi darowana.

Nie wszystkie młode osoby podchodzą do swojej choroby tak jak Ola. – Bardzo często przechodzą okres buntu – opowiada pani profesor. – Nie przyjmują leków, zaczynają intensywnie uprawiać sporty albo sięgają po alkohol i inne używki. A to bardzo niebezpieczne. Pacjenci z pojedynczą komorą serca narażeni są na liczne powikłania. Niekiedy mają problemy z utratą białka, więc stosują specjalną dietę wysokobiałkową. Muszą bardzo dbać o zdrowy tryb życia, regularne nawadnianie, suplementację witaminy D3 i umiarkowaną aktywność fizyczną. Powinni być pod regularną obserwacją lekarską, byśmy mogli w odpowiednim momencie wkroczyć z bardziej inwazyjnym leczeniem. Pewnie w przyszłości czeka ich przeszczep serca. Niestety, u wielu z nich rozwija się też marskość wątroby, a zatem myślimy o tym, by przeprowadzać u nich jednocześnie przeszczep wątroby i serca. Ale to na razie nie jest szeroko stosowana metoda leczenia.

Pani profesor telefonicznie zostaje wezwana na konsultację do poradni. Na korytarzu spotykam po-

Jeszcze 50 lat temu większość dzieci z wadami serca umierała w czasie ciąży lub tuż po porodzie. Dziś w Polsce 85 proc. operowanych ze złożoną wadą serca osiąga pełnoletność. Szacuje się, że w kraju żyje 110 tys. dorosłych osób po takich operacjach.

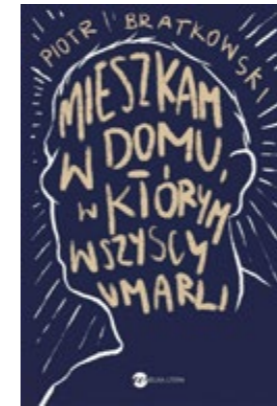
„PORTRETY 2020” (czerwiec)

Opracowanie: Witold Beres

Kultura przede ciężko. Załamaniu uległy plany koncertowe, teatralne i filmowe. Ale jeden dział trzyma się mocno – książki. A w wśród nich nadal popularnością cieszą się portrety: biografie, autobiografie, wywiady... Przedstawiamy kolejne tegoroczne tytuły, które mogą być rozważane jako kandydaci do finału Konkursu „Portrety” w lutym przyszłego roku.



Ula Ryciak, *Potawiaczki pereł. Pierwsze Polki na krańcach świata*, Znak, Kraków 2020



Piotr Bratkowski *Mieszkam w domu, w którym wszyscy umarli*, Wielka Litera, Warszawa 2020



Manuela Gretkowska *Faworyty*, Znak Literanova, Kraków 2020

W epoce, gdy podróżowanie po świecie stało się powszechne, a podróżnicze blogi zalewają sieć, opowieść o czterech globtroterkach sprzed 100 lat mogłaby na nikim nie zrobić wrażenia. Pandemia COVID-19 przypominała nam co prawda, że turystyka nie jest nam dana na zawsze, lecz czy jeszcze umielibyśmy sobie wyobrazić, ile kiedyś trwały przeprawy do najodleglejszych zakątków Syberii? Czy potrafilibyśmy zrozumieć, jaką samodzielnością wykazywali się ludzie opuszczający oswojony Stary Kontynent? Ryciak przypomina, że na początku XX wieku, gdy sufrażystki walczyły o prawa wyborcze, a studentki na akademiach uważano za niedopuszczalny skandal, przemierzanie dalekich lądów nie było dla kobiet ani

bezpieczne, ani łatwo dostępne. Mimo braku wsparcia oraz zachęty ryzykowały i zapuszczały się najdalej, jak mogły, by dokonać dzieła życia. Michalina Isaakowa – polawiaczka motyli zaginiona w Ameryce Południowej, Jadwiga Toeplitz-Mrozowska – aktorka, podróżniczka, kartografka, pierwsza Polka samodzielnie docierająca do Tybetu, Ewa Dziędużyńska – cyklistka, taterniczka przemierzająca Europę i Azję, Maria Czaplicka – pierwsza uznana na świecie polska antropolożka, badaczka praktyk szamanów syberyjskich. Mimo że dziś byłyby gwiazdami wszystkich mediów, w swoich czasach zabiegały o uznanie w świecie mężczyzn. Chylimy przed Wami czoła. Brawo, dziewczyny!
(Jakub Wydrzyński)

„Ojciec też umierał niejednym razem, parokrotnie zostawiając nawet list pożegnalny – ale to akurat tylko do czasu, gdy miał siłę, by się solidnie sponiewierać. (...) Kiedy więc zobaczyłem go w nienaturalnej pozycji i co gorsza zupełnie nieprzygotowanego do wyjścia z domu (zwykle był gotów co najmniej dwie godziny przed czasem, a taksówkę, peerelowskim zwyczajem, zamawiał z dobowym wyprzedzeniem), pomyślałem, że odstawia na mój użytek jakieś kolejne misterium męki Pańskiej”. Ta książka to opis PRL, podróż do czasów dzieciństwa i młodości? Więcej. To opis miłości, z której zdajemy sobie sprawę dopiero wtedy, gdy ktoś/coś przeminie.

Jest widoczny we współczesnym piśmiarstwie coraz wyraźniejszy ciąg eseju/

wspomnień sięgających do czasów PRL i – jakże często – zahaczających o żydowskie korzenie Polski. Monika Sznajderman *Fałszerze pieprzu. Historia rodziny*. Marcin Wicha i *Rzeczy, których nie wyrzuciłem*. Marek Bieńczyk i *Kontener*. Zygmunt Sieradski *Nie płacz, kiedy odjadę*. Teraz Bratkowski. Każda z tych książek jest zupełnie inna, każda jest – nie waham się – doskonała, każda budzi emocje szersze niż tych tylko, którzy z tymi historiami są wprost związani.

Recenzent Jarosław Czechowicz zauważył: „Ta książka jest także świadectwem odwagi osobistej”. Dodałbym: a największym dowodem odwagi jest poczucie humoru. Zero egocentryzmu. Ironia. Dystans. wb

„Księżne Czartoryska i Lubomirska, przypudrowane, na wszelki wypadek wszędzie, gdyby król chciał zażyć miłości francuskiej. Puder fiołkowy, z Tułuzi. Pantalony zawiązywane sznurkami. (...) Damski świat zawieszony na tasienkach i sznurkach poruszanych przez mężczyzn”. Legenda chce, by Stanisław August, ostatni król Polski, seksualnie podbił carycę Katarzynę. Historia wie, że rzeczywiście mężczyzna ten tak naprawdę oddałby pół królestwa za seks. Ale wiedziały o tym i umiały to wykorzystać inne panie: królewskie utrzymanki. Trzy z nich wywierają nie tylko przemożny wpływ

na króla, ale i Rzeczpospolitą. Wyzdana Elisabeth Lubomirska, gorąca Magdalena Sapieha i grzesznie młodzieńca Izabela Czartoryska. Śmiała, trzymająca w napięciu powieść, przypominająca, że tuż przed upadkiem Polski żyły w Warszawie trzy kobiety, które mogły wszystko, ale z którymi też można było zrobić wszystko... I tak to dostajemy niezwykle pociągający portret władzy i seksu.
(Jakub Wydrzyński)

Krempna-raj

Tekst i zdjęcie: Anna Mazela

Jest sobie taka Krempna. Biedna wiocha, zagłębienie krów na Podkarpaciu. Wiocha, której specyficzna nazwa kojarzyć może się jedynie z krępowaniem. Raczej takim codziennym krępowaniem się niż *bondage* z fotografii Nobuyoshi Arakiego.

Krempna. Dziś czujemy wyraźnie, jak bolą miejsca, w których najciaśniej zaciska się sznur społecznej kontroli. Społecznej, lecz przyjętej jako własna. Samokontroli, co jest niemal jak samookaleczenie. Ale Krempna jest poza tym wszystkim. Dla mnie to rajska kraina cudownego nieskrępowania. Wolności w byciu codziennie tym samym. Wolności w podążaniu w tej samej procesji od świtu do zachodu.

Człowiek, nawet ten religijny, chce nieba już na ziemi, bo w inne to tak wierzy, ale nie wierzy, póki nie zobaczy. I stąd cały sukces religii i religijnej wizji nieba. Bo chrześcijańskie niebo to wcale nie gdzieś kiedyś, tylko tu i teraz obiecują. Skoro Bóg dobry jest i troskliwy, prowadzi i chroni. To jest wizja bycia pod opieką. Wizja wolności do niedecydowania.

W Krempnej codziennie odbywa się procesja krów. Widziałam ją za każdym razem, gdy koło godziny ósmej siadałam z talerzem kanapek oraz zieloną herbatą z cytryną i gryczanym miodem przy oknie w naszym pokoju na poddaszu. Najpierw patrzyłam na jaskółki wirujące na tle błękitnego nieba i przysiadające na pobliskim drzewie, potem obserwowałam krowy, jak prowadzone przez babulinkę w niebieskim fartuchu idą posłusznie na pobliską łąkę. Zawsze chcieliśmy zdążyć wieczorem koło godziny osiemnastej na powrót procesji krów. Było w tym coś majestatycznego. Jak oglądanie przez dworzan królewskiego pochodu lub może raczej podglądanie przez paparazzich codziennego rytuału odprowadzania prezydenta przez jego ochroniarzy.

Święte krowy

... to nie są w naszej wyobraźni językowej dobre skojarzenia. Księża jako święte krowy, prawnicy jako święte krowy, bogaci biznesmeni, lekarze, górnicy jako święte krowy. Jakby nam jakaś grupa ludzi mogła stworzyć ciepłe łono pierwotnej Matki, ustawiając się wokół nas, prostaczków, w odpowiednim szyku! Jakby nas mogła ogrzać, otulić, zamiast zabierać ostatnią zapalniczkę. A przecież nawet hinduiści nie czczą swoich

krów, ale jedynie chronią je i traktują łagodnie, jako swoje opiekunki. I mimo wszystko jest wiele wyjątków, które pozwalają stare i chore krowy po prostu zabijać! Nasze święte krowy są zaś jak złote cielce na wysokich piedestałach – zbyt daleko, by ich opieka mogła nas dosięgnąć, zbyt zimne, byśmy chcieli ich dotknąć.

A jednak tamte krowy były dla mnie święte i tam wtedy chciało mi się być taką krową. Niezmęczoną rozmyślaniami i podejmowaniem decyzji. Tym właśnie szczyty się człowiek, prawda? Zdolnością myślenia i wolnością wyboru się szczyty. Tą jego zmorą największą! Nie sądzisz? – pytałam, a ty się śmiałeś. Ty jak na człowieczych prostaczkach na te krowy patrzyłeś, a na babulinkę w niebieskim fartuchu trochę jak na krowę. Widziałeś czar tego zjawiska, ale to nie było dla ciebie zjawisko jedyne i wyjątkowe, tylko takie krempniańskie, wakacyjne, wiejskie, ludyczne. Krowia świętość tylko w takim miejscu, jakim jest Krempna, mogła dla ciebie być wartością. Tylko w rajku mogła nią być.

Człowiek, nawet ten religijny, chce nieba już na ziemi, bo w inne to tak wierzy, ale nie wierzy, póki nie zobaczy. I stąd cały sukces religii i religijnej wizji nieba. Bo chrześcijańskie niebo to wcale nie gdzieś kiedyś, tylko tu i teraz obiecują. Skoro Bóg dobry jest i troskliwy, prowadzi i chroni. To jest wizja bycia pod opieką. Wizja wolności do niedecydowania. Czy to nie cudowna wizja? Ależ oczywiście, że tak! Dla człowieka zgnojonego i zniewolonego przez machinę współczesnego świata, któremu równocześnie wciąż każe się wybierać i wręcz wmawia mu się, jaki to on jest wolny i jaką wielką ma godność, że tak wybierać może, między mniejszym i większym złem, a nawet między spaghetti i carbonara.

Ale to się nie sprawdza, mówisz. To święto-królestwo nie sprawdza się w doczesnym świecie. Człowiek – dopóki przebywa w społeczeństwie i wchodzi w interakcje z innymi – nie jest w stanie wyłączyć całkowicie myślenia i nawet, a zwłaszcza jako krowa podążająca za przewodnikiem, nie przestaje myśleć, lecz zaczyna myśleć niezmiernie intensywnie, aczkolwiek mało logicznie. Prawdziwe krowy nie czerpią władzy ani poczucia siły i bycia „lepszymi krowami” z bycia zaopiekowanymi przez babulinkę w niebieskim fartuchu. Raj więc tylko zwierzętom jest dany w świecie doczesnym. Dla ludzi raj to kwestia przyszła. I tylko po śmierci zupełnie niegroźna.



Procesja krów odbywała się w Krempnej o ściśle określonych porach dnia. Łatwo było się na nią spóźnić, kiedy wakacyjnie chciało się pospać dłużej lub wracać późniejszą porą z wycieczek. I chętnie zostałabym w Krempnej na zawsze, bo w Krempnej jest wszystko, co kocham: wieś i jej zwierzęta, las, rzeka, zalew na rzece, cerkwie, a więc wschodnia sztuka sakralna, a w niedalekiej odległości Galeria Sztuki Cerkiewnej i Galeria Beksińskiego w Sa-

Jedyna droga to podążać w procesji od świtu do zachodu, nie zbaczając ze ścieżki. Tam, poza ścieżką, rosną kwiaty grzechu i czyha wilk namiętności. A podążać należy nie za babulinką w fartuchu, ale wonią łąki. I na jaskółki patrzeć i pić zieloną herbatę z miodem.

noku. Ale to już za daleko, poza Krempną, więc okazuje się, że „na zawsze” to nie wytrzymam.

Wielki gniew w raju

Tam to dopiero, w tych galeriach, pokłóciliśmy się.

Bo zrzędziłeś niemiłosiernie, że te ikony to jak przez nieuzdolnione dzieci malowane, a Beksiński w kółko to samo tworzył. A ja tłumaczyłam z płaczem w głosie, że to tradycyjna estetyka jest, że tu forma zawsze coś oznacza, że to było celowe, że to i tamto, a u Beksińskiego to jest genialność obsesji, a cała galeria jak świątynia jednej formy, jednego dzieła w wielości form, w wielości dzieł. A ty mi w nabożeństwie konsekwentnie przeszkadzasz, nie dajesz mi oddawać się kontemplacji. Bo dla mnie to właśnie ma wartość: galeria jako całość, kościół pogańskiego ducha, w którym mogę czerpać jak ze źródła, zwyczajnie złapać oddech i odpocząć.

Na nic to. Ciebie wzięło na dyskusje i udowodnianie racji! Dalej grzmiałeś mi prosto w ucho, że te ikony, ta tradycja cała, ten Beksiński wielbiony przez cały Sanok i wszystkich polskich studentów i doktorantów kultury i sztuki, to takie same święte krowy są. Ja zaś jak ta krempniańska krówka idę i kiwam głową: „tak, tak, to wielkie dzieła są, ach, ach”. Jak tamci dworzanie wokół króla czy ochroniarze wokół prezydenta. I ty mi z przyjemnością i satysfakcją przeszkadzasz w tych moich bałwochwalczych rytuałach.

Mnie już słabo od tego wszystkiego, a ty dalej swoje: cała architektura sakralna i ta galeria, i całe to muzeum to takie same święte krowy, tylko że mleka nikomu tak naprawdę nie dają. Tylko złudzenia. To coż więc jest tym mlekiem, którego nam trzeba?

Zdobywam się w końcu na odwagę i w wyniku mej odwagi niemal do świtu wrzeszczymy

na siebie już nie o to, co sztuką jest, a co nią nie jest, lecz o to, co naturą świata zwać się godzi i czy w naturze ludzkiej zapisano tymże naturalnym prawom uległość czy raczej bunt będący napędem rozwoju.

To była chyba nasza największa kłótnia (tytuł pozycji: wielki gniew w raju). A wszystko przez to, że przez chwilę zapomnieliśmy o krowach jako krowach – mięsnych ciałach zwierząt, które przeżuwiają trawę i za jej zapachem idą oraz za sobą nawzajem, biedną staruszkę ciągnąc jedynie na doczepkę. Wyszliśmy z rajskiej Krempnej, sami z własnej woli wygnaliśmy się na jedno popołudnie i taki tego skutek – nie wolno. Jedyna droga to podążać w procesji od świtu do zachodu, nie zbaczając ze ścieżki. Tam, poza ścieżką, rosną kwiaty grzechu i czyha wilk namiętności. A podążać należy nie za babulinką w fartuchu, ale wonią łąki. I na jaskółki patrzeć i pić zieloną herbatę z miodem. Tak jak my, już następnego ranka. Bo...

... świtanie to pora magiczna.

O świcie wszystko wygląda inaczej. Na wsiach mawiają, że gdy się noc z dniem spotyka, to się niebo otworzyć może, ale nam wystarczyło oczy zamknąć i w końcu naprawdę posłuchać siebie nawzajem. Potem spojrzeć na każdą ikonę z osobna i może nie obruszać się, że według ciebie Jezusek na kolanach Matki ma czoło jak postać ze Star Treka, ale właśnie w serialu tym dostrzec ikonę popkultury, która jak się zdaje ze sztuki wschodniej skorzystała świadomie bądź nie. (Czyż świętość nie jest w swej istocie kosmiczna? Czy tego, co uważamy za kosmiczne, nie czynimy w pewien sposób boskim?). Zamyślić się nad kulturą jako całością, nad tym, jak to się wszystko w tym wiejskim wianku przeplata, i zobaczyć, że nam się ręce splatają również.

*

Tak dotarliśmy naszą procesją tym razem od zachodu do świtu. Usiedliśmy przy oknie (dłoń w dłoni, na parapecie dwa kubki parującej zielonej herbaty z miodem gryczanym) i czekaliśmy razem na przejście procesji krempniańskich krów. (Tego ranka dostrzegłam, że jedno ze zwierząt nieznacznie zbacza z kursu i spowalnia pochód, chociaż nie kuleje, a ty się wcale nie śmiałeś). I uwiliśmy w sobie gniazdo dla Krempnej. Krempna, w postaci jaskółki, mieszka sobie w tym gnieździe wspólnym i w tych gniazdach każdym osobnym, pod skosem powały żeber i w półświatle lampki nocnej.



Anna Mazela – doktor nauk humanistycznych kulturoznawstwa, zafascynowana fotografią jako fenomenem kulturowym. Miłośniczka baśni. Animatora kultury i bibliotekarka. Poetka, wiersze publikowała w „Magazynie Materiałów Literackich CEGŁA”, w miesięczniku „Kraków”, „2Miesięczniku”, kwartalniku „Inter-Literatura-Krytyka-Kultura”, „Helikopterze”.

Biznes i muzyka

Rozmawiała Anna Woźniakowska Zdjęcia: archiwum Leszka Mikosa/za zgodą

Leszek Mikos: Zawsze chciałem być wolny i zamożny. Nie mam limitu na marzenia i zwykle udaje mi się je urzeczywistniać. W życiu trzeba być zdeterminowanym.



Prolog *Napój miłosny* Gaetano Donizettiego na rynku w Lanckoronie, wrzesień 2017 roku – od lewej: Leszek Mikos i Bronisław Maj

Anna Woźniakowska: Z wykształcenia jest Pan politologiem, z zawodu – deweloperem, a kiedy poprosiłam Pana o rozmowę, powiedział Pan, że będziemy mówić o muzyce. Dlaczego o niej?

Leszek Mikos: Jak Pani widzi, w kłapę marynarcki mam wpięty mały znaczek. To odznaka Chóru Chłopięcego Filharmonii Krakowskiej. Otrzymałem ją na 60. rocznicę istnienia zespołu, który w moim życiu odegrał zasadniczą rolę – zainfekował mnie muzyką. Trafiłem do niego pod koniec 1963 roku za sprawą pani Bronisławy Wietrzny prowadzącej wraz z prof. Józefem Suwarą Chór Chłopięcy. Wyszukiwała ona w krakowskich szkołach podstawowych chętnych i zdolnych do śpiewu uczniów. Mnie – wówczas ośmiolatka – znalazła w szkole nr 7 przy ul. Szlak.

Był Pan na tyle zdyscyplinowanym dzieckiem, by regularnie uczęszczać na próby? W tym wieku chyba chętniej grało się w zośkę?

Pani Bronisława wybrała z całej grupy tylko trójkę chłopców, więc odebrałem to jako wyróżnienie. A poza tym dwa razy w tygodniu wędrowałem samodzielnie na próby z Mazowieckiej na Zwierzyniecką, co się wiązało z różnymi wspaniałymi przygodami. Same próby były dla mnie początkowo trudne, bo nie miałem przygotowania muzycznego i zetknąłem się z muzyką, która na pozór zu-

Żeby pracować na własny rachunek i odnosić sukcesy przede wszystkim trzeba mieć potrzebę wolności.

pełnie nie pasuje do wieku chłopięcego. Pamiętam, jaką zmorą była *III Symfonia* Mahlera, wydawało mi się, że się tego nigdy nie nauczę. Ale jednocześnie były piosenki Noskowskiego, koncerty, brawa, zachwyty... A potem znalazłem się w gronie wybranych do śpiewania *Pasji* i *Jutrzni* Pendereckiego, więc poczułem, że należę do chóralnej elity. Dzięki Chórowi i kompozycjom Pendereckiego posmakowałem świata, bo koncertowaliśmy w całej Europie.

Poprzez Chór Chłopięcy trafił Pan też do Opery.

Tak, bo chłopcy z Chóru śpiewali także w Operze. Brałem udział w spektaklach *Carmen* i *Toski* i wpadłem na całe życie. Połknąłem bakcyli opery, stała się dla mnie niesłychanie ważna. Notabene wtedy po raz pierwszy zetknąłem się z Kazimierzem Wiśniakiem, który przygotował scenografię do *Carmen*. Po latach zaprzyjaźniliśmy się, współpracując przy różnych projektach w Lanckoronie.

Z Chóru Chłopięcego się wyrasta, ale w Panu ta muzyka została.



Koncert *Totus Tuus* w kościele Santo Spirito in Sassia w Watykanie, październik 2019 roku - od lewej: Leszek Mikos, Michał Kutnik, Tomasz Kuk

Po mutacji przez kilka lat śpiewałem w basach w chórze Bard prowadzonym przez prof. Irenę Pfeiffer.

To był podówczas najlepszy męski chór amatorski Krakowa...

... i dalszy ciąg mojej nauki śpiewu. Ale najważniejsze było to, że będąc członkiem Chóru Chłopięcogo, regularnie chodziłem na koncerty. Dziś jestem chyba jednym z najstarszych „abonentowiczów” Filharmonii.

Czy uczestnictwo w koncercie jest pewnym rytuałem, czy też kieruje Panem chęć wysłuchania danego utworu? A może to potrzeba bycia wśród ludzi podobnie reagujących na muzykę?

Nie mam takich wspólnotowych ciągów. Przeżywanie muzyki jest moją osobistą sprawą. Ja po prostu kocham Filharmonię Krakowską, to jest dla mnie najukochańsza sala koncertowa na świecie, historyczne miejsce największych triumfów krakowskiej muzyki. Ja tę wielkość wciąż w tym wnętrzu czuję.

Poznałam Pana przed laty w Operze jeszcze za dyrekcji Ewy Michnik. Wraz z przyjaciółmi sprowadził Pan wówczas do Krakowa Janusza Niziołka, basa świętującego triumfy na europejskich scenach muzycznych.

Po raz pierwszy wystąpiłem wówczas w roli producenta. W 1994 obchodziliśmy pięciolecie powołania Stowarzyszenia Przedsiębiorców Miasta Krakowa. Było nas wówczas zaledwie dwudziestu pracujących na własny rachunek. Byłem wiceprezydentem tego Stowarzyszenia, zaproponowałem, by właśnie tak obchodzić to pięciolecie. W repertuarze Opery był wówczas *Nabucco* Verdiego i Janusz Niziołek zaśpiewał Zachariasza. Zaproszona przez nas telewizja przeprowadziła transmisję. To była prawdziwa gala, na którą nie rozdawaliśmy biletów, tylko trzeba było za nie zapłacić. I ludzie chętnie płacili, sala była pełna, a zysk został przekazany fundacji w Radwanowicach. Chciałem na krakowski grunt przeszczepić zasadę, że ludzie mający pieniądze powinni partycypować w pewnych wydarzeniach kulturalnych. Wspomagaliśmy potem finansowo wybrane spektakle teatralne i premiery operowe, uczestniczyliśmy w nich zawsze w smokingach, żeby podkreślić, że to jest rodzaj święta. Ale ludzie czasem dziwnie na nas patrzyli, nie odczuwali potrzeby elegantszego ubioru w takich miejscach i w takiej chwili. Ja do dziś tę potrzebę mam, powiedziałbym nawet, że ją pielęgnuję. A wracając do *Nabucco*... Poczuję wtedy, że interesuje mnie organizowanie wydarzeń związanych z muzyką. Potem regularnie już w tej dziedzinie działałem, przygotowywałem jakieś koncerty...

... i pojawiła się w Pana życiu wspomniana Lanckorona.

Od dziecka lubiłem to miejsce, więc kiedy nadarzyła się okazja, włączyłem się w inicjatywę powołania stowarzyszenia, którego jednym z celów było zorganizowanie w Lanckoronie szkoły muzycznej.

Z kim Pan współpracował?

Stowarzyszenie Terra Artis Lanckorona zakładał między innymi małżeństwo znanych w Krakowie gitarzystów Susanne i Michał Nagy, pani Zofia Oszacka – ówczesna wójt Lanckorony, prof. Jerzy Hausner i prof. Zbigniew Mirek. W 2010 zorganizowaliśmy ognisko Terra Artis zajmujące się muzyką i plastyką, przez które przeszło już kilkaset dziecia-

ków. Kiedy w tymże 2010 roku w gminie Lanckorona ruszyła ziemia, zająłem się produkcją koncertu na rzecz poszkodowanych przez klęskę osuwisk. Zorganizowałem galę operową z udziałem wybitnych śpiewaków, między innymi Małgorzaty Walewskiej. I zupełnie przypadkiem, bo brakło funduszy na konferansjera, podjąłem się tej roli. I tak już zostało. Kiedy organizuję jakiś koncert, układam jego program, to z reguły także go prowadzę. Współpracuję, na przykład, z Fundacją Pro Musica Bona założoną przez Stefana Wojtasa, znanego pianistę, pedagoga, dyrektora Szkoły Muzycznej II st. im. W. Żeleńskiego w Krakowie. Koncerty na rzecz tej fundacji w Kopalni Soli w Wieliczce umożliwiły fundowanie stypendiów dla utalentowanych dzieci.

Pan jest członkiem tej fundacji?

Identyfikuję się z nią i wspomagam jej działania. A prowadzenie koncertów zmusza mnie do ciągłego poszerzania mojej wiedzy muzycznej. Od wielu lat wolny czas spędzam w teatrach operowych. Regularnie bywam w Metropolitan Opera, jestem nawet członkiem minigildii Met. Uważam, że jest to pierwsza scena świata.

O tym decydują po prostu pieniądze.

Ale pieniądze prywatne, nie dystrybuowane przez państwo. To jest dobry wzór, powinniśmy do niego dążyć. W Stanach wykształciła się kultura uczestniczenia w życiu operowym i filharmonicznym także poprzez jego finansowanie. Amerykańskie sceny operowe – wspomniana Met, San Francisco, Chicago – są według mnie najlepsze na świecie. A w Europie Opéra Bastille w Paryżu, Covent Garden w Londynie, która jest świetnie zorganizowana, no i moja ukochana Opera Wiedeńska. Jestem jej stałym bywalcem i przeżyłem w niej prawdziwe olśnienia. W ogóle staram się rygorystycznie przestrzegać uczestniczenia w koncertach czy to w wielkich salach świata, czy na poddaszu Szkoły Muzycznej u Stefana Wojtasa, czy w kościele św. Marcina na spotkaniach Polskiego Towarzystwa Bachowskiego. To drugi wątek mojego życia.

Bo pierwszym jest budowanie. Czy to może fascynować?

Ja nie buduję. Wykonuję przepiękny zawód, który w Polsce nie jest doceniany. Deweloper... nawet nie ma polskiego odpowiednika, a brzmi jakoś podejrzanie. A deweloper, jak sama nazwa wskazuje, to jest ktoś, kto rozwija, kto coś kreuje... Istota pracy dewelopera polega na tym, że w głowie rodzi się pomysł na biznes. To nie musi być budowanie, choć w moim przypadku tak właśnie jest. Na przykład kupuję jakiś teren, buduję biurowiec, wynajmuję go, a potem odsprzedaję jakiemuś funduszowi i na tym zarabiam. Deweloperem może być też ktoś, kto zajmuje się życiem koncertowym, planuje i realizuje jakieś przedsięwzięcia kulturalne. Myślę, że moje pomysły się udają, bo stosuję te same metody przy budowie hotelu co przy wyprodukowaniu opery w Lanckoronie.

To znaczy?

Zaczynam od budżetu, który muszę mieć dobrze obliczony i najchętniej niezależny od ewentualnych dotacji. I tu powrócę do Stowarzyszenia Terra Artis Lanckorona, ale i do Opery Wiedeńskiej, bo te wątki się splatają. Otóż w Wiedniu obejrzałem niegdyś *Napój miłośny* Donizettiego w reżyserii Otto Schen-

ka, chyba najlepsze przedstawienie opery buffa, jakie kiedykolwiek widziałem. I nagle zobaczyłem oczyma wyobraźni ten spektakl na rynku w Lancoronie... Tam nic nie trzeba było dodawać, to była naturalna scenografia dla tego dzieła. Potrzebowałem ośmiu lat, by zrealizować swój pomysł, oczywiście w wykonaniu rodzimych artystów. Zrobiliśmy to dwa lata temu wspólnie z Operą Krakowską. Kazimierz Wiśniak dopełnił scenografię pięknymi pejzażami, Bronisław Maj dopisał stosowne teksty, a spektakl przy cudownej pogodzie obejrzało blisko dwa tysiące ludzi. To było dla mnie niezapomniane przeżycie. Ilekroć potem przyjeżdżałem do Lancoron, spotykałem się z pytaniami, kiedy ciąg dalszy. I w Roku Moniuszkowskim pod egidą Stowarzyszenia Terra Artis, siłami Opery Krakowskiej i we

Nie skończyliśmy budować kapitalizmu, a znowu zaczynamy budować socjalizm. Ludzie, także w dziedzinie kultury, chcą dostawać wszystko za darmo, a to jest niemożliwe i demoralizujące.

współpracy z nowym już wójtem Tadeuszem Łopatą zrealizowałem *Straszny dwór*.

Nie było łatwo, w pewnym momencie gwarantowałem Pan imprezę własnymi pieniędzmi.

Zawsze tak jest. Takie są zasady biznesu. Byłem zderzony, by ten spektakl wyprodukować. Na szczęście udało się zrealizować w pełni przygotowany wcześniej plan finansowy, żaden element nie zawiódł. Kolejne moje marzenie to *Czarodziejski flet* Mozarta. Prowadzę już wstępne rozmowy.

Jakie cechy trzeba mieć, by pracować na własny rachunek i odnosić sukcesy?

Przede wszystkim trzeba mieć potrzebę wolności. Ja sobie nie wyobrażam, żebym komuś podlegał. Jeden raz krótko pracowałem na etacie – byłem nauczycielem języka francuskiego w szkole podstawowej pod Krakowem. Studiowałem wtedy romanistykę, choć jej nie ukończyłem. Jako wolny strzelec prowadziłem bufet z bułkami, herbatą i kawą w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej, organizowałem dyskoteki... Bo drugi warunek, to chęć posiadania pieniędzy umożliwiających spełnianie marzeń – od własnego mieszkania do realizowania takich pomysłów, jak te, o których mówiłem. Chciałbym, na przykład, wybudować teatr lub salę koncertową. Wiem, że to pomysł wariacki, ale gdybym był, na przykład, księgowym w ZUS, to nie mógłbym nawet o tym myśleć. Jestem jednak deweloperem, więc może kiedyś coś takiego się zdarzy. Nie mam limitu na marzenia i zwykle te plany jakoś urzeczywistniam.

Trzeci warunek to determinacja.

Nawet za cenę ryzyka? Nigdy Pan nie splajtował?

Dwa razy byłem na skraju bankructwa. Najgorszym okresem w moim życiu był czas szalejącej inflacji w latach 90. ubiegłego wieku. Byłem ogromnym entuzjastą planu Balcerowicza, ale poniosłem jego konsekwencje. Musiałem zlikwidować dużą fabrykę sprzętu oświetleniowego, byłem bez grosza, ale po trzech miesiącach zostałem kontraktorem bu-

dowy siedziby wielkiego banku na Ukrainie. I tak to się toczy.

A jak Pan sądzi, dlaczego deweloperzy nie cieszą się dobrą opinią?

Bo nie wszystko zyskało właściwą hierarchię. Gdybyśmy żyli w dojrzałym społeczeństwie, w którym ważnym politykiem nie może zostać ktoś, kto był tylko asystentem innego polityka i nigdy nie zarobił grosza własnym pomysłem, nigdy nie czuł odpowiedzialności za swoje decyzje, to pewnie inaczej bylibyśmy oceniani. Ale my nie skończyliśmy budować kapitalizmu, a znowu zaczynamy budować socjalizm. Ludzie, także w dziedzinie kultury, chcą dostawać wszystko za darmo, a to jest niemożliwe i demoralizujące.

Ma Pan szczęście do ludzi?

Mam od lat kilkoro zaufanych współpracowników. Czasem boją się moich pomysłów, ale właściwie rozumiemy się bez słów. Wiele przeszliśmy razem. Kapitalizm dopiero się rodzi, to były pionierskie czasy, trzeba było szukać dróg, sposobów... Pyta Pani, jakie cechy trzeba mieć, żeby się w tym odnaleźć. Może trzeba być trochę szaleńcem, a może ryzykantem... Nie wiem, ale przekonany jestem, że każdy może robić interesy, tak jak każdy może śpiewać.

No nie, nie każdy...

Nie każdy? A ja, gdy skończyłem pięćdziesiąt lat, postanowiłem zrobić coś dla siebie. Ponieważ fascynowałem się samą sztuką śpiewania, samym rzemiosłem, na „pięćdziesiątkę” zacząłem się uczyć śpiewu najpierw w prywatnej szkole, a potem trafiłem pod opiekę Jacka Ozimkowskiego – basa, solisty operowego i oratorskiego, wspaniałego pedagoga. Śpiew okazał się wspaniałym remedium na kłopoty zawodowe. Kiedy wydaje mi się, że jestem w sytuacji bez wyjścia, działa jak czary. A dzięki Andrzejowi Koskowi, kantorowi i organizatorowi w bazylice w Kalwarii Zebrzydowskiej, który organizuje tam i w okolicznych kościołach regularne koncerty, największą radość przeżywam, kiedy stoję na chórze i śpiewam. Po prostu zanurzam się w muzyce.

Od redakcji: Materiał powstał przed wybuchem pandemii.



Anna Woźniakowska – teoretyk muzyki, absolwentka Akademii Muzycznej w Krakowie. Od lat tłumaczy czytelnikom i słuchaczom, że muzyka ułatwia życie.

Anty-Heimatroman

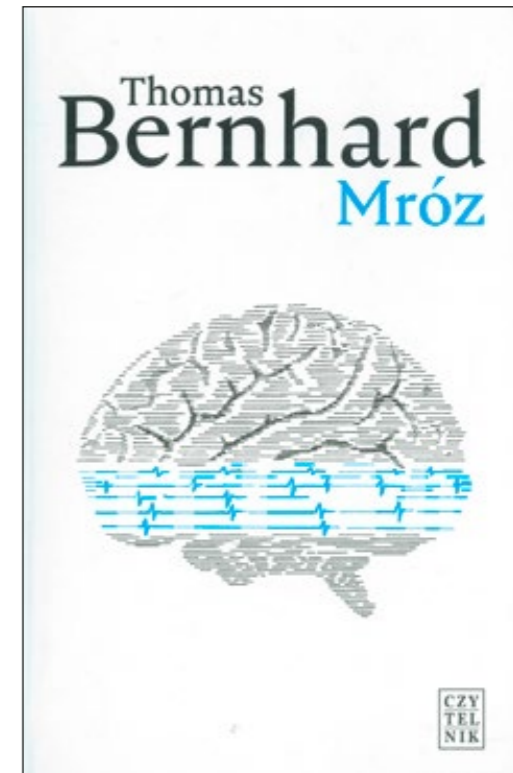
Tekst: Jakub Wydrzyński

Twórczość Thomasa Bernharda znana jest nie od dziś polskim czytelnikom i teatromanom. Szczęśliwie w Krakowie od dwóch dekad z afisza Starego Teatru nie schodzi uwielbione przez publiczność *Rodzeństwo* w reżyserii Krystiana Lupy, który jak nikt inny przyczynił się do popularności Austriaka w Polsce dzięki słynnym adaptacjom *Wymazywania*, *Kalkwerk*, *Emmanuela Kanta*, *Wycinki*.

Wydawnictwo Czytelnik od zeszłego roku wydało trzy tomy wznowień dzieł zebranych Bernharda, zapowiada też reedycję jego utworów dramatycznych. A pod koniec zimy do księgarń zawitał *Mróz*, młodzieńcza powieść autora, prawie niedostępna od czasu tłumaczenia z roku 1979. Wyglądało to nieco jak żart z popularnego autora kryminałów lub nawiązanie do wiosennych przymrozków, lecz jak miało się okazać, rzeczywistość za oknem stała się nagle bardzo bliska tej z kart powieści. Poddani społecznej izolacji, zamknięci i wyciszeni, staliśmy się podobni do głównego bohatera – malarza Straucha, muzyka uciekającego z Wiednia do chaty pośród malowniczych gór, porzucającego przeszłą karierę, twórczość i kontakty towarzyskie. W debiutanckiej powieści pojawia się większość zajmujących i potem Bernharda motywów: świat artystów, opresja społecznego porządku, izolacja, obłąd, szukanie sensu w twórczości i nauce. Wszystkie te tematy rozwinie później, portretując wielkich myślicieli, środowisko artystyczne Austrii, analizując ciekawą granicę między geniuszem a szaleństwem.

Narratorem *Mrozu* uczynił studenta medycyny wysłanego w tajemnicę przez brata bohatera (Straucha – lekarza). Ma czynić obserwacje i raportować o stanie zdrowia malarza. Relacje studenta poznajemy w formie notatek z dziennika, który staje się zapisem postępującej fascynacji uciekinierem-szaleńcem. Racjonalny, kierujący się porządkiem nauki, powoli przechodzi na jego stronę. W końcu kapituluje, nie widząc możliwości uzdrowienia Straucha, a wręcz zaczyna parzyć na świat kategoriami protagonisty.

Bernhard, gdy wysyła swych bohaterów na prowincję, bynajmniej nie pozwala im tam odetchnąć. Nie znajdują na niej ani poczytliwości prostych ludzi, ani uroków przyrody.



Żadnych sielskich alpejskich wiosek z *Dźwięków muzyki*. Same cieniste doliny atakowane śnieżycą, markotni autochtoni oraz upiory wojny i bieda, które nie chcą opuścić okolicy. Co po latach odkrywa przed nami *Mróz*? Być może przypomina gombrowiczowską tezę, że od człowieka uciec można tylko w ramiona innego człowieka, zaś od siebie już uciec nie sposób. Harmonia (jak prowincja) to nie miejsce, ale stan umysłu. Jest w nas albo nie ma jej wcale.

Thomas Bernhard, *Mróz*, Czytelnik, Warszawa 2020



Nie kłamię, kiedy śpiewam

Rozmawiał Wacław Krupiński Zdjęcia: Grzegorz Kozakiewicz

Beata Rybotycka: Nie jestem kobietą, która musi grać, by być szczęśliwa.

Wacław Krupiński: Zainspirował mnie do tej rozmowy uroczy, muzyczny spektakl *Błękitne krewetki* – trochę jakby o Tobie.

Moja mama powiedziała mi to samo. Fakt, kilka anegdot jest z mojego życia.

Ta o studentce szkoły teatralnej, która nago przejechała na koniu przez centrum Giżycka, także?

Na obozie w Giżycku wiele się działo, ale tę scenę wziął autor z historii Anglii.

Odwołuje się on do Twoich spektakli w STU, do Beckettowskich *Szczęśliwych dni*, do spotkania z Jerzym Nowakiem w *Sekretach nietoperzy*, a zwłaszcza do roli Gertrudy w *Hamlecie*...

Hamleta gramy dwudziesty sezon. Ja jestem już trzecią Gertradą i kiedy pojawiła się konieczność zaangażowania dziewiętej Ofelii, reżyser szukał utalentowanej wokalnie studentki, bo w planie były *Krewetki*.

Ofelię gra Alicja Wojnowska – Twoja studentka ze szkoły teatralnej, z której po sześciu latach odeszłaś.

Na razie przestałam uczyć, może kiedyś wrócę... Wielu studentów, których uczyłam, gra w Teatrze STU. Fantastycznie jest się przyglądać, jak rozwijają się ich talenty. Potencjał wokalny Alicji poznałam w szkole.

Ty Ofelii nie zagrałaś nigdy.

Byłam za wysoka, za dojrzała, nie miałam warunków.

Ten spektakl skłania do wspomnień, lubisz spoglądać wstecz?

Jednym z głównych wątków przedstawienia jest upływający czas. Garderoby Teatru STU pamiętają Andrzeja Zauchę, Zuzannę Leśniak, Jarka Śmietanę, Jerzego Nowaka, Zbyszka Wodeckiego. Umieszczenie akcji w teatralnej garderobie, gdzie spotyka się profesorka ze studentką, doświadczenie z młodością, Gertruda z Ofelią, jest idealne dla wspomnień o aktorach, którzy tu grali.

Finał sztuki to wzruszający hołd dla Zbyszka Wodeckiego.

Jest wzruszający, bo on tu był aktorem, a tego walca, którego śpiewamy na koniec, dostałam od niego kilka lat wcześniej bez słów. Tekstu Jacka Cygana Zbyszek już nie przeczytał.

Występowałaś ze Zbyszkiem przed laty w warszawskim Teatrze Na Woli w komedii muzycznej *Grają naszą piosenkę*.

Jest koniec I aktu, śpiewam arię o miłości, po której Zbyszek ma wejść, mamy się po-

kłócić i mam mu powiedzieć, że jeżeli nie myśli o naszym związku poważnie, to między nami koniec. Skończyłam śpiewać, Zbyszek nie ma. Wołam „Vernon, Vernon!”. Nic. Zdenerwowałam się, że coś mu się stało, no, bo czemu go nie ma!? Na szczęście przytomny akustyk włączył sygnał telefonu, który stał na podłodze, dzięki czemu, improwizując, nawrzeszczałam na Vernona do słuchawki i, półprzytomna, zeszłam ze sceny. Wbiegam roztrzęsiona do bufetu, a Zbyszek, na kolanach, z kawą w rękę, już przebrany do drugiego aktu: „Przepraszam cię, zapomniałem, że jeszcze jest coś do grania”.

W STU spotkaliście się w *Sonacie Belzebuba*...

Teatr STU wielokrotnie chciał nawiązać do legendarnej *Szalonej lokomotywy*, która była zbudowana na szkielecie *Sonaty Belzebuba* Witkacego, ale nie było komu powierzyć głównej roli. Zbigniew Wodecki to było olśnienie. Trębacz, skrzypek, wokalista, aktor i wspaniały kompozytor. Okazał się być idealnym odtwórcą roli Belzebuba.

Z Jerzym Nowakiem grałaś w *Sekretach nietoperzy* w reżyserii Żuka Opalskiego...

Wspaniały aktor, cudowny człowiek. Przeżyłam z Jurkiem taką przygodę: został zaproszony do znanego w Krakowie Domu Pomocy Społecznej przy ul. Helclów. Uznał, że będzie mu raźniej ze mną, na co naturalnie przystałam. Najpierw był pokaz mody w wykonaniu pensjonariuszy, później występy przedstawicieli kilku innych domów opieki, i na deser – ja z Jurkiem. Już mieliśmy stamtąd wychodzić, gdy jakaś starsza pani zapytała nas serdecznie: „A wy, to z którego domu opieki jesteście?”.

Mnie przypomniał tego aktora pojawiający się w *Krewetkach* esemes od Fortynbrasa: „Dziewczyny, grajcie dzisiaj wolniej, bo chcę w garderobie obejrzeć do końca mecz Barcelona – Real”. Jurek opowiadał mi, jak z powodu meczu przyspieszyli w Starym spektakl o wiele minut...

W STU nie ma aktorskiego bufetu z telewizorem. Mecze ulubionej Barcelony oglądam z mężem w domu.

Mówisz jako Gertruda: „Twarze tych, którzy tu byli przez lata, w tych garderobach, w tym teatrze, one ciągle tam są w tych lustrach”. Wielu grających tutaj można jeszcze przywołać. Często myślę o Halinie Wyrodek, z którą również występowałam w Piwnicy pod Bara-

nami. Podziwiałam ją, czasem zdarza mi się „zagrać Halinę”.

A fragment śpiewanego przez Halinę wiersza Poświatowskiej *Koniugacja*, teraz potraktowany jako intro do piosenki *Przeглядam się w lustrze...?*

„minąłeś
minęłam
już nas nie ma
a ten szum wyżej
to wiatr
on tak będzie jeszcze wieczność wiał
nad nami
nad wodą
nad ziemią”

Wykorzystałam go już jako Winnie w Becketcie. Kwintesencja przemijania.

Marzyłaś w czasie studiów jak Twoja bohaterka o roli Gertrudy?

Najważniejsze było dla mnie być w teatrze; o graniu wielkich ról bałam się marzyć.

A teraz?

Beata Rybotycka: Wspólna praca może też przenosić się do domu. Gdy pracowaliśmy z Krzysztofem [Jasińskim] nad Beckettem w teatrze były *Szczęśliwe dni*, a w domu wisiła siekiera. No nie było łatwo. Aż po jednej z prób odgrzewam w domu rosół i nagle słyszę pytanie: „Jak ci poszło na próbie?”. „Ale o co mnie pytasz, przecież Ty prowadziłeś próbę, Ty mnie reżyserowałeś”. „Ale teraz cię pytam jako mąż”.

Wiele ról już zagrałam, nie jest mi obojętne, z kim jestem na scenie. Mam to szczęście, że w tym teatrze występują znakomici aktorzy; gdybym tak mogła jeszcze z nimi zagrać *Moliera*...

Twoja postać mówi: „Aktorki w pewnym wieku siedzą w domu i czekają, aż zadzwoni telefon z propozycją”. Ty, żona Krzysztofa Jasińskiego, dyrektora teatru i reżysera, masz komfort. Zaprasza Cię do większości spektakli.

Widać dobrze mu się ze mną pracuje. Przede mną rola osiemdziesięcioletniej niani w *Trzech siostrach*.

Świetnie się znacie, zatem pewnie jest łatwiej. Ale taka praca może też...

...przenosić się do domu. Gdy pracowaliśmy nad Beckettem, w teatrze były *Szczęśliwe dni*, a w domu wisiła siekiera. Gdy jest większa obsada, to rozmaite napięcia się rozkładają, a tu byłam głównie ja. No, nie było łatwo. Aż po jednej z prób odgrzewam w domu rosół i nagle słyszę pytanie: „Jak ci poszło

na próbie?”. „Ale o co mnie pytasz, przecież Ty prowadziłeś próbę, Ty mnie reżyserowałeś”. „Ale teraz cię pytam jako mąż”. A poważnie mówiąc, lubię z nim pracować, bo czuję się bezpieczna. Mam pewność, że Krzysztof wie, czego chce, umie prowadzić aktora. Gram teraz więcej niż zaraz po studiach, ale nie jestem kobietą, która musi grać, by być szczęśliwa.



To może i dobrze, zważywszy, jak nie umie Cię dostrzec film?

Ale dostrzegł mnie Steven Spielberg, który, zobaczywszy mnie w Piwnicy pod Baranami, zaprosił do *Listy Schindlera* i do Los Angeles na nagranie piosenki. Miałam wtedy spektakle w Starym Teatrze i dyrektor Bradecki nie chciał mnie zwolnić. Ostatecznie film wykupił trzy przedstawienia i mogłam

polecieć do Hollywood. Potem miałam dzień zdjęciowy w Krakowie z grającym *Schindlera* Liamem Neesonem. Śpiewałam mu *Miłość ci wszystko wybaczy*.

Z wielkimi reżyserami spotkałaś się w Starym Teatrze, byłaś w nim 10 lat...

Grałam u Jarockiego, Stuhra, Bradeckiego, Śmigasiewicza, ale najcieplej wspominam kameralną sztukę w reżyserii Romana Koza-

ka *Urodziny Smirnowej* i *Tęsknotę za Frisco* w reżyserii Fedorowicza, bo to piosenką *Carmentita* z tego spektaklu trafiłam do Piwnicy. Którejś soboty zaczął mnie w *Vis-à-vis* Piotr Skrzynecki, mówiąc, że koniecznie muszę przyjść wieczorem, bo artystki się pochorowały i nie ma kto śpiewać. Tak się zaczęło.

Odeszłaś po śmierci Piotra. Nie brakuje Ci Piwnicy?

Ci, którzy wtedy byli mi bliscy, wciąż mi towarzyszą. Jacek Wójcicki, z którym w ciągu dwudziestu pięciu lat objechaliśmy kawał świata. Konrad Mastyło, który jest moją miłością – tyle że wciąż pamiętam ostrzeżenie mojej ukochanej pani profesor Marty Stebnickiej: „Jak znajdziesz świetnego pianistę, nie wdawaj się z nim w romans, bo to śmierć dla współpracy”. Czasem tęsknię za tamtą atmosferą. Teraz podobne klimaty odnajduję w koncertach Zbigniewa Preisnera i w *Nieszporach ludźmierskich* Jana Kantego Pawluśkiewicza, które śpiewam od ponad dwudziestu lat.

Jego kompozycje złożyły się na Twój recital w STU, nagrany na płytę.

W STU nagrałam jeszcze płytę *Szurum burum* z Jarkiem Śmietaną. Moje piwniczne śpiewanie zaczęło się naprawdę od śpiewogry *Wieśniacze życie* z muzyką Grzegorza Turnaua.

W piosence *Ludka śmieszka* ujawniłaś wtedy niezwykłą *vis comica*, do czego długo nie miałaś okazji w teatrze. W 2004 roku pisałem: „Muszę się narazić Krzysztofowi Jasińskiemu, który w STU wystawił *Sztukę kochania* Zbigniewa Książka. (...) fakt, że jako reżyser nie obsadzał tej aktorki w rolach komediowych od lat nastu, jest co najmniej naganny”.

Anna Polony, moja profesorka w PWST, zawsze mi mówiła, że będę tragiczką. I faktycznie – ani w czasie studiów, ani później, do czasu *Ludki śmieszki*, nic śmiesznego nie zagrałam. Gdy debiutowałam w STU, u boku Andrzeja Zauchy, w *Panu Twardowskim*, Krzysztof Jasiński namówił mnie, bym jako Kordula mówiła po śląsku, więc pewnie już wtedy dostrzegł we mnie talent komediowy. Niemniej na *Sztukę kochania* czekałam 12 lat. Potem szczęśliwie to się zmieniło...

Bardziej cieszysz się wiadomością o otrzymaniu roli tragicznej, jak Maria Liebiadkin w *Biesach*, czy komediowej?

Rolę gra postać, którą ja muszę zbudować z tego, co jest wizją reżysera opartą na tekście autora. To są jedyne ograniczenia. Reszta należy do mnie i staram się odnajdywać postać w grze przeciwieństw. Lubię tragikomedie, a jeszcze bardziej tragigroteskę, nawet tragifarsę lubię, bo taka jest rzeczywistość – i do śmiechu, i do płaczu. Dziesięć lat gram zamknięta w kopcu w *Szczęśliwych dniach* Becketta. Nie wiem, czy na scenie spotka mnie większe szczęście.

Wróćmy do *Krewetek*. Grana przez Ciebie postać odbierając od mamy życzenia urodzinowe, zastrzega, że ich nie obchodzi. A Ty? Obchodzę w lesie na Mazurach wraz z mężem, gdyż oboje urodziliśmy się 21 lipca.

Ty 21 lat po nim. Twoja postać nie tylko odbiera w garderobie telefon od mamy, ale i od jakiegoś dziennikarza... Ty także masz włączoną za kulisami komórkę?

Rany boskie, za kulisami nie wolno! Jak zdarzyło mi się raz odebrać, bo widzę, że dzwoni mąż, to mnie zrugął, że odbieram w trakcie przedstawienia.

Jak wyglądają Twoje godziny w garderobie – bardziej skupienie czy luz, bo wszystko już masz opanowane?

Lubię być w teatrze dużo wcześniej, przygotować się, wyciszyć. Tego mnie nauczył mój dyrektor. Przed *Wyzwoleniem* Wyspiańskiego byliśmy wszyscy proszeni na pustą scenę, gdzie staliśmy w półmroku, w kompletnej ciszy po to, by się skupić, potem rozchodziliśmy się w kulisy i już nikt nic nie mówił, tylko czekali, aż widzowie zajmą miejsca.

Wśród 17 znakomitych piosenek w spektaklu jest i przebojowa *Make up*. Dla Ciebie makijaż to teatralna codzienność.

Już ponad 30 lat. Nie maluję się tylko latem na wsi i wtedy czuję się wspaniale.

A propos, w Twojej piosence o przemijaniu *Przełądam się w lustrze* odczuwam osobisty ton...

Nie kłamię, kiedy śpiewam, że widzę, jak się zmieniam. A w życiu nie histeryzuję, staram się żyć zdrowo, gotuję według zasad ajurweddy, ćwiczę jogę.

Twoja młodzieńcza sylwetka to najlepsza reklama tej kuchni i jogi.

Ciało aktora jest instrumentem i trzeba o nie dbać jak o instrument.

Śpiewasz od lat, znakomicie, będzie płyta z *Krewetek*?

Nie wiem. Faktycznie piękne te piosenki, niemal wszystkie premierowe, i warto by je utrwalić, ale jak wiesz, wymaga to środków, zainteresowania ze strony jakiejś firmy fonograficznej... Na pewno byłaby to piękna płyta; Krzysztof, poznawszy ten materiał, decyzję o jego wystawieniu podjął w dwie godziny. Ja też bardzo lubię to przedstawienie, podobnie jak publiczność, żegnająca nas na stojąco. Nawet powiedziała mi Ali, żeby się nie przyzwyczajała, bo nie zawsze tak będzie.



Wacław Krupiński – dziennikarz z ponad 40-letnim stażem, z czego ponad 30 oddał „Dziennikowi Polskiemu”. Píše o estradzie, teatrze, literaturze. Autor m.in. *Głowy piwniczne* (WL), *Zbigniew Wodecki. Pszczoła, Bach i skrzypce* (Prószyński i S-ka), *Jan Kanty Osobny* (WL), *Cytaty z młodości. Rozmowy z ludźmi kultury* (Universitas).

Atlas chasydyzmu skali światowej

Tekst: Krzysztof Burnetko

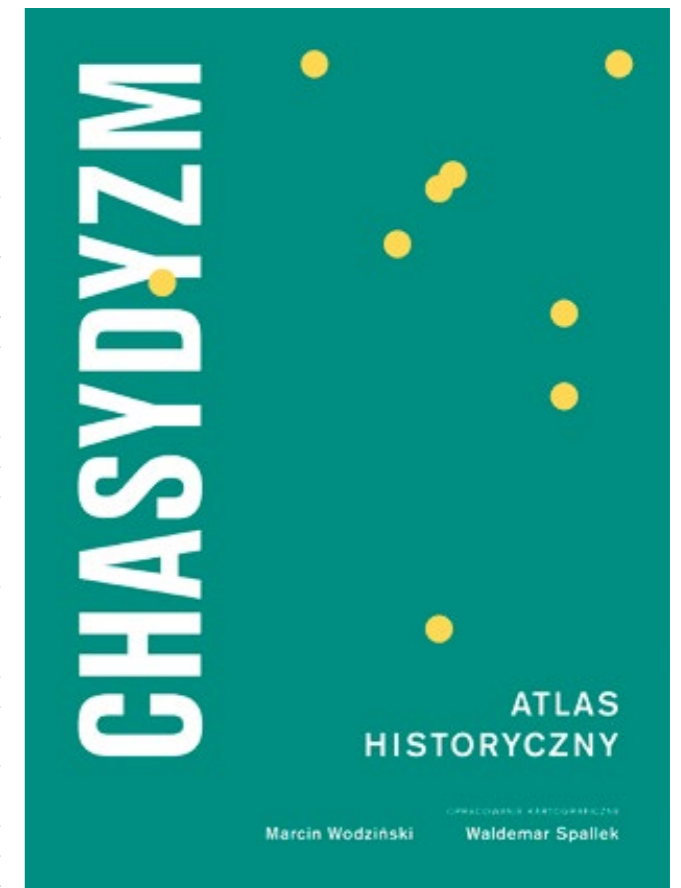
„Nagrodę Specjalną przyznaliśmy za wydarzenie o skali światowej” – tak Marian Turski, szef działu historycznego tygodnika „Polityka”, wyjaśnia decyzję jury jednego z najbardziej dziś prestiżowych w Polsce wyróżnień w branży dziejopisarskiej. Dość powiedzieć, że Nagroda Historyczna „Polityki” przyznawana jest od 1959 roku, a w skład obecnego jury wchodzi, prócz Mariana Turskiego, tak uznani historycy, jak Włodzimierz Borodziej, Dariusz Stola, Bożena Szaynok, Wiesław Władysław i Marcin Zaremba.

Oni właśnie za, powtórzmy: „wydarzenie o skali światowej”, uznali album *Chasydyzm. Atlas historyczny* opracowany przez prof. Marcina Wodzińskiego i Waldemara Spalleka, a wydany przez krakowską Austerię (założoną i kierowaną z niezmienną pasją przez zaprzyjaźnionego z „Krakowem” Wojciecha Ornata.)

Przypomnijmy: ten unikatowy nurt mistycyzmu żydowskiego narodził się w XVIII wieku na ziemiach Rzeczypospolitej. Z czasem stał się jednym z najważniejszych prądów religijnych w łonie judaizmu i jednym z największych ruchów religijnych w Europie Wschodniej. Co więcej, pełnił też rolę formacji kulturowej – kształtował system wartości, wyobrażenia o świecie i relacje społeczne nie tylko samych chasydów i ich rodzin, ale także wielu innych Żydów mieszkających na tym obszarze. Dlatego uchodzi za kwintesencję czy też ikonę wschodnioeuropejskiej żydowskości, a kultura chasydzka „uznawana za jedyną nieskażoną wersję tradycyjnej kultury żydowskiej” (choć – jak dowodzą autorzy *Atlasu*, to akurat przekonanie jest błędne, bo „świat tradycyjnego, a potem ortodoksyjnego żydostwa był znacznie bogatszy”).

Prof. Marcin Wodziński, zaliczany do najwybitniejszych w świecie badaczy chasydyzmu, postanowił opowiedzieć o jego fenomenie w nowatorski sposób – nie tylko przez historię przywódców i elit ruchu, ale też miejsca modlitw, szlaki pielgrzymek oraz sylwetki zwykłych wyznawców, także tych żyjących na głębokiej prowincji. Równie nowatorskie jest obszerne uwzględnienie późniejszych etapów rozwoju chasydyzmu – w tym jego rozwoju w Stanach Zjednoczonych na początku XX stulecia, statusie w Związku Sowieckim oraz losów chasydów w czasie Zagłady. A wreszcie czasów powojennych – w tym dzisiejszych ośrodków ruchu. Okazuje się, na przykład, że w Europie największym obecnie jego skupiskiem jest Belgia (Antwerpia), zaś 14 chasydzkich rodzin żyje też w Chinach.

Równie ważnym jak opowieść historyczna elementem monumentalnego wydawnictwa jest materiał ikonograficzny – nie tylko zdję-



cia oraz faksymile ksiąg i dokumentów, lecz także, jak na atlas przystało, bogato opisane, acz przejrzyste mapy i inne elementy kartograficzne (tyleż mrowczo, co brawurowo opracował je Waldemar Spallek). Dopiero ich przestudiowanie uzmysławia faktyczny zasięg i dynamikę ruchu chasydzkiego, ale również wpływ, jaki wywierały nań warunki życia wyznawców – polityczne, materialne, ale nawet także czysto geograficzne.

Dzieło faktycznie o skali światowej.

Marcin Wodziński, Waldemar Spallek, *Chasydyzm. Atlas historyczny*, Austeria, Kraków/Budapeszt/Syrakuzy 2019.



Krakowski Festiwal Filmowy nie poddaje się zarazie

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Kadr z filmu *Pollywood*

To miała być wyjątkowa impreza. W końcu raz w życiu kończy się 60. lat. Ale zaraza pokrzyżowała plany i tegoroczny Krakowski Festiwal Filmowy nie odbędzie się w dotychczasowej formule. Jednak organizatorzy się nie poddali.

Do w całości (!) przenieśli go do sieci. Od 31 maja do 7 czerwca możemy brać udział w pokazach festiwalowych filmów, wyobrażając sobie, że siedzimy na kinowej widowni.

Wrażenie wspólnotowości stworzy choćby częściowo to, że pokazy filmów będą odbywać się w określonych godzinach, kiedy wszyscy widzowie festiwalu *on-line* zasiądą przed ekranami. Po seansach, jak co roku, będą mogli wziąć udział w spotkaniach z twórcami i bohaterami filmów transmitowanych w mediach społecznościowych i na stronie festiwalu.

Wszystko rozpocznie się, jak to zawsze bywało w kinie Kijów, od ceremonii otwarcia. Na początek zobaczymy *Pollywood* Pawła Ferdka. To osobista podróż do Ameryki, którą reżyser odbył śladami wschodnioeuropejskich założycieli Hollywood – Samuela Goldwyna, Luisa B. Mayera i braci Warner. – To tu, w Polsce, wszystko się zaczęło, zdaje się sugerować tytuł filmu. Jakże więc nie rozpocząć obchodów jubileuszowych powrotem do źródeł kina, podążając śladem naszych przodków? To w Krakowie odbył się pierwszy pokaz filmowy na terenach Polski, to w niedalekiej Suchoj urodził się Billy Wilder, to tu zaczęła działać pierwsza szkoła filmowa i to tu powstał pierwszy festiwal filmowy w Polsce. I jeszcze nasi zbudowali Hollywood – mówi Krzysz-

tof Gierat, dyrektor Krakowskiego Festiwalu Filmowego.

Tradycja imprezy nakazuje, by za każdym razem wręczać nagrodę Smoka Smoków wybitnym twórcom za ich wkład w rozwój światowej kinematografii. Tak będzie też w tym roku. Laureatem został Péter Forgács – wybitny węgierski dokumentalista i artysta multimedialny. W dniu zakończenia pokazów konkursowych poznamy również zwycięzców festiwalowych konkursów – trzech międzynarodowych i jednego polskiego, którzy będą mieli do odebrania nagrodę Złotego Rogu, Złotego Smoka, Złotego Hejnału i Złotego Lajkonika. Organizatorzy nie chcą jednak wręczać ich wirtualnie. Wolą poczekać na lepsze czasy. Wtedy też będzie urodzinowy tort i długie świętowanie.

By wziąć udział w festiwalowej uczcie (na razie tylko w sieci), trzeba wykupić dostęp do filmów *online*. Można nabyć karnety na całość, a także bilety na pojedyncze seanse, które w związku ze zmianą formuły oferowane będą w nowych, atrakcyjnych cenach. Internetowe spotkania z twórcami, debaty oraz wydarzenia towarzyszące będą dostępne bez ograniczeń.

60. Krakowski Festiwal Filmowy odbędzie się od 31 maja do 7 czerwca. Szczegółowy program na stronie internetowej.

Tworzę nowe światy

Rozmawiała Elżbieta Wojnarowska Zdjęcia: Grzegorz Kozakiewicz

Magdalena Łazarkiewicz: Otwartość. To jest chyba najważniejsze. I szacunek dla inności. I ciekawość. Ciekawość inności, ciekawość świata, ciekawość ludzi, ciekawość marzeń, dążeń.

Elżbieta Wojnarowska: Przenikanie tworzonych przez Ciebie światów fikcyjnych z tym realnym, z życiem, musi być trudne. Ale skąd się wzięło?

Magdalena Łazarkiewicz: Sięgamy do korzeni... Urodziłam się po wojnie, jednak moje dzieciństwo właściwie przebiegało w jej cieniu. Rodzice podzielili się ze mną nie tylko miłością, ale też wojenną traumą. Ze strony ojca prawie cała rodzina zginęła w getcie warszawskim, nigdy nie poznałam moich dziadków, uratowała się tylko jedna z sióstr. Tragiczna śmierć ojca na pewno też miała wpływ na moją psychikę, postrzeganie świata, dramatyczne rozwijanie wyobraźni. **A Twoja fascynacja teatrem, a potem kinem?**

Teatrem zainteresowałam się jeszcze w szkole średniej. Zamierzałam studiować reżyserię teatralną. Ale wówczas był wymóg, że trzeba było skończyć najpierw jakieś inne studia, żeby móc zdawać na reżyserię. Dlatego wyjechałam do Wrocławia, bo tam się pojawił ciekawy kierunek – kulturoznawstwo, a w jego ramach można było wybrać jako specjalizację teatrologię. Włączyłam się w ówczesne życie artystyczne Wrocławia, który wtedy był prężnym ośrodkiem kulturotwórczym. Oprócz Teatru Grotowskiego, działał tam Teatr Pantomima, Teatr Współczesny, Teatr Kalambur, odbywały się Festiwale Teatru Otwartego, na które zjeżdżały alternatywne teatry z całego świata, festiwale Jazz nad Odrą... Z przyjaciółmi założyliśmy grupę teatralną, z której potem część osób związała się z teatrem Gardzienice. Po tych studiach wyjechałam do Olsztyna, gdzie z ekipą podobnych zapaleńców mieliśmy zamiar stworzyć alternatywny ośrodek kultury. Dopiero gdy nas stamtąd wyrzuciono, uświadomiłam sobie, że moją pierwszą i największą miłością jest film.

Uciekałam od tego w stronę teatru, ponieważ bałam się posądzenia, że naśladowuję drogę życiową starszej siostry. Ale byłam już na tyle dojrzała, że rozumiałam, że to jest przeciwieństwo mojego życia, moja droga. Najpierw próbowałam się dostać do szkoły łódzkiej. Gdzie zresztą podczas egzaminów wstępnych spotkałam Piotra... Potem była szkoła katowicka, którą oboje ukończyliśmy...

Jak Wasza prywatna relacja z Piotrem przeszła w relację zawodową?

Zrobiliśmy tylko jeden wspólny film – *Odjazd*, natomiast oczywiście trudno nam było oddzielić pracę od życia domowego. To się przenikało. Jak zwykle,

gdy dwoje ludzi żyje ze sobą tak blisko. Ciągłe wymienialiśmy się pomysłami i działaniami, ale przy okazji *Odjazdu* na etapie montażu uświadomiliśmy sobie, że nie da się pogodzić dwóch tak różnych i silnych osobowości, jak nasze. Doszliśmy do wniosku, że nie należy tego doświadczenia współreżyserowania powtarzać.

Twój debiut filmowy *Przez dotyk* był wydarzeniem. Wszedł od razu na szczyt, posypały się nagrody. Było to dla Ciebie zaskoczeniem?

Na początku drogi zawodowej najważniejsze jest, by się utwierdzić w swoich przecuciach.

Oczywiście. Kiedy zaczyna się życie zawodowe, trudno spodziewać się czegoś takiego, zwłaszcza że to był skromny film, nikt nie przypuszczał, że może odnieść taki sukces. W dodatku był obciążony etykietką tak zwanego „kina kobiet”, film telewizyjny, zrealizowany na taśmie 16 mm. Więc było zaskoczenie, ale i wielka radość, satysfakcja i poczucie, że moja intuicja się sprawdza. To jest najważniejsze na początku drogi zawodowej – by się utwierdzić w swoich przecuciach. A reżyser to zawód intuicyjny. Pierwszy film jest zawsze najbardziej szczerzy. Bo nie mamy jeszcze warsztatu, nie mamy wdrożonej tej całej kalkulacji zawodowej, która potem się pojawia. Dla mnie to było ważne doświadczenie. **Jak długo dojrzewa się po takim sukcesie do kolejnych filmów. Czy nie towarzyszy temu trauma doświadczenia samej siebie?**

Można powiedzieć, że droga do zawodu nie była łatwa. To były w ogóle trudne czasy dla kinematografii. Było mało debiutów, cały czas działał bojkot telewizji publicznej, który rozpoczął się w stanie wojennym. To, że twórcy znani i uznani odmówili tak zwanej kolaboracji z ówczesnymi mediami publicznymi, miało znaczący efekt. Natomiast my, ówczesni młodzi, staliśmy się, krótko mówiąc, plecami, po których przeszła następna generacja twórców. Z tej początkowej siły, którą się ma na początku drogi, zostaliśmy mocno osłabieni i to się odbiło na naszych losach. Myśmy mieli z Piotrem szczęście o tyle, że część naszych roczników zo-



Magdalena Łazarkiewicz

Magdalena Łazarkiewicz – reżyserka filmowa i teatralna, scenarzystka, od roku 2011 dyrektor artystyczny Międzynarodowego Festiwalu Filmowego „Żydowskie Motywy” w Warszawie. Członek Pol-

skiej Akademii Filmowej. Laureatka wielu nagród (między innymi za filmy: *Ostatni dzwonek*, *Odjazd*, *Białe małżeństwo*, *Karski* i *Powrót*).

stała wchłonięta do zespołów filmowych. Zostaliśmy we dwójkę przyjęci do zespołu TOR. Było to dla nas wejście na Olimp. I ciekawe doświadczenie, bo właśnie w Torze powstał mój film dyplomowy *Przez dotyk* pod opieką Krzysztofa Kieślowskiego. Potem powstało Studio Filmowe Irzykowskiego, kierowane przez młodych filmowców, prawie autonomiczne. I myśmy z Piotrem szybko przeskoczyli do tego studia. Tam było fantastycznie. Stworzyła się wspólnota generacyjna i powstało dużo świetnych filmów zrobionych przez kolegów. Mnie udało się tam zrobić *Ostatni dzwonek*, a Piotrowi *Falę* i *Kocham kino*. Był to okres naszego wznoszenia się zawodowego. Potem wszystko upadło, bo Studio nie przetrwało trudnego czasu transformacji. Na szczęście wówczas prężnie działała na niwie sztuki telewizja publiczna. Robiliśmy tam spektakle, między innymi dla Studia Teatralnego Dwójki. Powstawały też interesujące programy kulturalne. Realizowałam, na przykład, przez lata *Ogród Sztuk*, oryginalny program, który obejmował tematy z dziedziny sztuki, filozofii, literatury, zjawisk społecznych. Pozwalano nam przy realizacji tego programu na formalne eksperymenty w ramach języka filmowego. Był to czas wolności twórczej i to w obrębie takiej sztywnej instytucji, jaką była telewizja publiczna. Teraz trudno w to uwierzyć... **Twoje kolejne obrazy okazały się równie spektakularne. I to nie tylko fabularne, ale i dokumentalne. Szczególnie przejmujący był film *Nieobecność*. Tu nastąpiło wręcz dramatyczne przenikanie filmu z życiem. Czy spełnił swą rolę?**

To było rzeczywiście trudne zrobić film o kimś tak bliskim, kogo już nie ma. Długo nie mogłam się pozbierać po śmierci Piotra. Do pracy namówili mnie zaprzyjaźnieni producenci: Mediabrigade z Wrocławia, a finansowo wsparli nas Jurek Kapuściński (ówczesny szef TVP 2) i Michał Merczyński (ówczesny szef Narodowego Instytutu Audiowizualnego). Wiedząc, jak trudno mi zrobić ten film, stworzyli mi luksusowe warunki – dając całkowitą wolność realizacyjną. Mogłam ten film robić przez rok, bez pośpiechu. A jednak to było niełatwe. Nie chciałam robić filmowej biografii, ani – tym bardziej – hagiografii. Chciałam zostawić możliwie prawdziwy ślad po życiu Piotra. Ciągle spotykałam się z ludźmi, dla których Piotr był kimś ważnym. Co chwilę spotykam kogoś, kto ma go w pamięci. Wielu ludzi podjęło nawet inicjatywy o charakterze dla mnie nieprzewidywanym. Powstała, na przykład, nagroda imienia Piotra dla debiutanta filmowego na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Los Angeles (w tym roku laureatem został Bartek Bielenia, z czego Piotr na pewno by się ucieszył!). Kino w Jarocinie zostało nazwane jego imieniem. Na ścianie tego kina powstał wielki mural poświęcony Piotrowi. Powstała też ulica, bulwar jego imienia, w jego rodzinnym mieście. Więc odbieram wciąż materialne znaki, ludzie zadają sobie dużo trudu, żeby uczcić jego pamięć...

To jest film o fenomenie istnienia kogoś, kto mocno tkwi w ludzkiej pamięci. Tu życie przerosło film, nie odwrotnie.

Który film w takim razie był dla Ciebie najtrudniejszy i w jakim sensie?

Każdy następny jest najtrudniejszy. Bo za każdym razem przeżywa się tę samą niepewność i lęk, czy się znowu uda. Ostatni film, który robiłam, *Powrót*, był nadzwyczaj trudny. Choć to było kino kameralne, i w sensie realizatorskim nie był najtrudniejszym przedsięwzięciem, to zagłębiał się nim w mroczne rejony psychiki ludzkiej. Do tego mieliśmy niewielki budżet i mało czasu. Wszystko więc odbywało się pod sporą presją.

Zrealizowałaś też wiele spektakli, nie tylko w Teatrze Telewizji, ale na scenach wielu teatrów, zdobywając równie wiele nagród. Czy trudniej pracuje Ci się w teatrze, gdzie spektakl idzie potem „na żywo”?

Robienie filmu jest jak wyprawa wysokogórska, towarzyszy temu podobne napięcie i podobna stawka

Robienie filmu jest jak wyprawa wysokogórska – albo się wejdzie na szczyt, albo się odpadnie.

Ważna jest współpraca z innymi osobami, czyli wiążujemy się jedną liną i idziemy pod górę: na czele jest producent, reżyser i kolejne ważne osoby, a wszyscy musimy mieć poczucie, że trzeba zasuwać, mówiąc obrazowo, w jednym kierunku.

– albo się wejdzie na szczyt, albo się odpadnie. Ważna jest współpraca z innymi osobami, czyli wiążujemy się jedną liną i idziemy pod górę: na czele jest producent, reżyser i kolejne ważne osoby, a wszyscy musimy mieć poczucie, że trzeba zasuwać, mówiąc obrazowo, w jednym kierunku. Natomiast praca w teatrze to taki spacer po pagórkach. Oczywiście, też wiąże się z wysiłkiem, ale jest to wysiłek rozłożony na dłuższy czas i odbywa się w bardziej horyzontalnym wymiarze. To zupełnie inne doświadczenie, które bardzo lubię.

Lubię pracować z aktorami, a teatr przede wszystkim tworzą aktorzy i to jest dla mnie w nim najciekawsze. Pracując na różnych polach, odkrywam zawsze coś nowego, odświeżam myślenie, poszerzam warsztat. Wielką wagę przywiązuję do warsztatu, bo to jest najbardziej wymierna rzecz w tym zawodzie. Wszystko inne jest ulotne, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, kiedy każdy może wziąć aparat fotograficzny i nakręcić film. Tym jedynym bezwzględnym kryterium jest jednak zawsze poziom warsztatowy. Uświadomiłam to sobie podczas zajęć ze studentami. Jest to pokolenie, które ma genetycznie zaszczepioną łatwość w posługiwaniu się cyfrowymi narzędziami. Ale staram się im uświadomić, jaka jest różnica i gdzie leży granica między łatwością techniczną a myśleniem warsztatowym, które sprawia, że to, co chcemy powiedzieć, jest zrozumiałe dla widza i wyrażone językiem *stricte* filmowym.

Jaką rolę powinna odgrywać muzyka w filmie? Ma być integralna z obrazem, służebna, tylko podkreślająca, czy może niezależna, pozostawać w pamięci widza jako osobne dzieło, jak ścieżka dźwiękowa do *Rydwarów ognia*, która jest skończonym dziełem, żyjącym niezależnie od filmu,



Piotr Łazarkiewicz (1954–2008, zdjęcie z 1999 roku)

ba, często wykonywanym przez filharmoników na koncertach?

Jakaś forma integralności jest potrzebna, ale każda opowieść wymaga innego podejścia. Chodzi o umiejętność napisania muzyki, która utożsami się z filmem, potrafi wejść w jego nastrój. O wczucie się w materię obrazu, który wysyła przecież konkretne sygnały, o umiejętność wsłuchania się w te sygnały i odejścia od swego artystycznego ego. Oczywiście, najwybitniejsi kompozytorzy zwykle dążą do swojego rozpoznawalnego stylu. Ale cenię taki rodzaj myślenia, który polega na tym, żeby umieć się ograniczać, bo czasami trzeba się zdecydować na minimalną ilość muzyki, jeżeli to lepiej służy opowieści. Trzeba mieć w sobie umiejętność wchodzenia w materię filmu, w sens opowiadania, czyli taki specyficzny rodzaj słuchu. Ważnym elementem jest cisza, która jest przecież równoważną częścią warstwy muzycznej, oraz świadomość, jaką funkcję we wszystkich rodzajach twórczości odgrywa kontrapunkt. Jest to zasada, którą staram się kierować w swoich działaniach – wymyślać coś, co jest nieoczywiste, co jest zaprzeczeniem oczywistości.

Realizujesz spektakle teatralne. Jak wygląda Twoja ingerencja w tekst?

Jestem otwarta na adaptowanie tekstu. Najbardziej lubię adaptować literaturę epicką na deski teatru, ale oczywiście jest to takie działanie, które wymaga złamania wszystkich zasad Mrożka. Ale są też dramaty, w których nie można sobie pozwolić na żadne skreślenia – na przykład Becketta. To ciekawe doświadczenie i bardzo dyscyplinujące. Takiej dyscypliny uczy też praca w operze, gdzie każda ingerencja w warstwę tekstu wiązałyby się z ingerencją w warstwę muzyczną, która wyznacza wszystko i trzeba się do niej dostosować. Czasem więc różnego rodzaju ograniczenia działają stymulująco, ale generalnie jestem za swobodą twórczą. Dlatego marzę, żeby móc w operze zrealizować jakieś dzieło Haendla, bo libretta tych oper są pozbawione didaskaliów. To doskonałe pole do gry wyobraźni...

Dużo realizowałaś w krakowskich teatrach. Dlaczego Kraków?

Bo mi tam proponowano! (śmiech). Lubię Kraków. Uczę też w Krakowie w prywatnej szkole, AMA. Z młodymi ludźmi zrobiliśmy między innymi film dyplomowy oparty na dramacie Anny Burzyńskiej (też krakowianki) *Nicland*, który teraz jest w postprodukcji. Kraków jest dla mnie ważnym miejscem, do którego lubię wpadać nie tylko przejazdem.

Jednak kino wciągnęło Cię najbardziej niż teatr. Co w kinie pociąga Cię najbardziej?

Tworzenie światów od początku do końca – w kinie jeszcze w większym stopniu niż w teatrze. Rzadko zdajemy sobie sprawę z tego, że zbudowanie nawet najbardziej realistycznej opowieści polega na skomponowaniu i skompilowaniu realnego świata, czyli wyjęciu z niego tych elementów, które pasują do danej wizji i podjęciu wielu decyzji. Trzeba za każdym razem odpowiedzieć na tysiące pytań, nawet trudno by je było wszystkie tu przywołać. To właśnie mnie pociąga w filmie najbardziej: możliwość tworzenia innego, kolejnego, nowego świata, własnej opowieści, przenikanie się tych światów, fikcyjnego i realnego. I wywoływanie w widzach emocji.

Jaką konkluzję chciałabyś zaszczepić widzom?

Otwartość. To jest chyba najważniejsze. I szacunek dla inności. I ciekawość. Ciekawość inności, ciekawość świata, ciekawość ludzi, zdolność do snucia marzeń i przekuwanie ich w kształt materialny. Lubię obserwować obcy, inny świat. Wciąż mam w sobie głód nowych bodźców. To dla mnie ważne – niezamykanie się na nowe zjawiska. Zresztą jest to sposób, aby się nie zestarzeć jako twórca. Staram się śledzić na bieżąco, co dzieje się w różnych dziedzinach sztuki. Oglądam dużo filmów, seriali, staram się to wszystko przez siebie przepuszczać. Chodzę na wystawy, na spektakle, również takie najbardziej poszukujące. Nie wszystko przyjmuję, ale jestem otwarta.

Czujesz się spełniona jako artysta i jako człowiek?

Chyba nigdy tak do końca w sensie zawodowym nie jest w stanie się spełnić – póki żyjesz i tworzysz. Gdybym poczuła się całkowicie spełniona, to bym straciła napęd. Najbardziej czuję się spełniona rodzinnie. Żyłam blisko z człowiekiem, z którym dobrze się rozumieliśmy i kochaliśmy, choć zdarzały

Reżyser to zawód intuicyjny. A pierwszy film jest zawsze najbardziej szczerzy. Bo nie mamy jeszcze warsztatu, nie mamy wdrożonej tej całej kalkulacji zawodowej, która potem się pojawia.

się też konflikty, co normalne. Jesteśmy w rodzinie wszyscy ze sobą blisko, wspieramy się, lubimy ze sobą przebywać i pracować. A zawodowo, cóż... zawsze jest jakiś niedosyt, zawsze mogło być lepiej. Poza tym ten zawód jest trudny dla kobiety do pogodzenia z życiem rodzinnym, mimo wsparcia, jakie się otrzymuje od bliskich. Kiedy robię bilans, to zdaję sobie sprawę, że musiałam z wielu zawodowych planów zrezygnować, chcąc zachować jakąś równowagę. To może zabrzmieć gorzko, ale dopiero kiedy zostałam sama, gdy już podniosłam się po utracie Piotra, gdy z trudem stanęłam o własnych siłach, uświadomiłam sobie, że może to też jest fajne doświadczenie, gdy człowiek ma dla siebie dużo czasu, gdy można się zajmować sobą, czytać, pisać. Choć cena, jaką się płaci za ten luksus, była i jest wysoka...



Elżbieta Wojnarowska – z wykształcenia jest przyrodnikiem i... scenarzystką. Ale również pieśniarką i aktorką (m.in. należała do zespołu Teatru STU), autorką powieści, baśni dla dzieci, sztuk teatralnych i scenariuszy. W końcu – a może przede wszystkim – poetką.

Granatowi mordercy sąsiadów

Tekst: Krzysztof Burnetko

To kolejna skaza na wyidealizowanym narodowym wizerunku: okazuje się, że wywodzące się z II RP polskie formacje mundurowe brały czynny udział w Holocauście. Tak zwani granatowi policjanci oraz strażacy z OSP rabowali, wydawali okupantowi, a często także mordowali swoich żydowskich sąsiadów i współobywateli.

Na ulicach, wolnych placach i ogródkach leży wiele trupów kobiet i dzieci. Komendant polskiej policji Wiesiołowski, otoczony kilkudziesięcioma dziećmiakami w wieku od 6–12 lat, przeszukuje podwórka, strychy, piwnice i komórki. Za każde przyprowadzone dziecko żydowskie rozdaje polskim dzieciom landrynki. Małe żydowskie dzieci łapie za kark i strzela małokalibrowym rewolwerem w głowę” – tak leśniczy Jan Mikulski (dodajmy: Polak) wspominał likwidację getta w Biłgoraju w listopadzie 1942 roku. Podobnych relacji jest mnóstwo. Wiele mówią także dokumenty samej Polskiej Policji Generalnego Gubernatorstwa (zwanej „granatową”) i akta sądowe z procesów (nielicznych wszakże) wytaczanych po wojnie mordercom w granatowych mundurach.

Jan Grabowski – profesor uniwersytetu w Ottawie, w 2014 roku uhonorowany międzynarodową nagrodą Instytutu Yad Vashem za najlepszą książkę o Holocauście (za pracę *Hunt for the Jews: Betrayal and Murder in German-Occupied Poland*), a ostatnio współautor monumentalnej monografii *Dalej jest noc* – dokonał skrupulatnej analizy tych źródeł (prześledził między innymi dokumentację 124, spośród około tysiąca, posterunków i komisariatów policyjnych rozsianych po wszystkich dystryktach Generalnej Guberni).

Wnioski są przerażające. Okazuje się, że w początkowym okresie okupacji granatowi policjanci zajmowali się głównie egzekwowaniem rozporządzeń okupanta, lecz od końca 1941 roku zaczęli brać bezpośredni udział w mordowaniu Żydów. Wywiad Związku Walki Zbrojnej raportował choćby o egzekucji w warszawskim areszcie na Gęsiej – rozstrzelaniu przez granatowych funkcjonariuszy ośmiu Żydów schwytanych bez opasek poza gettem. Brali też – zwłaszcza na prowincji – aktywny udział w tak zwanej Akcji Reinhardt, czyli likwidacji gett i wysyłaniu Żydów do obozów zagłady. Symbolem niech będzie to, że polscy policjanci z Włodawy dowozili furmankami niedawnych żydowskich sąsiadów pod bramę Sobiboru.

Ostatnie hamulce puściły wielu „granatowym” – ale także członkom ochotniczych straży pożarnych czy polskich jednostek Baudienst (Służby Budowlanej) – wraz z rozpoczęciem „Judenjagd”, czyli operacji wyłapywania tych Żydów, którzy uniknęli śmierci w gettach lub wywózki do gazu.

„Tysiące polskich policjantów, ojców rodzin, członków lokalnych społeczności, niejednokrotnie bohaterów konspiracji, funkcjonariuszy z wieloletnim stażem w przedwojennej policji, przeistoczyło się w morderców”. Nie dość bowiem, że sami zabijali złapanych Żydów, to mordowali ich z włas-

nej inicjatywy, bez nacisku ze strony Niemców, a nawet w tajemnicy przed nimi. Działo się tak zwłaszcza w mniejszych miejscowościach. Więcej, zabijali często w imię „swoiście rozumianej solidarności społecznej z miejscowymi”. Ci, bywało, prosili „granatowych” o likwidację ukrywających się bądź uciekinierów, widząc w nich – czasem przeciw znajomym sprzed wojny bądź kolegach ze szkoły – zagrożenie dla wiejskiej wspólnoty. A także wietrząc szansę na przejęcie majątku ofiar. Proceder ten trwał do samego końca wojny.

Ustalenia Grabowskiego potwierdzają tezę, że polscy policjanci i strażacy są, w mniejszym bądź większym stopniu, odpowiedzialni za śmierć setek tysięcy Żydów – w tym tych, którym udało się ująć z rąk Niemców i którzy mieli szansę przetrwać wojnę.

Grabowski zauważa także, że wielu spośród policjantów, którzy mordowali Żydów, równocześnie pełniło rozmaite funkcje w strukturach Polskiego Państwa Podziemnego z Armią Krajową na czele. Nie widzieli widać sprzeczności między patriotycznym zaangażowaniem w konspirację i walką o wolną Polskę a mordowaniem Żydów – też przecież obywateli Rzeczypospolitej. Jest też o granatowych policjantach z Krakowa – i o współnikach zbrodni, i bohaterach. Oraz o wachmistrzu z Wiednia, który bohaterów mobilizował i chronił.



Jan Grabowski, *Na posterunku. Udział polskiej policji granatowej i kryminalnej w zagładzie Żydów*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2020.



Tomasz Westrych, *Signum Temporis – Servus / Brzmienie Czasu – Niewolnik*, celuloza i masa papierowa barwiona w masie / drewno, 169 x 75 x 56 cm, 2018



Zmysłowość papierowej masy

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Tomasz Westrych

Tomasz Westrych pozwala widzom dotykać swoje wykonane z papierowej masy rzeźby. Ciekawe, jaką fakturę będą miały dzieła z cyklu *Okna*, zainspirowane traumatycznymi przeżyciami związanymi z epidemią koronawirusa.

Trójwymiarowa bryła rzeźby prowokuje, by ją oglądać z przodu, z tyłu, z boku i pod różnym kątem. We mnie wzbudza jeszcze jedną nieodpartą potrzebę, by jej dotknąć, poczuć zmysłową przyjemność kontaktu z jej powierzchnią. Nie wszystkim artystom się to podoba. Z Tomaszem Westrychem jest odwrotnie. Lubi, kiedy ludzie głaszczą jego dzieła, sprawdzają chropowatość lub gładkość faktury, kiedy w nie pukają, nie mogąc uwierzyć, że są w środku puste.

Bo na pierwszy rzut oka sprawiają one wrażenie, jakby powstały z brązu, kamienia, a nie z pozoru nietrwalej masy papierowej. Wyobrażam sobie, że samo jej przygotowanie musi być niezwykłym, sensualnym doznaniem.

– Tak, ten materiał jest bardzo przyjemny w dotyku, choć nie zawsze daje takie same odczucia. Gdy zawiera trochę więcej celulozy, jest nieco sztywniejszy, gdy jest jej mniej, przypomina glinę. Zanurzenie w nim rąk daje niesamowity spokój, pozwala mi się zaprzyjaźnić z bezkształtną masą, z której będę formował bryłę – mówi Tomasz.

Wcześniej rzeźbiarz pracował tradycyjnie: w kamieniu, brązie. Na pomysł wykorzystania masy papierowej wpadł przed paru laty, kiedy z żoną przygotowywał ozdoby choinkowe.

– Rzeźbiliśmy je w glinie, robiliśmy negatywy w gipsie i odciskaliśmy w masie papierowej. Oczywiście z biegiem czasu jej skład ewoluował, aż udało mi się uzyskać materiał, w którym dzisiaj pracuję.

Związek Tomasza z papierem ma, jak sobie całkiem niedawno uświadomił, jeszcze głębsze korzenie i to wywodzące się z dzieciństwa. Otóż jego dziadek był dyrektorem administracyjnym w Teatrze Słowackiego i miał służbowe mieszkanie przy ul. Rajskiej, tam gdzie kiedyś mieściły się magazyny dekoracji. Wnuk buszował po nich, biegając między zrobionymi z *papier mâché* scenografiami. To one oddziaływały na wyobraźnię chłopca, która pchnęła go najpierw do Liceum Plastycznego, a potem na krakowską Akademię Sztuk Pięknych.

To ta sama wyobraźnia podszeptuje dojrzałemu już artyście, by – zanim wykona swoją kolejną rzeźbę – najpierw tłący się w głowie pomysły umieścić w czymś w rodzaju rysunkowego dziennika. Za pomocą kilku kresek, odnotowuje w nim zasłyszaną w kawiarni rozmowę czy niedającą mu spokoju frazę. Inspiracją bywa choćby poezja, wiersze szwedzkiego noblisty Tomasa Tranströmera, ale też muzyka – Griega, Bacha...

– *Wariacje Goldbergowskie* posłuchane przy porannej kawie potrafią oczyścić tak, że zapomina się o pospolitych problemach, a w zamian rodzi się konieczność tworzenia – mówi artysta.

Wtedy idzie do swojej pracowni, kształtuje masę papierową, zbliża się do powstającej bryły i oddala od niej, oglądając ją ze wszystkich stron. Często przybiera ona kształt głowy, która najwięcej mówi o człowieku. Jego głowy mają kolor przybrudzonej bieli lub czerni, symbolicznego *sacrum* i *profanum*. – Te ograniczenia kontrastujących ze sobą barw wpływają na lepsze odbieranie formy. W moich pracach ulega ona przeważnie destrukcji. Bo choć w życiu jestem optymistą, to rzeźbiąc, wyrzucam z siebie złe emocje. Dlatego ta destrukcja jest symboliczna, dzięki niej monolit, jakim jest rzeźba, staje się dynamiczny – tłumaczy twórca, którego prace noszą znaczące tytuły *Czułość*, *Zmęczenie*, *Przerwany sen*, *Niewolnicy*.

– Te tytuły tylko ukierunkowują odbiorcę, który może sobie już resztę sam powiedzieć. Kiedy pokazuję te rzeźby na wystawie, w odpowiednio zaaranżowanej i oświetlonej przestrzeni, zyskują kolejne znaczenia. Zaczynają ze sobą rozmawiać, a stający w sytuacji ich dialogu widz też coś od siebie dokłada.

Tak będzie pewnie również w przypadku planowanego cyklu *Okna*, który powstaje pod wpływem sytuacji, jaką spowodowała pandemia koronawirusa. Nowe rzeźby będą nawiązywać do motywu okien i siedzących w nich ludzi, w ten sposób szukających namiastki utraconej wolności. Chętnie sprawdzę, jaką formę te traumatyczne przeżycia nas wszystkich przybiorą w rzeźbach Tomasza Westrycha. Może zrobię to, wybierając się na planowaną w przyszłym roku przez rzeszowskie BWA wystawę twórczości artysty. Wtedy na pewno ich dotknę, by przekonać się, jaką fakturę przybiera emocja wywołana współczesną zarazą.

Tomasz Westrych dyplom uzyskał na wydziale rzeźby ASP w Krakowie, od 2006 roku jest adiunktem w pracowni rzeźby na Wydziale Architektury Wnętrz.



Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

Odpowiada Tomasz Westrych

Świat jest piękny, ponieważ...

Jest różnorodny, bogaty i ciągle ciekawy.

Ludzie są dla mnie ważni, ponieważ...

Dla nich i z nimi żyję.

Bez jakich przedmiotów nie mógłbyś żyć?

Instrumentów niezbędnych mi do tworzenia.

Bez jakich dzieł sztuki nie wyobrażasz sobie istnienia?

Teraz? Chyba własnych.

Jaki film mógłbyś zobaczyć jeszcze przynajmniej dziesięć razy?

Każdy, który posiada wartość ponadczasową.

Jaki dźwięk kochasz?

Ciszę.

Jakiego dźwięku nienawidzisz?

Jazgotu, niekontrolowanego hałasu.

Co uważasz za największe szczęście?

Przebywanie z bliskimi, przyjaciółmi oraz możliwość tworzenia.

Co uważasz za największe nieszczęście?

Zamknięcie się w sobie, samotność.

Przyjemność, jaką sobie sprawiasz, gdy jest ci źle?

Idę do pracowni i tworzę.

Przyjemność, jaką chciałbyś sprawić bliskim, gdyby było cię na to stać?

Stworzenie dla każdego z nich przestrzeni, która spełniałaby wszystkie warunki bycia ze sobą.

Jakie cechy najbardziej cenisz u mężczyzny?

Konsekwencję, rzeczowość, punktualność.

Jakie cechy najbardziej cenisz u kobiety?

Uśmiech, zmysłowość, wyrozumiałość...

Słowa, których nadużywasz?

To są bardzo soczyste wyrazy. Lepiej ich nie przytaczać.

Gdybyś mógł zmienić w sobie jedną rzecz, co by to było?

Przesterowałbym się tak, by mieć więcej cierpliwości do obcowania z głupotą.

Gdybyś po śmierci miał się odrodzić jako inna osoba, jak sądzisz, kto by to był?

Kucharz.

Jeśli Niebo istnieje, co chciałbyś usłyszeć, docierając do jego bram?

Za wcześniej – wracaj!

Jeśli Piekło istnieje, kogo byś tam chciał spotkać?

Moje *alter ego*.

O spokoju wewnętrznym

Tekst: Witold Bereś Ilustracja: Lidia Rozmus

Najpierw kamień pisarski, taki odpowiednik malarskiej palety (jego rodzaj jest szalenie istotny). Potem czarny tusz *sumi* i miseczka z wodą, aby móc ów tusz rozrobić. I wreszcie kilka mozolnych, precyzyjnych ruchów piórem *fude*, czyli pędzlem.

Tak powstaje albo *shodō*, droga pisma, czyli kaligrafia, albo *sumi-e*, czyli monochromatyczny obraz namalowany czarnym tuszem. I jedno, i drugie powiązane bywa z zapisem różnych form poetyckich, takich jak na przykład haiku. I jedno, i drugie wypływa z idei zen.

A jest jeszcze *haiga* (*hai* – „zabawny”, jak w „haiku”, *ga* – „obraz”) to połączenie haiku i *sumi-e*. Klasyczna *haiga* używa pędzla i tuszu zarówno do haiku, jak i do obrazu, a oba elementy uzupełniają się raczej, a nie ilustrują wzajemnie.

Zawsze rządzi prostota myśli, działania i formy, wyciszona i zachowawcza.

1.

Czym i z czym to się je? *Haiku* to miniwersz (17 sylab lub mniej) wywodzący się z Japonii okresu Edo (XVII–XIX wiek), trzywersowy utwór, będący imitacją chwili, próbujący opisać istotę przeżywanej chwili, kiedy natura łączy się z naturą człowieka. Zwykle haiku po angielsku napisane jest w trzech nierymowanych wersach, w siedemnastu lub mniej sylabach, po japońsku – to kilka znaków rzuconych pędzlem w jednej linii... Podstawową zasadą konstrukcyjną jest zestawianie jednej pary impresji, które osobno są jedynie wyrażeniami, ale dopełniają się, tworząc unikatowe wrażenie. Druga zasada to *kire*, czyli cięcie. W tłumaczeniach jest zwykle zaznaczane myślnikiem:

Chmara komarów –

Byłoby pusto

Bez nich

(Issa Kobayashi, XVIII wiek)

Generalnie – najważniejsza jest prostota. Ktoś rzekł: „Dobre haiku jest niczym kamyk wrzucony do sadzawki umysłu słuchacza”. I to zdanie oddaje sens tej poezji, w której ważniejsze od kwestii formalnych jest duch przesywający tekst. Zachwyty nad pięknem przyrody. Aprobata codzienności. Życie, jakim jest. Sztuka uważności. Skupienia. By nie rzec – kontemplacji (choć to słowo zużyte). A samo słowo *haikai* znaczy „żart”, bo humor ma nadawać utworom lekkości.

2.

Haiku nie istniałoby bez filozofii buddyźmu zen. Jeśli, jak podnosi jeden z mistrzów du-

chowych zen, medytacja to „związek między tobą a tobą”, to czytanie haiku jest czytaniem siebie.

Tak więc haiku wypełniają założenia zen. Naucz się robić jedną rzecz naraz, ale w pełni i świadomie. Skup się na tu i teraz. Zamiast pędzić, zwolnij. Kończ rzeczy rozpoczęte. Mniej znaczy lepiej. Naucz się robić chwile postoju między działaniami. Reguły nie zabijają, ale odciążają umysł. Rytuał pozwala dostrzec nadzwyczajne w zwyczajnym. Uśmiechaj się do innych. Upraszczaj swój stan posiadania. Pozwól się dzieć wszystkiemu. Nie twórz problemów, bądź.

I nie usiłuj rozumieć, ponieważ wysiłek podjęty w tym celu, wysiłek podjęty z zamiarem zrozumienia, stwarza problemy.

Prostota, akceptacja rzeczywistości, zjednoczenie z naturą, zwolnienie z tempa, akceptacja rzeczywistości. A także współistnienie z przyrodą.

Czesław Miłosz w przedmowie do swojego zbioru haiku pisał: „Dla naszej wrażliwości im mniej słów, tym lepiej, skąd już prosta droga do zapytania, jaki sens da się wyrazić przy maksymalnie zmniejszonej ich liczbie. I w takim momencie spotykamy poezję, która od wieków zaprawia się w skrótach, używając słów jako niedoskonałego zapisu medytacji bezsłownej o życiu i świecie”.

3.

To właśnie Miłosz wprowadził do polskiej literatury haiku, stając się dla wielu synonimem pisania takiej poezji, choć oczywiście filozofia zen cieszyła się w Polsce sporą estymą, choćby dzięki drobnej książeczce *Wprowadzenie do buddyźmu zen* Daisetsu Teitaro Suzukiego z wstępem Carla Gustava Junga. To była sprawa kultowa w latach 70., kiedy zen z wolna zdobywał pozycję w Polsce pomimo komunizmu. Ale wolna Polska niespodzianie przyniosła wieść o pasji noblisty. Oto w roku 1992 roku ukazał się niewielki, czarny tomik z charakterystycznym pastelowym rysunkiem Andrzeja Dudzińskiego na okładce, zatytułowany krótko – *Haiku*. To coś, co sam Miłosz nazwał „swoim szkieletem prywatnym”, w którym – na podstawie angielskich tłumaczeń – przedstawił swoje przyswojenia haiku.

Warto zadać sobie pytanie jak bardzo zen – nie wprost, a może nawet w sposób nieuświa-

domiony – istnieje w naszym obiegu kultury. Czyż nie są zapisem tej postawy choćby *Przykazania* Leszka Kołakowskiego – ze sławnym początkiem: „Po pierwsze przyjaciele. A poza tym: – Chcieć niezbyt wiele” i pointą: „Unikać rygoryzmu i fundamentalizmu”?

A może *Dezyderata* Maxa Ehrmanna wyśpiewywana w Piwnicy pod Baranami? „Przechodź spokojnie przez hałas i pośpiech, i pamiętaj, jaki spokój można znaleźć w ciszy (...) Bądź pogodny. Dąż do szczęścia”?

Słowem – czy stoicy ze swoim modelem człowieka żyjącego w zgodzie z naturą, nie dbającego o materializm życia, a kierujący się rozumem, byłiby europejskim prawzorem zen?

Nie, jednak nie, choć zapewne ich umiarkowanie filozofom, poetom Dalekiego Wschodu byłoby bliskie. Ale z czystym zen nie ma nawet jak polemizować – w jakież sposób można się nie zgodzić z wróblem?

Bo szczególną cechą haiku jest to, że nie powstaje ono w żadnym, określonym celu.

Haiku wypełniają założenia zen. Naucz się robić jedną rzecz naraz, ale w pełni i świadomie. Skup się na tu i teraz. Zamiast pędzić, zwolnij. Kończ rzeczy rozpoczęte. Mniej znaczy lepiej. Naucz się robić chwile postoję między działaniami. Reguły nie zabijają, ale odciążają umysł. Rytuał pozwala dostrzec nadzwyczajne w zwyczajnym. Uśmiechaj się do innych. Upraszczaj swój stan posiadania. Pozwól się dziać wszystkiemu. Nie twórz problemów, bądź.

A jego najważniejsza cecha to odejście od argumentacji intelektualnej na rzecz czucia, emocji. Prawdziwe haiku wyrastające z zen to przełożenie chwili, które zresztą ową chwilę – o, paradoksie! – unieważnia.

W jakiś sposób sens haiku i zen przywołuje Wisława Szymborska w niezwyklej miniaturze *Trzy słowa najdziwniejsze*:

Kiedy wymawiam słowo Przyszłość,
pierwsza sylaba odchodzi już do przeszłości.
Kiedy wymawiam słowo Cisza,
niszczę ją.
Kiedy wymawiam słowo Nic,
stwarzam coś, co nie mieści się w żadnym
niebycie.

4.

Dziś, dzięki edycjom wydawnictwa Austeria, możemy znowu się zbliżyć do ducha zen poprzez piękno haiku. Z jednej strony mamy w mądrym cyklu książek do pisania tom *W ciszy*. Tu, w znanej już formule wielu pustych

stron (jakże pasującej do sensu zen!), znajdziemy tekst autorstwa Matsuo Bashō, XVII-wiecznego japońskiego poety, znanego też po prostu jako Bashō, uważanego za jednego z największych pisarzy okresu Edo (1603–1868), faktycznego fundatora zasad haiku, którego imię stało się nierozdzielne z tym nurtem poetyckim.

„W klasztorze na dole umówiłem się na nocleg i zaczynam wspinaczkę do górnej świątyni. Z wysokich skał wyrastają nowe i tak tworzą górę. Porastają ją odwieczne sosny i dęby. Ziemia i leżące kamienie kruszeją, ła-

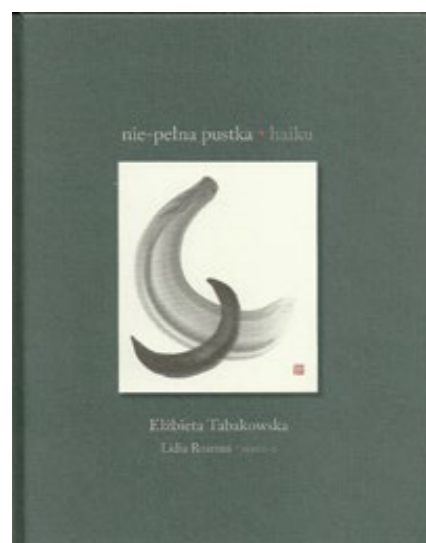
godzi je mech. Pawilony świątynne na skałach szczelnie pozamykane, nie słyszę głosów, ni dźwięków. (...) Czuję, jak wypełnia mnie piękno natury
i wielka cisza.
cisza?
wtapia się w litą skałę
wołanie cykad”

Jest i *Dezyderata* Ehrmanna, jest i *On the Road* Kerouaca, jest i *Hello darkness, my old friend* Paula Simona w tłumaczeniu Elżbiety Tabakowskiej:

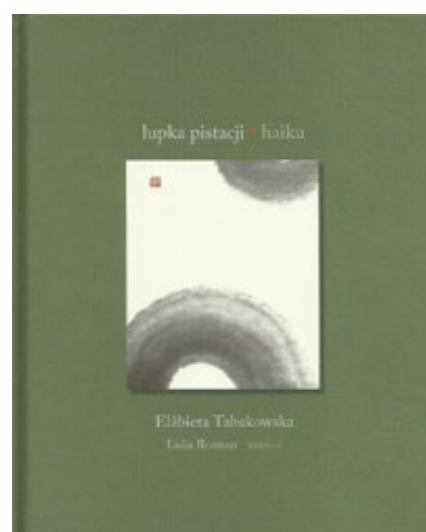
Witaj, ciemności – od dawna cię znam,
przychodzę z tobą porozmawiać znów,
bo cicho wkradła się do moich snów
wizja, i ziarno swe zasiała tam.
Ziarno, co rosnąc, wrosło w moją myśl,
i wciąż trwa
w dźwięku ciszy.

Słowem, emblematyczna literatura dla pokolenia *beat generation*. A może niewłaściwie piszę? Może dla tych, którzy potrafią sztukę przeżywać w szczególe, uważnie, w ciszy wreszcie?





Elżbieta Tabakowska, *nie-pełna pustka* (sumi-e: Lidia Rozmus), Austeria, Kraków 2016



Elżbieta Tabakowska, *łupka pistacji - haiku* (z rysunkami Lidii Rozmus), Austeria, Kraków 2019



W ciszy. Książka do pisania (In Silence. A Book for Writing) – wybór tekstów, fotografie, haiga, ilustracje, haiku – Lidia Rozmus, Austeria 2020

Takiej ciszy jak pisze Lidia Rozmus w jednym z haiku swego autorstwa:

spokój
deszcz spada
na mech

A obok tego tomu *W ciszy* mamy niecodzienny tomik haiku współczesnego – *Łupka pistacji*. Niecodzienny, bo namalowany przez polską autorkę, ale autorkę, która nie tylko od lat żyje Dalekim Wschodem, i ma niezwykły słuch poetyki.

Oto jeden z oszałamiających przykładów:

wróble na drucie
indywidualista
usiadł z daleka

Autorka to Elżbieta Tabakowska, anglistka, specjalistka w dziedzinie językoznawstwa kognitywnego i teorii przekładu. Jest autorką przekładów licznych tekstów literackich i historiograficznych – między innymi Thomasa Mertona i Leonore Fleischer. Oprócz prac naukowych z teorii języka ma w swoim dorobku dwie książki odkrywające tajniki warsztatu tłumacza (*O przekładzie na przykładzie* i *Tłumacząc się z tłumaczenia*), tomik wierszy *Podwyższona echogeniczność* oraz zbiór haiku *Niepełna pustka* w oprawie graficznej Lidii Rozmus. Nowy tom też jest w oprawie Rozmus (choć samą kaligrafię tworzył doświadczony w tej materii Japończyk Masanobu Hoshikawa) i jej autorstwa obraz *sumi-e* wydają się doskonale oddawać sens tego malarstwa, gdy połączenie wiersza i rysunku wzajemnie się uzupełnia, a nie – ilustruje.

Agnieszka Żuławska-Umeda, orientalistka i tłumaczka, ujmuje piękno tego tomu postawieniem godnym poezji haiku:

„... przyszedł nowy czas, kiedy w dłoni znajdujesz malutką łupkę pistacji. Jeszcze zatrzaśniętą, ale to nie młotek ją otwiera, tylko haiku. W każdej Twojej strofie ze zdziwieniem odkrywam inną pestkę, która zaraz wypuszcza kielek – w moim wnętrzu”.

*

Wierzę, że w duszach wielu innych ludzi owe polskie przybliżenie zen budzi też nowe spojrzenie.



Witold Bereś – producent filmowy, scena-rzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

...do eMCKu

czyli do Międzynarodowego Centrum Kultury, Kraków, Rynek Główny 25



Nie byłem w stanie odkryć żadnej postaci, dzięki której można by odróżnić człowieka od małpy”. Ten cytat doskonale oddają niezwykłość Karola Linneusza, XVIII-wiecznego szwedzkiego przyrodnika, jednej z najciekawszych postaci epoki oświecenia. Jego dzieło *Systema naturae* w 1770 roku liczyło ponad 6000 stron w trzech tomach. To w nim przedstawił fundamentalny system klasyfikacji organizmów żywych i minerałów, opisując tysiące gatunków roślin i zwierząt. Usystematyzowane przez niego łacińskie nazewnictwo i klasyfikacja okazały się tak funkcjonalne, że używane są do dzisiaj. Jego osiągnięciem było między innymi włączenie człowieka do rzędu naczelnych. A jakością samą w sobie jest edytorski poziom jego dzieł, który był inspiracją wydawców atlasów historii naturalnej (jak wówczas nazywano biologię), przemawiając za tym, by uznać je za dzieła sztuki.

Tę epokę przypomina pierwsza po pandemicznym zawieszeniu wystawa w MCK *Rośliny i zwierzęta. Atlasy historii naturalnej w epoce Linneusza*. Na ekspozycję składa się ponad 40 atlasów flory i fauny (zarówno otwarte woluminy, jak i luźne karty), niemal 400 prac z wizerunkami ryb. Wszystkie prace są mało znane, a zachwycające.

Wystawa: 18 maja –10 października 2020; Galeria MCK, 1 piętro (z uwagi na zasady sanitarne liczba odwiedzających Galerię jest limitowana).

Organizatorzy: MCK, Biblioteka Naukowa PAU i PAN w Krakowie, Instytut Systematyki i Ewolucji Zwierząt PAN w Krakowie

Koncepcja programowa: Agata Wąsowska-Pawlik, Łukasz Galusek

Autor koncepcji wystawy i kurator: Krzysztof Radoszek

Współpraca kuratorska: dr Anna Olszewska

Partnerzy: Restauracje SPHINX

Patroni medialni: TVP Kultura,

„Co Jest Grane”, wyborcza.pl

Projekt jest współfinansowany ze środków Miasta Krakowa.

Wystawa powstała przy wsparciu finansowym MKiDN.

Na ilustracji: Martin Schmelz według Jeana-Charles’a Wernera: ognica pstra/skrzydlica ognista, miedzioryt i akwaforta z wykorzystaniem techniki punktowej, odbitka kolorowana; Gabinet Rycin PAU w Bibliotece Naukowej PAU i PAN w Krakowie (fot. J. Chojnacki).

*

MCK w Krakowie jest narodową instytucją kultury specjalizującą się w dziedzictwie Europy. Powstało z inicjatywy rządu Tadeusza Mazowieckiego w 1991 roku, jego twórcą jest prof. Jacek Purchla, a zainteresowania instytucji koncentrują się na szeroko rozumianym dziedzictwie i dialogu z sąsiadami Polski. A szczególnie istotnym wątkiem jest Europa Środkowa, a może raczej – Europa Środka z jej historią, kontekstami kulturowymi i trudnym XX wiekiem.

Dyrektorem MCK jest Agata Wąsowska-Pawlik (opr. WB)

Ewa Lipska. 15 lat później

Tekst: Jakub Wydrzyński Zdjęcie: Danuta Węgiel

W tym odcinku „Fototeki” wracamy do źródła, czyli genezy rubryki oraz artystycznej przyjaźni naszych autorek: Danuty Węgiel i Ewy Lipskiej. Fotografie ilustrujące długi czas felietony publikowane w miesięczniku, „surrealistyczno-polityczne nowelki”, jak określa je poetka, to efekt współpracy, która zaczęła się od okładki tomu poetycko-muzycznego *Serca na rowerach*. Danuta co miesiąc uchyla rąbka tajemnicy swoich licznych spotkań z polskimi literatami. Dziś przyszedł czas na historię jednej z pierwszych sesji z drugą redakcyjną koleżanką.

Prezentowane zdjęcie wykonane zostało w roku 2007 na potrzeby promocji tomu *Pomarańcza Newtona*, lecz Danuta i Ewa spotkały się zawodowo już w roku 2004. Zdjęcia z tej pierwszej sesji uwieczniały poetkę oraz Annę Szałapak na okładce płyty dołączonej do *Serc...*. Było to podsumowanie piwnicznej aktywności Ewy, której teksty śpiewali już Grechuta, Szałapak i Turnau, a młody zdolny rysownik z Piwnicy pod Baranami, specjalista od groteski i scenografii Sebastian Kudas miał już niebawem zilustrować tom *Droga pani Schubert...* (2012).

Od tego czasu Ewa na fotografiach Danusi spoglądała na nas raz w oknie, raz przez klucz, raz z figlarnym wiatraczkiem, ale prawie zawsze prosto w oczy. Tak sesję do *Pomarańczy...* wspomina po latach jej bohaterka: „Fotografia portretowa to rodzaj emocjonalnego związku pomiędzy fotografem a osobą fotografowaną. Takie »światłoczułe« chwile dzielę z Danusią Węgiel podczas sesji zdjęciowych. Mimo że od tej fotografii minęło już wiele lat, wciąż słyszę w niej jeszcze »dźwięk migawki« tamtego czasu...”.

Co przyniosły następne lata? Między innymi laury i nominacje. W roku 2011 jury Nagrody Literackiej Gdynia doceniło tom *Pogłos*. Jechać z Krakowa na spotkanie z Bałtykiem to już przyjemność sama w sobie, ale wracać z nagrodą jeszcze większa. W recenzji Marian Stala podkreślał wówczas: „Są w tym tomie zdania i obrazy zasługujące na bardzo długie trwanie: o życiu pięknym jak pożar, o śmierci, którą można zostawić jak psa przed sklepem, o miłości, która jest jasnowidzem”. Tak kondycję poety widziała zaś sama laureatka:

Bawi go miłosna kaligrafia.
Odręcznie zapisane życie.
Porzucona litera ekstazy.
Żyje w schronisku dla słów.

O sztuce epistolarnej, przyjaźni z mistrzem science fiction oraz pasji motoryzacyjnej autora *Solaris* Lipska-korespondentka przypomniła nam w *Boli tylko, gdy się śmieję. Listy i rozmowy* (2018). Z dwoma współautorami zbioru (Stanisławem i Tomaszem Lemami) dzieliła nie tylko podobne poczucie humoru, ale również sentyment do Wiednia, w którym w różnych okresach mieszkali (Lem w latach 80., Lipska w latach 90. ubiegłego wieku). Tu warto przypomnieć, że w roku 2009 Lipska popełniła też jednor-

zowy romans z formą fabularną. Bohatera powieści *Sefer* chęć poznania rodzinnej historii przywodziła z Wiednia do Krakowa.

W zeszłym roku Wrocławską Nagrodę Poetycką „Silesius” autorka *Pamięci operacyjnej* otrzymała za całokształt twórczości. Liczymy jednak, że całokształt nie oznacza końca. Jej najnowsze wiersze potwierdzają wręcz stan gotowości na miłość nawet w czasach zarazy. W tomie *Miłość w trybie awaryjnym* (2019) laureatka kasandrycznie przewidywała i taki przyszły scenariusz:

Kiedy wyciekły
dane z naszych serc
skasowaliśmy pamięć
aby plany na przyszłość
zyskały na czasie.

Ostatnio w socialmediach tekstem Ewy Lipskiej pozdrawiali nas przebywający na artystycznej kwarantannie Grzegorz Turnau i Maryna Barfuss. Dla „tych, którzy nie mogą zostać w domu” wybrzmiał akustycznie utwór *Tak samo* z albumu *Pod światło*. Licząc, że już niedługo obudzimy się w zupełnie innej bajce, przypominamy fragment pieśni piwnicznych autorów:

Bo człowiek to jest zwykły człowiek:
jak pierwszy człowiek drugi człowiek.
Jeden za drugim. Krok za krokiem.
Z wyrokiem czasu praw i nocy.
Tak samo: przedtem teraz potem



Jakub Wydrzyński – człowiek wielu zawodów i pasji, kulturoznawca, wieczny doktorant, naturalizowany krakowianin, właściciel psa kawiarnianego Stolika.



Projekt Pałacu Rad, planowany najwyższy budynek w Moskwie z pomnikiem Lenina na szczycie – niezrealizowany

Inaczej o socrealizmie

Tekst: Witold Bereś Ilustracja: © Wikimedia Commons

Realizm magiczny Márqueza podbił świat. Czy socrealizm też może stać się magiczny?

Najnowszy, wiosenny numer kwartalnika „Herito” opisuje socrealizm w całej Europie Środkowo-Wschodniej bez uprzedzeń, a nawet z nutką sympatii tam, gdzie ów nurt na to zasługuje. Lwowski profesor Bohdan Cherkas w arcyciekawej rozmowie z Łukaszem Galuskim zauważa: „Realizm socjalistyczny był bardzo solidny. Nie zawaham się powiedzieć, że niemal jak u Witruwiusza wraz z solidnością szły funkcjonalność i piękno”. I porównuje z dzisiejszymi ciągłami architektów oraz deweloperów, aby stosunek nakładu pracy do metra kwadratowego był jak najmniejszy i najkorzystniejszy z punktu widzenia wolnego rynku

Można też w numerze znaleźć omówienia monumentów socrealizmu: moskiewskich wysokościowców zwanych Siedmioma Siostrami czy stacji metra. Są też mniej u nas znane przestrzenie: w bułgarskim Dimitrowgradzie, węgierskim Dunaújváros, eneradowskiej Eisenhüttenstadt czy czechosłowackim Hawirzowie. Jest oczywiście i o Polsce. Poza klasyką, czyli Pałacem Kultury i Nauki czy Nową Hutą, autorzy numeru przypominają o zbudowaniu na Górnym Śląsku „miasta bez dymów”, czyli Nowych Tychów.

Te ilustracje są zresztą najbardziej magiczne. Widzimy zdjęcia z początku lat 50. z monumentalnymi gmachami, wymarłymi ulicami, przemykającymi po nich przerażonymi, pojedynczymi ludźmi i wielką ilością słońca, przestrzeni oraz pustki. To ślad wy-

kuty w całym obozie – miał być znakiem rozpoznawalnym innego życia, był piętnem, a czym stanie się dla nas w przyszłości?

Pisze prof. Jacek Purchla: „Socrealizm jako ideowe i propagandowe narzędzie stalinizmu budzi w Europie Środkowej jednoznacznie złe skojarzenia. Jako narzędzie sowietyzacji przywodzi na myśl przytłaczający monumentalizm w architekturze, w kulturze i sztuce gwałt na awangardzie, skrajnie skonwencjonalizowaną formę, patetyczny realizm, a niekiedy i kicz. Nie przypadkiem też budowle i pomniki z przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych postrzegane są jako dziedzictwo kłopotliwe. (...) Patrząc jak najszerzej, zastanawiamy się dzisiaj, czy tak jak realizm magiczny był odpowiedzią na ekspresjonizm, a nadprzyrodzoność miała być rewersem rzeczywistości, socrealizm ma w sobie załączek magii i egzotyki”.

Konieczne przeczytajcie ten numer „Herito”, tym bardziej że bez ruszania się z domu możemy go kupić w internecie: <http://www.herito.pl/sprzedaz-i-prenumerata>



Czerwiec 1920 roku

Tekst: Krzysztof Jakubowski

✂ **1 czerwca.** Reporter „IKC” dzielił się taką oto refleksją: „Dzisiejszy Kraków w niedzielę przedstawia się niepomrotnie korzystniej od tego sprzed lat np. sześciu. Przede wszystkim znikły obrzydliwe ogródki podmiejskie na wzór małych miścin szwabskich, gdzie obywatele kiwali się całymi godzinami nad kuflami piwa lub tańcem uprawiali niewykwintny flirt z pięknosciami od rondla i szczołki. Znikły wreszcie hałaśliwe budy i karuzele, a z nimi pijane wrzaski, zgrzyt katarynek i orkiestronów. Kraków staje się większym miastem i już nie znosi tandety importowanej z Wiednia. Niedługo powiemy, że Kraków umie się bawić”.

✂ **2 czerwca.** „Wczoraj aresztowano niejaką Rożdżyńską, stróżkę domu przy ul. Bożego Ciała 15, która ciężko poraniła po głowie 15-letnią Ernestynę Kempfer, za to, że ta wróciwszy kilka minut po 10, nie zapłaciła za otwarcie bramy”.

Szpera, czyli drobna opłata za otwarcie bramy była niegdyś prawnie sankcjonowana, a w PRL-u, już tylko umowna (zwykle 5 zł). Znikała powoli – do połowy lat 70. ubiegłego wieku – wraz ze stróżkami zajmującymi zwykle ciasne mieszkanie na parterach kamienic. I z domofonami...

✂ **3 czerwca.** „Jak się dowiadujemy, pewne koła wojskowe starają się o przeniesienie Szkoły Podchorążych z Łobzowa do Lwowa. Niefortunny ten projekt jest chyba tylko pobożnym życzeniem jego autorów” – niepokoił się „IKC”.

Szkoła – ostatecznie pozostała w Krakowie – mieściła się w pałacu w Łobzowie, dawniej rezydencji królewskiej (ul. Podchorążych 1), dziś we władaniu Politechniki Krakowskiej.

✂ **5 czerwca.** „Na dworcu kolejowym i po ulicach Krakowa kręci się kilka podejrzanych indywiduów, jak należy przypuszczać szpiegów niemieckich, czeskich i nawet litewskich. Publiczność zechce się z nimi nie wdawać w żadne rozmowy” – przestrzegali „IKC”.

✂ **6 czerwca.** „Piszą do nas z miasta: Po wszechne oburzenie wywołało, że w uroczyste święto Bożego Ciała czynne były następujące zakłady fryzjerskie: Maternowskiego w Rynku Głównym, Nieżyńskiego przy ul. Franciszkańskiej, Nowaka i Kolaka przy pl. Dominikańskim. Takie jaskrawe pogwałcenie uroczystego święta katolickiego tylko dla zysku zasługuje na surowe napiętnowanie” – piętnowali „Głos Narodu”.

✂ **9 czerwca.** Jak donosił „IKC”: „W tych dniach zostało otwarte w domu przy ul. Długiej 16 biuro detektywów. Współpracowni-

kami biura są najtęższe siły na polu służby wywiadowczej”.

✂ **9 czerwca.** Notatka utrzymana w typowej dla „Głosu Narodu” poetyce: „Donoszą nam, że podczas niedzielnej procesji Bożego Ciała w Podgórzu, na jednym z balkonów w Rynku, pod którym urządzono ołtarz, stała rodzina żydowska. Gdy procesja zbliżyła się do ołtarza, mały żydząk przeszkadzając modlącym, zaczął na głos liczyć księży. Publiczność katolicka głośno zareagowała, żądając, by opuszczono balkon. Starsi się usunęli, jednak żydząk pozostał na balkonie, zachowując się jak poprzednio. Prowokacja ta wywołała wśród uczestników procesji niezwykle wzburzenie”.

✂ **9-10 czerwca.** Dzienniki relacjonowały wizytę dr. Modda, prezydenta YMCA, organizacji zasłużonej dla opieki nad żołnierzami. W Krakowie YMCA zorganizowała pięć ognisk dla

Kraków staje się większym miastem i już nie znosi tandety importowanej z Wiednia. Niedługo powiemy, że Kraków umie się bawić.

żołnierzy, urządziła kantyny żołnierskie, dostarczała też rannym książki, czekoladę i tytoń.

✂ **10 czerwca.** Z kroniki „Czasu”: „Ministerstwo Kultury i Sztuki przyznało Leonowi Chwistkowi i Tytusowi Czyżewskiemu, redaktorom i wydawcom czasopisma »Formiści«, subwencję w wysokości 4 tys. marek, celem dalszego wydawania tego pisma”.

✂ **12 czerwca.** Anons z „IKC”: „Buchaltera samodzielnego przyjmie natychmiast Spółka Automobilowa »Motor«, Kraków-Dębniaki, ul. Barska 12”.

Przy ul. Barskiej 12 działały kolejno: od około 1877 roku fabryka kafli Adama Zychonia, przejęta następnie przez Józefa Niedźwiedzkiego; od 1920 roku fabryka karoserii samochodowych; od 1927 Miejski Park Samochodowy; od 1933 Zakład Oczyszczania Miasta; od 1994 centrum medyczne.

✂ **13 czerwca.** „Czas” zamieścił komunikat: „Magistrat ogłasza, że od wtorku, 15 bm. sklepy rejonowe wydawać będą po odcięciu kilograma świec na czerwcowy odcinek legitymacji świecowej, oznaczony rzymską cyfrą X, w cenie 21 marek 20 fenigów, za 1 kilogram”.

✂ **13 czerwca.** „Wedle solennych zapewnień gmach Starego Teatru miał być opróżniony



Pałac w Łobzowie po przebudowie Feliksa Książarskiego w duchu neogotyku (1856), mieścił Szkołę Kadetów, widokówka, 1909, archiwum K. Jakubowskiego



Zabudowania przy ul. Barskiej 12 przechodziły zmienne koleje losu. Po upadku Automotor SA urządzono tam Miejski Park Samochodowy, fot. 1927, Archiwum Narodowe

przez wojskowość do dnia 1 kwietnia br. Tymczasem mija już trzeci miesiąc, a wojskowość wcale nie kwapi się z oddaniem gmachu, który już od sześciu lat mija się ze swym przeznaczeniem. Może by miasto jako właściciel gmachu, w imieniu kultury, ponowiło energiczne starania, aby władze wojskowe wreszcie go opuściły” – upominała się „Nowa Reforma”.

✂ **14–26 czerwca.** Jak informowała prasa, przeprowadzono wymianę pozostałych banknotów o nominale: 1, 2, 5, 10, 20 i 50 koron, przy limicie do 15 tys. koron na osobę. Po 26 czerwca korony nie były już uznawanym środkiem płatniczym na terenie dawnej Galicji.

✂ **21 czerwca.** O niecodziennym zdarzeniu donosił „IKC”: „W kościele św. Mikołaja stanęli u ołtarza Paulina Ślusarczyk i Andrzej Majewski, oczekując na przybycie księdza. Naraz ku ogólnemu osłupieniu para od ołtarza uciekła na widok przybyłego szwagra niedoszłej oblubienicy. Okazało się, że mąż Ślusarczykowej, Antoni, odbywając służbę wojskową od roku 1918, nie dał znaku życia. Ślusarczykowa sprzykrzyła sobie samotność, poznała Majewskiego i na podstawie sfalszowanych metryk chciała wejść z nim w związek. Widok brata zaginionego męża tak podzielał na niedoszłą parę, że uciekła spod ołtarza”.

✂ **23 czerwca.** Prasa relacjonowała przebieg wiecu w sali „Sokoła”. Ogłoszono tam między innymi rezolucję przeciwko zarządzeniu plebiscytu na Warmii i Mazurach, we wcześniejszym terminie – 11 lipca 1920 roku. Ograniczało to w czasie polską akcją agitacyjną i w efekcie sprzyjało Niemcom.

✂ **24 czerwca.** „Czas” odnotował rozpoczęcie prac przy budowie kliniki ginekologicznej przy ul. Kopernika.

✂ **24 czerwca.** Jak podały dzienniki, w Krakowie zmarł w wieku 68 lat Ferdynand Turliński – właściciel słynnej młodopolskiej kawiarni Paon przy ul. Szpitalnej 38. Po powrocie ze Lwowa (gdzie też prowadził kawiarnię) Turliński otworzył w swym mieszkaniu przy ul. Podwale 2 biuro pośrednictwa.

✂ **25 czerwca.** Komunikat z „Czasu”: „Osobom niechlujnym wstęp do biur magistratu wzbroniony. Każda osoba potrzebująca oczyszczenia, może wykąpać się w miejskiej oczyszczalni na dworcu kolei od 8 do 11 rano i od 6 do 11 w nocy”.

✂ **26 czerwca.** W „IKC” ukazała się notatka o gromadzeniu się tłumu przy ul. Kopernika. Przyczyną była wieść o narodzinach „potworka z rogami, kopytkami i ogonem – słowem diabełka”. „Nie pomogły perswazje służby szpitalnej i światlejszych ludzi oraz lekarzy”. Ostatecznie tłum rozproszyła z trudem policja. „Trudno w coś takiego uwierzyć w XX wieku, ale to niestety prawdziwe” – podsumował reporter.

✂ **27 czerwca.** „Wczoraj rano na skrawku drogi do Pychowic stoczył się z nasypu cały pociąg kolejki wąskotorowej, złożonej z 25 wagoników. Pięciu robotników towarzyszących ko-

lejce zostało ciężko rannych. Wezwane Pogotowie Ratunkowe odwiezło ich do szpitala św. Łazarza” – relacjonował „IKC”.

Kolejka wożąca urobek z kamieniołomu na Zakrzówku do Zakładów Solvay przy ul. Zakopiańskiej przemierzała tę trasę w latach 1918–1990. Jedną z lokomotyw kolejki oglądać można na placu zabaw przy ul. Szwedzkiej.

✂ **28 czerwca.** Z kroniki „Głosu Narodu”: „Przed kilku dniami policja aresztowała niejaką Wiktoria Skalkę, lat 21, która była lokatorką 82-letniej staruszki Kaczmarzkiej, zamieszkałej w Podgórzu. Kaczmarzka zmarła onegdaj wśród podejrzanych objawów zatrucia, toteż policja wszczęła w tej sprawie dochodzenie. Według dotychczasowych ustaleń wyszło na jaw, że Skalka otruła prawdopodobnie trucizną na szczury zmarłą Kaczmarzką, podawszy ją staruszce w miodzie. Po dokonaniu zbrodni zabrała jej garderobę i kosztowności. Śledztwo w toku”.

✂ **28 czerwca.** Komunikat z „Nowej Reformy”: „Na podstawie uchwały magistratu z 16 bm. wszystkie stanowiska przekupniów z Rynku Głównego zostaną z dniem 1 lipca przeniesione na Mały Rynek. Stanowisk będzie najwyżej 50 i zostaną grupami rozmieszczone wzdłuż toru tramwajowego w odpowiednich odstępach. Po godzinie przepisanej dla wykonywania przemysłu, tj. obecnie po godz. 6 wieczorem, stragany mają być usuwane”.

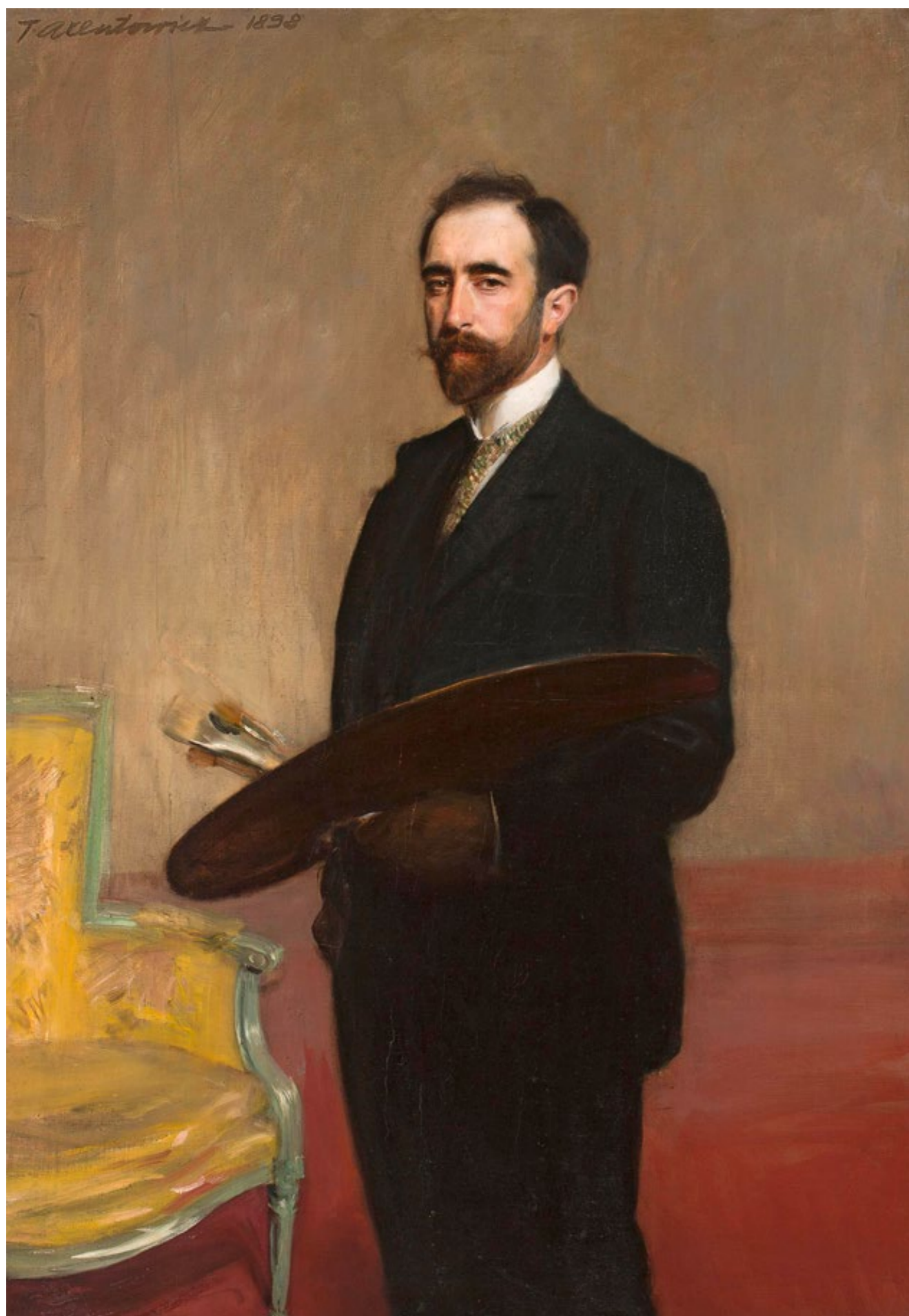
Próba usunięcia handlu z Rynku Głównego nie powiodła się, podobnie jak przeprowadzona kilka lat później próba urzędzenia skweru na Rynku Kleparskim. W obu przypadkach wielowiekowa tradycja zwyciężyła.

✂ **29 czerwca.** „Pierwszy wieczór artystów baletu warszawskiego odbędzie się w teatrze Bagatela w czwartek, 1 lipca. Bilety przy kasie” – zachęcał „IKC”.

✂ **30 czerwca.** Z kroniki „Nowej Reformy”: „Wczoraj aresztowano w kinie »Uciecha« niejakiego Stefana Tracza, który jednemu z gości wyciągnął portfel. Sprytny złodziej zdążył jeszcze przed schwytaniem go, podać portfel koledze po fachu tak, że okradziony gość swych pieniędzy nie odzyskał”.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.



Teodor Axentowicz *Autoportret z paletą*, olej na płótnie, 161 x 111 cm, 1898, właściciel: Muzeum Narodowe w Warszawie/domena publiczna

Krakowianin z wyboru

Tekst: Ewa Danowska

Nie było w nim nic z młodopolskiego dekadenta, nie wywoływał też nigdy skandali. Traktował malarstwo jak pełne artyzmu rzemiosło, profesję, która pozwalała utrzymać żonę i ośmioro dzieci. Wierny swemu stylowi przeżył kilka artystycznych epok.

Teodor Axentowicz – bo o nim mowa – przyszedł na świat 13 maja 1859 roku w Braszowie, w Siedmiogrodzie. Ojciec Deodat był spolszczonym Ormianinem, a matka Agnieszka z Plutarchów – Węgierką. Z czasem rodzice Teodora przenieśli się do Suczawy na Bukowinie, a potem do Lwowa.

Uzyskawszy świadectwo maturalne c.k. Wyższej Szkoły Realnej we Lwowie, Teodor rok studiował na Politechnice Lwowskiej, po czym rzucił studia i w 1878 roku wyruszył do Monachium, by kształcić się w słynnej Królewskiej Bawarskiej Akademii Sztuk Pięknych. Bezskutecznie starał się o pomoc finansową, między innymi u ormiańskiego biskupa we Lwowie Issaka Michała Isaakowicza, więc musiał sobie radzić samodzielnie. Otrzymywał wysokie oceny nie tylko za pilność, ale i talent oraz artystyczne osiągnięcia. Zgodnie z duchem panującym w środowisku monachijskim malował realistyczne sceny rodzajowe w rodzaju *Gęsiarki*, kompozycje historyczne – między innymi sceny z życia dawnych Słowian, wykonywał też studia figuralne (*Kowal* czy *Portret górala*).

Studia malarskie uzupełniał w Paryżu w latach 1882–1895. Równocześnie zajmował się ilustratorstwem, ale mimo to cierpiał na brak gotówki, więc często za skromne wyżywienie, naprawy krawieckie i szewskie płacił swymi pracami. Zajmował się studiowaniem twórczości dawnych mistrzów, wykonując kopie obrazów Botticello, Tycjana, Velasqueza czy Correggia, na które znajdował chętnych nabywców.

W stolicy Francji bywał w salonach Godebskich i Sary Bernhard, Hotelu Lambert, w domach Chełmońskich i Władysława Mickiewicza. Poznał tam elitę artystyczną i intelektualną, wywodzącą się nie tylko z grona polskich emigrantów. Uznanie zyskał, malując portret Sary Bernhard, co uczyniło go wziętym portrecistą wyższych sfer. Namalował wiele portretów pięknych kobiet, aktów, podobizn dzieci, martwych natur i kwiatów. Sławę przyniosło mu wykonanie portretu Witolda Osławskiego, powstańca listopadowego, mecenasa i kolekcjonera dzieł sztuki.

Z czasem bieda przestała mu dokuczać – stać go było na eleganckie stroje, bywanie w teatrach i kabeletach. Jego kompanem w używaniu paryskiego życia był przebywający w tym mieście Wojciech Kossak.

W Paryżu, gdzie spędził 13 lat, rozwinął się drugi nurt jego twórczości – zainteresowanie życiem ludu wschodniej Małopolski, fascynacja folklorem, sceneriami uroczystości religijnych i barwnym ludowym strojem. Swe obrazy poprzedzał wnikliwymi studiami przygotowanymi.

Często wyjeżdżał do Londynu, gdzie zapoznawał się z twórczością portrecistów dawnych i współczesnych, sam też malował portrety. Jednak to podobno w Krakowie, w kawiarni Noworolskiego w Sukienicach poznał swoją przysłą żonę – Izę Henrykę z Giełgudów, urodzoną i wychowaną w Anglii, zwiędzającą wówczas ojczyznę przodków.

Ślub wzięli w Londynie 14 lutego 1893 roku, po czym udali się w podróż do Włoch. Axentowiczowie mieli ośmioro dzieci, ale żadne nie odziedziczyło talentu ojca, jedynie Gladys przejawiała zamiłowanie do rysowania. Jej imię nosiła willa, którą Axentowicz z czasem zakupił w Zakopanem i często wraz z rodziną tam przebywał (miał tam drugą, obok krakowskiej, pracownię).

Teodor Axentowicz reprezentował typ artysty światowca. Kształcony w Paryżu otarł się o „wyższy” świat.

Axentowiczowie osiedli w 1895 roku w Krakowie, gdzie Teodor został powołany przez rektora Juliana Fałata na stanowisko profesora Szkoły Sztuk Plastycznych, bo znany był i ceniony za swoją twórczość oraz gruntowne wykształcenie. Początkowo zamieszkali nieopodal gmachu ASP, przy ul. Kurniki 3, od 1909 roku przy ul. Warszawskiej 4, po kilkunastu latach przy ul. Karmelickiej 29, potem przy Kanoniczej 16.

W 1897 roku Axentowicz założył szkołę malarstwa dla kobiet, w której poza nim nauczali tak sławni malarze, jak Leon Wyczółkowski i Jan Stanisławski. Został pierwszym wybieralnym rektorem ASP na rok 1910/1911 i ponownie pełnił tę funkcję w roku 1927/1928. Wykształcił dwie generacje malarzy.

Zaliczał się do założycieli Towarzystwa Artystów Polskich „Sztuka”, pełniąc różne funkcje w jej władzach. Był także współtwórcą Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa, członkiem Komisji Muzeum Narodowego oraz wiceprezesem Klubu Prawników i Koła Artystyczno-Literackiego. Od 1910 roku działał w Towarzystwie Ormiańskim Haisadan, zajmując się propagowaniem kultury, historii i sztuki Armenii.

Jego obrazy były pokazywane na wielu zagranicznych wystawach i oczywiście w Krakowie – zyskując podziw i uznanie. Był nie tylko portrecistą, malarzem kobiet, autorem scen rodzajowych pokazujących obyczaje i obrzędy Hucułów, ale też projektował plakaty wystaw, a także był autorem projektu

witraża dla katedry ormiańskiej we Lwowie (w 1895 roku), który nie został zrealizowany. Na zlecenie arcybiskupa Józefa Teodorowicza pracował wraz z Józefem Mehofferem nad renowacją tej katedry.

Jak wynika ze wspomnień studentów ASP, prof. Axentowicz w porównaniu ze swymi kolegami nie cechował się ambicją i dążeniem do pełnienia zaszczytnych funkcji. Pochłonięty był raczej zabiegami o uzyskanie obstalunków i wiele czasu spędzał w wysokich kołach towarzyskich. Wśród uczniów Akademii kursowały złośliwe anegdoty na temat jego „komercyjności”. Miał zresztą zwyczaj bez ogródek mawiać, że trudno namalować dobry obraz, dużo trudniej go sprzedać, a sztuką bezwzględnie najtrudniejszą jest za sprzedany obraz wydstać pieniądze.

W środowisku krakowskim krążyła uzasadniona opinia o poczuciu humoru wielkiego artysty, pełnym subtelnej ironii. Znane było jego dowcipne powiedzenie na temat panoramy *Golgota* pędzla Jana Styki. Artysta uniesiony fantazją opowiadał w towarzystwie, że w chwili gdy malował Chrystusa, ten do niego przemówił. O potwierdzenie tego faktu poprosił Axentowicza, który był ponoć przy tym obecny. Axentowicz potwierdził, że rzeczywiście Chrystus się odezwał: „Janie Styko, ty mnie nie maluj klęcząc, ale ty mnie maluj lepiej”.

Mając na utrzymaniu liczną rodzinę, Axentowicz zmuszony był energicznie dbać o swoje interesy. Na jednej z dorocznych wystaw Towarzystwa „Sztuka” zachwyty wzbudził jego pastel – portret damy w czarnej sukni siedzącej na zielonej kanapie. Znalazł się nabywca, któremu sekretarz Towarzystwa podał cenę 1200 koron. Gdy malarz dowiedział się, że potencjalnym nabywcą jest hrabia Raczyński, pod-

Przez prawie czterdzieści lat uczył studentów malarstwa – miał opinię dobrego pedagoga, życzliwego doradcy w artystycznych kwestiach, człowieka miłego, o niespożytych siłach do pracy, nieocenionego uczestnika spotkań towarzyskich. Powszechnie zwracano uwagę na to, że był uroczym światowcem, fascynował niezwykłą męską urodą i aparycją diabolicznego bruneta. Sam był estetą – zakochany w urodzie świata, nie znosił brzydoty zarówno w sztuce, jak i wokół siebie. Spośród krakowskiego środowiska artystycznego najbliższą przyjaźnił się z Wojciechem Kossakiem, który uznał za błąd, że podczas malowania *Panoramy Raclawickiej* zlecił Axentowiczowi tylko niewielkie prace, bo lepiej by się sprawdził niż Jan Styka. Pozostawał też w zażyłych stosunkach z Włodzimierzem Tetmajerem, artystami z kabaretu Zielony Balonik czy bywalcami kawiarni w Grand Hotelu, tworzącymi klub towarzyski. Gościł na głośnym weselu Lucjana Rydla z Jadwigą Mikolajczykówną, był też obecny na chrzcinach Iwi, córki Stanisława i Dagny Przybyszewskich.

Teodor Axentowicz przeszedł na emeryturę w 1934 roku. Władze ASP w uznaniu wieloletniej pracy pedagogicznej nadały mu tytuł Honorowego Profesora. Gremium profesorów postanowiło pozostawić mu do dyspozycji pracownię w budynku Akademii. Jednak po niespełna roku otrzymał z rektoratu szczegółowy, wysoki rachunek za korzystanie z niej oraz nakaz jej opuszczenia.

Zawsze cieszył się dobrym zdrowiem, rzadkie niedomagania napełniały go irytacją, bo tęsknił za zwykłym, pracowitym rytmem dnia. Latem 1938 roku zaczął chorować, co skłoniło go do skrócenia pobytu w Zakopanem i powrotu do Krakowa. Znalazł się w Lecznicy Związkowej przy ul. Garncarskiej, gdzie nawet przykuty do łóżka malował pastelami. Zmarł 26 sierpnia 1938 roku i trzy dni później pochowany został na cmentarzu Rakowickim.

Trzy tygodnie po pogrzebie grono przyjaciół i uczniów zorganizowało w Domu Plastyków przy ul. Łobzowskiej pośmiertną wystawę prac artysty oraz kolejną – w grudniu 1938 roku w Pałacu Sztuki w Krakowie. Zaprezentowano wówczas około 260 prac mistrza.

Iza Axentowiczowa, matka licznej rodziny, przeżyła męża o wiele lat. Cechowała się silnym charakterem, spędzając czas w towarzystwie trzech niezamężnych córek. Gdy Niemcy w 1939 roku zajęli Kraków, oznajmiła, że nie wyjdzie na ulicę, dopóki chodzą po niej okupanci. Dotrzymała słowa, nie wychodząc dalej niż na balkon, by zaczerpnąć świeżego powietrza. We wdowieństwie przeżyła dziewięć lat, umierając w 1957 roku w wieku 86 lat.



Ewa Danowska – dr hab. historii, PAU. Kraków w przeszłości... jest o czym pisać!

Zyskał sławę jako portrecista urodziwych i eleganckich pań ze środowisk ziemiańskich, artystycznych i bogatego mieszczaństwa.

wyższył ją do 2000 zł, stwierdzając, że artyści muszą z czegoś przecież żyć.

Do dobrego tonu w ówczesnym Krakowie należało mieć w salonie piękny, pastelowy portret pędzla Axentowicza. Zyskał sławę jako portrecista urodziwych i eleganckich pań ze środowisk ziemiańskich, artystycznych i bogatego mieszczaństwa.

W Krakowie namalował między innymi portret żony Juliana Fałata *W oczekiwaniu na list*, portrety członków rodziny Czartoryskich, swego teścia Adama Giełguda, który przeniósł się w 1903 roku z Londynu do Krakowa, portrety żony, hrabiów Potockich, prezesa Krakowskiej Kongregacji Kupieckiej Henryka Schwarza, doktora praw i kolekcjonera Adolfa Sternschussa, prezydenta miasta Jana Kantego Federowicza, Feliksa Mangghi Jasieńskiego, profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, Zofii Jachimeckiej, Zofii Hoesickowej z Lewentalów, córki Wyspiańskiego Heleny Chmurskiej, żon mecenasów Józefa Skąpskiego, Rudolfa Herliczki oraz wielu nieznanych dziś z nazwiska krakowskich piękności. Uwiecznione przez Axentowicza krakowskie motywy to Planty, baszty czy Rynek Główny.

Kraków



VOUCHER TEATRALNY ON-LINE

WSPIERAJ BAGATELĘ

www.teatr.pl

TEATR „BAGATELA” IM. TADEUSZA BOYA-ŻELEŃSKIEGO · INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

Moje spotkanie z Kottem, czyli kawa z Montaigne'em

Tekst: Paweł Głowacki Zdjęcie: z archiwum rodzinnego za zgodą i dzięki życzliwości Michaela Kotta

Wtorek

Pukając wieczorem do drzwi mieszkania Józefa Opalskiego, nie sądziłem, że pierwsze pytanie, jakie mi zada gość Opalskiego, będzie pytaniem o samotność, o pewną formę samotności. „Czy pan już śpi w teatrze?” Najbardziej zdumiewająca była powaga tych słów. Żeby choć włos ironii, szczypta żartu albo w oku pytającego błysk zachęty, zaproszenie do gry w niewinne szyderstwa. Nic z tych rzeczy. Czysta, niczym niezmacona ciekawość wiekowego mistrza. Tylko tyle, aż tyle. Nic nie odpowiedziałem.

Środa

Ta wizyta moja, wieczorna, w roku... 1989? Mały koniak i duża kawa, choć raczej odwrotnie, z Janem Kottem, w nieogarnionej bibliotece Opalskiego – kiedy to było? Przygotowałem się, rzecz jasna. Przygotowałem się pilnie z dzieł mistrza. Oczywiście – *Szekspir współczesny*, legendarny tom. Ale też *Zjanie bogów*, eseje o starożytnych, dedykowane pamięci Jerzego Stempowskiego: mit o Gilgameszu, los Prometeusza, Ajaks i Herakles, jeszcze Medea, jeszcze Elektra, Sofokles i Eurypides, *Dlaczego zabiła się Antygona*, *Welon Alcesty*, jeszcze inne widma, inni ludzie, inne opowieści. Dalej – *Kamienny potok*, eseistyczna pajęczyna, rozpięta pomiędzy Mikołajem Gogolem, Witkacym, Ionesco, oczywiście Szekspirem, starym japońskim teatrem, Tadeuszem Kantorem, Peterem Brookiem, Adamem Mickiewiczem,

grafii, w której to księdze od pierwszego akapitu przyczynek, a raczej setki tańczących przyczynków o niepewnej prawdziwości – istotniejsze są od prawdy życia Kotta. Czy przejrzałem wtedy też *Aloes*, kolejną jego eseistyczną pajęczynę, którą lubił specjalnie, rozpiętą pomiędzy dwudziestoma szpilkami, na płytce, nasze oko, nic ze sobą wspólnego niemającymi? Czy powtórzyłem sobie pamiętny prolog szpilki zatytułowanej *Marceau albo o stworzeniu świata*, szpilki całej ulepionej z Kotta słownych portretów kolosalnej ciszy i słownych podobizn tysiąca nieomylnych gestów aktora o twarzy całej w mące i z czarnymi łzami, namalowanymi na policzkach? „Marceau nadaje ciężar powietrzu. Na pustej scenie trzeba stworzyć świat. Na początku jest fizyka pantomimy. Świat od pierwszego gestu jest materią. Na początku jest w nim tylko siłą ciężenia. Najbardziej dosłowną pantomimą człowieka, który wchodzi po schodach, byłby człowiek, który wchodzi po schodach. Marceau stwarza schody, opiera się o niewidoczną poręcz, wchodzi”. Tak, powtórzyłem sobie wtedy *Aloes*. Kiedy to było? W 1989? Bodaj wtedy. Lecz nie upieram się.

Piątek

Niech będzie rok 1989. Ostatnia Kotta podróż do Polski. I to musiał być wczesny październik, gdyż Kott miał w krakowskiej PWST odczyt inauguracyjny rok akademicki. Głosem – raczej głosikiem przypominającym brzmienie leszczynowej piszczałki melancholijnego pastuszka gęsi o zmierzchu albo śpiew najedzonego malinami leśnego skrzata – trochę czytał Kott, a trochę na gorąco zmyślał opowieść *Płec Rozalindy*, rzecz o erotycznych jadach w komediach i tragediach Szekspira, głównie w *Jak wam się podoba*, esej, który później stanie się sednem kolejnej eseistycznej pajęczyny Kotta, tomu *Płec Rozalindy*, gdzie Szekspir wciąż jest współczesny, tak, lecz tym razem dlatego, że przede wszystkim jest – wieczny jak erotyzm, zauroczenie albo umieranie z miłości. O spokojnym tokowaniu z profesorskiej katedry – mowy nie było. Wciąż dreptał, truchtał, zamierał, po czym znów ruszał, głównie ku ustawionej w rogu sceny tablicy, na której w zupełnej furii swojej wyobraźni, niebywałe cuda zmyślającej do wiewatu – rysował jakieś niepojęte dla świata wykresy, labirynty, trójkąty. Coraz intensywniej przyprószone białą kredą – biegał, rysował i śpiewał, zupełnie nie dbając o słyszalność, a był słyszalny góra w dwóch trzecich jedynie, reszta opowieści ginęła w szczebiotliwym bełkocie. Przez godzinę z okładem nadawał tak językowy ciężar swym mgielnym snom o szekspirowskiej Rozalindzie. Stwarzał esej, podobnie jak wiele, wiele lat temu książkę mimów stwarzał na scenie

Ile razy zrównywano eseistyczne jego pisarstwo z reżyserowaniem słów na kartce? Jak wiele razy mówiono o jego wielkim teatrze eseju?

i Kotta zawałem serca, i pomiędzy wieloma innymi szpilkami, co na pierwszy rzut oka zwyczajnego, czyli płytkiego, nic ze sobą wspólnego nie mają. I inne rozpięcie sprawdziłem także, rozpięcie pomiędzy olbrzymim a lilipucim, poważnym i groteskowym, ciemnym i jasnym, między skrajnościami, co w jednym domku stoją – w Jonathana Swifta *Podróżach Gulliwera*, z notką pod tytułem, informującą: „Przekład Anonima z roku 1784 do druku przysposobił i przedmową opatrzył Jan Kott”. I jeszcze Kotta tłumaczenia komedii Moliera, a tuż po nich – proza Diderota w Kotta polszczyźnie i jego kongenialne przekłady tragifars Ionesco, tych w domku z papieru spotkań niebywałych śmiechu z ciemnością. Także, oczywiście, zawrotny *Przyczynek do bio-*



świat cały, nieomylnymi gestami nadając ciężar powietrzu. I wtedy, w środku erotycznego seansu Kotta, naraz przypomniało się to, co wróciło też na drugi dzień, gdy wieczorem pukałem do drzwi mieszkania Opalskiego. Esaj *Tajemnica Szekspira*. Rzecz o armii absolutnych znawców dzieł zebranych nieogarnionego stratfordczyka i o Jorge Luisie Borgesie śniącym na jawie. Szpilka, od której zaczyna się tom *Kamienny potok*.

Niedziela

Wpiew stwarza Kott bombastyczny, buczący ul – panoramiczny portret światowego szekspirologicznego kongresu w Waszyngtonie. Hotel Hilton – pęka od znawców. Tysiące mądrych, najmądrzejszych figur profesorskich. Setki stoisk z najzacniejszych wydawnictwami, na czele z najświeższymi słownikami, w których każde z 22 000 użytych przez Szekspira słów podane jest we wszystkich możliwych kontekstach i komputerowo prześwietlone tysiące razy. A obok komputery analizujące wszystkie didaskalia Szekspira, każdy znak przestankowy, jak powiada Kott – „aż do ostatniego przecinka”, a także „wszyst-

kie frekwencje i wszystkie relacje wykrzykników do znaków zapytania”. Píše Kott o monstrialności szekspirologii karmiącej się już nie tylko Szekspirem, ale samą sobą. Mówi – a czyni to kilkadziesiąt lat temu – o dwóch tysiącach katedr szekspirowskich na uczelniach w samych tylko Stanach Zjednoczonych i blisko tysiącu w reszcie świata. I jeszcze o regularnie zalewających biblioteki blisko trzystu świeżych dysertacjach doktorskich o Szekspirze – „rok w rok, dzień w dzień, nie licząc oczywiście świąt chrześcijańskich, żydowskich i niedziel”. A na kongresie samym – tysiące badaczy przez pięć bitych dni, od rana do nocy biegających z pękającymi torniastami pomiędzy dziesiątkami obrad plenarnych, sekcji, podsekcji oraz innych seminariów, gdzie „nieprzerwanie i równocześnie szekpirologi wykładają szekpirologom o Szekspirze. O Szekspirze w przód i w tył, od tradycyjnej tekstologii do ostatnich nowinek hermeneutyki”. Jest zatem Szekspir chrześcijański i marksistowski, egzystencjalistyczny i strukturalny, postępowy i niepostępowy, słowem – każdy. I są setki bankietów, gdzie duch Szekspira unosi się nad pokarmami. Ale jest też – koniec kongresu. Go-

dzina szczytowa. Godzina odczytu Jorge Luisa Borgesa. Na ogromnej widowni – szpilka jest bez szans, i to godzinę przed czasem. I oto wybiła! Dwóch panów wprowadza wielkiego ślepcę na scenę, idą powoli, idą wieczność całą. Na końcu – ustawiają ślepcę przed mikrofonem i znikają bezszelestnie. Oklaski przez kwadrans, oklaski i naraz – trupia cisza, jakby wszyscy pomarli. Ślepiec zaczyna poruszać ustami – z głośników dobiega tylko monotony szum, a w nim wybrzmiewa czasem tylko jedno jedyne, jasne słowo: Szekspir... Szekspir... Szekspir... W finalnych zdaniach Kott jest doskonale chłodny. Stworzył esej, który równie dobrze mógłby nosić tytuł *Biedni szekspirołodzy*. Teraz zamyka go ostatnimi gestami, których tyle, co zdań. „Borges mówił godzinę i przez godzinę tylko to jedno powtarzane słowo – Szekspir, dobiegło słuchaczy. Przez tę godzinę nikt nie wstał, nikt nie opuścił sali. Dopiero kiedy Borges skończył, wstali wszyscy i wydawało się, że ta ostatnia stojąca owacja nie skończy się nigdy. Odczyt Borgesa miał tytuł *Zagadka Szekspira*. Jak *Mówca w Krzesłach* Ionesco wezwany został, żeby rozwiązać zagadkę. I jak *Mówca z Krzesła*, który z gardła potrafił wydobyć tylko niezrozumiałe dźwięki, Borges rozwiązał zagadkę: Szekspir... Szekspir... Szekspir...”

Poniedziałek

Wielki ślepiec zamarły naprzeciwko świata, którego nie dostrzeżę, zupełnie zgubiony w swoim szmerze niepojętym dla nikogo poza nim, zanurzony w szmerzącym na jawie śnie o nieogarnionym stratfordczyku. Tak i on przez godzinę na scenie największej sali widowiskowej waszyngtońskiego Hiltona, naprzeciwko tysięcy myszy pod miotłą – piękna forma samotności. I z tym widokiem w głowie pukalem tamtego wieczoru do drzwi. Otworzył Opalski i był jak zwykle pocieszający. „Nie przejmuj się i tak wyjdiesz na kretyna...” A później, w ogromnej bibliotece Opalskiego – przywitanie, garść słów niezobowiązujących, jeden koniak, drugi, trzeci, dalej – kawa. Ciastko? Nie, dziękuję. I wreszcie to pytanie Kotta, gołe, niczym niepodszyte, czyste. „Czy pan już śpi w teatrze?” Nic nie powiedziałem, omiatałem tylko okiem grzbiety na regałach Opalskiego i zatrzymałem wzrok na trzech, całych w spłowiałej zieleni. Były to *Próby* Michała z Montaigne. Mógł inaczej zapytać profesor? Tak. „Czy pan już śni na jawie, patrząc z widowni na sceniczną fikcję?” Albo: „Czy na marginesie cudzej scenicznej opowieści snuje pan już opowiadki własne?” Też nic bym nie odpowiedział.

Wtorek

To Kotta pytanie o teatralny sen na jawie teatru było w istocie dotknięciem jego własnej poetyki. Ile razy zrównywano eseistyczne jego piarstwo z reżyserowaniem słów na kartce? Jak wiele razy mówiono o jego wielkim teatrze eseju? Ilu Kotta monografistów przywoływało jego czułość do naginania prawdy, jego fałszerstwa i piękne fikcje, choćby dopisywanie recenzowanym spektaklom scen nieistniejących w spektaklach, albowiem zmyślenie konieczne było dla pełni snuty przez Kotta opowieści, zaś lita prawda spektakli samych zupełnie już wtedy się nie liczyła? Konstanty Ildefons Gałczyński pisał

ponoć na uniwersytecie naukową pracę o pewnym poecie. Czy jest w tym coś dziwnego? Nic. Tyle że poeta ów – nie istniał. Gałczyński wyśnił go, a później napisał jego wiersze, których niepowtarzalne piękno metodycznie analizował w rzeczonyj rozprawie. Wspominając Kotta, Czesław Miłosz przywołuje ten smaczny naukowy cyrk Gałczyńskiego. A dalej wyznaje: „Nie pomyliły się zbytnio, zbliżając jego piarstwo do piarstwa Jerzego Stempowskiego, mistrza polskiego eseju”. Nie, zbytnio się nie pomyliły. Ale też zupełnie się nie pomyliły, zbliżając zapisane, na jawie śnione sny Kotta do prawie cztery wieki wcześniej zapisanych, na jawie śnionych snów Montaigne’a, do tych trzech gigantycznych tomów *Prób*, które są początkiem i zarazem szczytem dziwnego gatunku, nieuchwytnej formy piarskiej inscenizacji, zwanej esejem.

Środa

Już choćby tylko z racji tyciego wzrostu Kott mógłby zagrać Montaigne’a w filmie kręconym przez Opalskiego w jego gigantycznej bibliotece w starym mieszkaniu na parterze kamienicy przy ul. Dietla. Idealnie wsunąłby się Kott w rolę człowieka, który w zamkowej wieży pełnej ksiąg rozpina swe opowieści – niczym pajak sieć wiotką na szpilkach – na niepoliczonym mrowiu cudzych opowieści, cudzych zdań, cudzych słów, tylko dla płytkiego oko nic ze sobą niemających wspólnego. Kott rzekł: „Żeby tekst się otworzył jak zamknięte drzwi – trzeba klucza. Tym kluczem jest inny tekst. Dla zdania inne zdanie, dla sceny inna scena, dla dramatu inny dramat. Tekst pociera się tekstem i wtedy się otwiera”. Gdyby Montaigne to przeczytał – zatańczyłby lekko. Jak zapewne zatańczył Kott obok tych zdań Montaigne’a, które niewiele dni przed swą śmiercią zmęczony Montaigne dopisał na marginesie jednej z tysięcy stron swoich esejów, i bez których to zdań początek wielkiej opowieści Marcela Prousta brzmiałaby może zupełnie inaczej. „Jeszcze spanie, jeśli jest głębokie, usypia niekiedy sny; ale jawa nasza nie jest nigdy tak rozbudzona, aby zdołała ze wszystkim przejaśnić i rozprószyć urojenia, które są snami na jawie i gorszymi niż sny”.

Piątek

Tak więc o zmierzchu październikowego dnia roku 1989 przemilczałem pytanie o sen w teatrze. Dopiero pani Aniela, siostra Kotta, przekłuła ciszę. Krzyknęła ciepło: „Ależ, Janku! Przecież pan Paweł jest jeszcze młody!”. „Ano tak...”, rzekł profesor chłodno. Po czym dorzucił: „Tylko że nic nie trwa wiecznie, Anielu...”.



Paweł Głowacki – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.



Tomasz Westrych, *Servorum III / Niewolnicy III*, celuloza i masa barwiona w masie / drewno, 32,5 x 38 x 34 cm, 2018



Na debiut nigdy nie jest za późno

Rozmawiała Katarzyna T. Nowak Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Lucyna Olejniczak: Saga rozpoczyna w XIX wieku i sięga współczesności. Pierwsza część to rok 1900, część piąta i szósta dzieje się współcześnie.

Katarzyna T. Nowak: Przygotowujesz kolejny już tom bestsellerowej sagi *Kobiety z ulicy Grodzkiej*. Tymczasem zadebiutowałaś dopiero na emeryturze. Dlaczego tak późno?

Lucyna Olejniczak: Na debiut nigdy nie jest za późno. Pisać można w każdym okresie życia, a ja dopiero na emeryturze znalazłam czas na realizację swoich pasji, w tym na pisanie.

Czy Twoje życie musiało się ustabilizować, żebyś zaczęła tworzyć?

Przed wszystkim musiałam mieć na to czas. Bez wstawania rano do pracy i bez obowiązków rodzinnych. Dzieci dorosły, a ja mogłam się w końcu zająć sobą i tym, co sprawia mi przyjemność.

Którą swoją książkę lubisz najbardziej?

Z książkami jest jak z dziećmi – nie da się wybrać, które kocha się najbardziej. Wszystkie są mi bliskie, bo każdej poświęciłam dużo pracy i serca. Mogę je tylko rozróżnić na te, które pisało mi się lekko i z przyjemnością i na te trudniejsze, zarówno dla czytelnika, jak i dla mnie.

Chyba najtrudniejsza w odbiorze jest *Księżniczka – o przemocy w rodzinie*. Dlaczego poruszyłaś taki temat?

Tak, *Księżniczka* zdecydowanie do takich należy. Przyznam, że tej książce poświęciłam najwięcej czasu. Długo nie mogłam znaleźć odpowiedniej formy, w jakiej mogłabym przedstawić przemoc w rodzinie z perspektywy dziecka. Nie chciałam dosłowności ani epatowania sensacją. Uważam, że problem przemocy w rodzinie i molestowania dzieci wciąż jeszcze jest zbyt mało nagłaśniany, a wręcz wstydliwie przemilczany. Ludzie niechętnie o tym słuchają czy też czytają, zasłaniając się zbyt dużą wrażliwością na krzywdę dzieci. W ten sposób jednak dzieci krzywdzone są podwójnie, bo nikąd nie mogą się doczekać pomocy.

Lubisz w swojej prozie dbać o szczegóły. Dowodem *Wypadek na ulicy Starowiślniej* czy właśnie *saga Kobiety z ulicy Grodzkiej*. Szczególnie bliska jest Ci historia Krakowa...

Lubię historię, zwłaszcza Krakowa, dlatego w moich książkach jest jej dużo. To moja ucieczka od codzienności i teraźniejszości. Wolę tamte czasy. I jak się okazuje, dużo moich czytelniczek również, więc nie dość, że robię to, co lubię, to jeszcze podoba się to innym. Nic lepszego nie mogłam sobie wymarzyć.

Pochodzisz z Nowej Huty i napisałaś o niej książkę. Co cię zainspirowało? Ludzie, miejsca?

Urodziłam się w Krakowie, a do Nowej Huty przeprowadziłam się z rodzicami w latach 50. ubiegłego wieku, ponieważ mój ojciec dostał tu pracę. Do napisania książki zainspirowała mnie prawdziwa historia molestowania

Lubię historię, zwłaszcza Krakowa, dlatego w moich książkach jest jej dużo. To moja ucieczka od codzienności i teraźniejszości. Wolę tamte czasy. I jak się okazuje, dużo moich czytelniczek również.

dziewczynki w domu szanowanego inżyniera. A poza tym chciałam pokazać powstawanie Nowej Huty i ważne dla niej wydarzenia widziane oczami dziecka. Tutaj korzystałam z własnych wspomnień.

Czy Nowa Huta to ciągle Kraków, czy jednak coś odrębnego?

Dla mnie to dwa odrębne miasta. W mojej rodzinie od zawsze, aż do dziś, jeździ się tramwajem „do Krakowa”. Kraków to Kraków, ze swoimi zabytkami i magiczną atmosferą, Nowa Huta zaś to przestrzeń i dużo zieleni, prawdziwy ogród. Tutaj odpoczywam, tu mieszkam i pracuję.

Czy masz już w planie kolejną książkę?

Tak, teraz piszę prequel do sagi *Kobiety z ulicy Grodzkiej*, czyli znów wracam do ukochanego przeze mnie wieku XIX. Mam też kilka innych pomysłów, wszystkie związane są ze starym Krakowem i z kobietami. Jak zawsze.

Saga sprzedała się do tej pory w ponad stu-tysięcznym nakładzie. Historia rozpoczyna się w XIX wieku i sięga współczesności. Jak wpadłaś na pomysł jej napisania?

Pomysł podsunęła mi moja koleżanka i agentka literacka Manula Kalicka. „Może coś o Krakowie? Może saga?” – zapytała pewnego dnia. I tak to się zaczęło. Właśnie wysłałam do wydawcy, szósty, i już ostatni tom, zatytułowany *Aleksandra*. Będzie to podsumowanie całej historii kobiet z rodziny aptekarza Bernata.

W sadze jest kłątwa rodzinna. Podobno takowa była w Twojej rodzinie?

Siostra mojej babci miała romans z bogatym mężczyzną, synem bogatych wiejskich gospodarzy, u których pracowała jako służąca.

Kraków i Nowa Huta to dla mnie dwa odrębne miasta. W mojej rodzinie od zawsze, aż do dziś, jeździ się tramwajem „do Krakowa”. Kraków to Kraków, ze swoimi zabytkami i magiczną atmosferą, Nowa Huta zaś to przestrzeń i dużo zieleni, prawdziwy ogród.

Kiedy zaszła z nim w ciążę, on się jej wyparł. Urodziła dziecko, ale jej go nie pokazali. Powiedzieli, że zmarło. Wtedy przeklęła tę rodzinę i tego mężczyznę. A ona do końca życia widziała w młodych ludziach rysy swojego dziecka. Nie wyszła nigdy za mąż. Kłątwa zadziałała. Rodzinie się nie wiodło. Ojciec dziecka nie miał szczęśliwego życia i w końcu się powiesił. Majątek niszczył. Byłam na tej wsi, z której pochodziła siostra mojej babci.

Bohaterki są silne, wyemancypowane kobiety. Też jesteś taka?

Jestem silna. Może nie jestem aż tak wyemancypowana jak Wiktoria, która jako jedna z pierwszych kobiet w Krakowie uczyła się na Uniwersytecie Jagiellońskim, ale sobie radzę. Ze wszystkim.

Podobno mężczyźni w Twoim życiu się nie sprawdzili?

Coś w tym jest. Prawdą jest, że spotykałam samych słabych mężczyzn. To kobiety rządziły w mojej rodzinie, one decydowały o wszystkim, a mężczyźni byli podporządkowani. Ja również jestem tą silną, podobnie jak moja mama i moja babcia.

Debiutowałaś w 2007 roku *Wypadkiem na ulicy Starowiślnej*. Ta historia również była wzorowana na prawdziwym wypadku Twojego pradziadka.

Znalazłam w internecie na stronie „Dziennika Polskiego” notkę, że 13 lipca 1900 roku na ulicy Starowiślnej był wypadek wozu strażackiego. Wóz wjechał na nowo położony bruk i strażacy spadli na ziemię. Mój pradziadek Teodor Henzelmann ciężko ranił się w głowę. Nazwisko Henzelmann nosiła tylko moja rodzina, wiedziałam więc, że ów strażak był moim pradziadkiem. I wtedy wymyśliłam tę książkę.

Z kolei po wizycie we Francji napisałaś *Dagerotyp. Tajemnica Chopina o domniemanym romansie muzyka z młodą malarką. Zafascynowała Cię Francja i Chopin?*

We Francji pracowałam jako opiekunka do dzieci. Po latach zaprzyjaźniłam się z moimi pracodawcami i utrzymujemy kontakt do dzisiaj. Ludzie ci, oprócz apartamentu w Paryżu, mieli dom w Trigny, w Szampanii. A konkretnie zameczek z przepięknymi wnętrzami, obrazami, meblami... Po powrocie chciałam napisać książkę, która będzie się działa w tych wnętrzach. Syn namówił mnie, żebym napisała o domniemanym romansie Chopina, a ten dom zrobić siedzibą rodziną kobiety, w której Chopin się zakochał. Te piękne francuskie wnętrza wykorzystałam również w sadze.

W Twoich książkach jest mnóstwo historycznych szczegółów. Opisujesz nawet smakołyki z tamtych czasów.

Część informacji miałam od francuskiej pisarki starszego pokolenia, mojej znajomej, do której często jeżdżę. Pochodzi ona z hrabiowskiej rodziny, więc wiele mnie nauczyła. Resztę wyczytałam. W sadze opisuję też Kraków dawny i współczesny. Jest tam XIX, XX i XXI wiek. Historia Krakowa zawsze mnie fascynowała. Jest więc to, co działo się w tym czasie na świecie i w Polsce: jest Piłsudski, pierwsza i druga wojna światowa. Ze starych gazet dowiaduję się, jakie w tamtym czasie były sklepy w Krakowie, jak wyglądała ulica, jakie były reklamy, co serwowano na stołach, jak byli ubrani ludzie. To wszystko jest w sadze. Lubię dbać o szczegóły. Wszystko musi być wiarygodne.



Katarzyna T. Nowak – dziennikarka i pisarka. Autorka pięciu książek, m.in. *Moja mama czarownica. Opowieści o Dorocie Terakowskiej*. W 2020 roku wydanie jej najnowsza książka *Nienasycona*. Współpracowała z „Przekrojem” i „Twoim Stylem”. Mieszka w Krakowie.

ROMAN FILOZOF INGARDEN I FOTOGRAF

12.5–27.9.2020



mocakkrakow



mocak_krakow



mocak_krakow



MOCAKkrakow

MUZEUUM SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ W KRAKOWIE MOCAK – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

Lustro Romana Polańskiego

Tekst: Maria Malatyńska Zdjęcie: Marek Lasyk

Zbyt szybko, nawet nie z tygodnia na tydzień, ale szybciej, wszystko przestało być ważne. Przewartościowało się. Jakby bez naszego udziału. Wszystko – oprócz najbardziej podstawowej walki o życie.

Ta „chwila” jest niewygodna, uciska, więc nikt jej nie powie, wzorem starego Fausta: „Chwilo, trwaj”. Przeciwnie: „Odejdź! Wreszcie odejdź!”. Jeśli ktoś się do tego nie przyznaje, to znaczy, że ma problem z wyobraźnią.

Nie wiadomo nawet, czy mamy teraz jeszcze prawo do innej tematyki i innej emocji w sztuce niż zaraza, choroba, czekanie na koniec? Jak w tym nacisku odetchnąć czym innym?

Może pozwolić sobie chociaż na okolicznościowe wspomnienie, by odwrócić bolesną uwagę? Albo na jakieś wirtualne spotkania... z kalendarzem w ręce?

Pamiętam na przykład to, że zawsze o wiosennej porze „szukaliśmy” w Krakowie Romana Polańskiego. My – czyli publiczność filmowa. To był niemal rytuał. Bo coraz bardziej

pięć lat temu, gdy osobiście zaprezentował cyfrowo odnowioną kopię swojego pierwszego filmu *Nóż w wodzie*. Albo trzy lata temu, gdy w ten sam niespodziewany sposób pojawił się, by promować swój nowy wówczas film *Prawdziwą historię*.

Przypominam te „gry i zabawy”, bo w tym roku bardzo chciałoby się z reżyserem porozmawiać. I nie tylko dlatego, że coraz wyraźniej ma na swoją obronę wyłącznie własną twórczość, ale dlatego, że *Oficer i szpieg*, jego ostatni film, czyli rzecz o „sprawie Dreyfusa”, obraz już słynny, już obsypany nagrodami, dałby prawo do takiego spotkania, bo wyraźnie otwiera nowe myślenie o funkcji sztuki. Tej „w szacie historycznej”. A w Krakowie, w którym według pierwotnego pomysłu miał być nawet realizowany, lubi się o takich filmach rozmawiać. Zwłaszcza bezpośrednio z reżyserem, wysłuchując jego komentarza!

Ale w tym roku nic się nie odbyło. Bo Los Ostateczny pokrzyżował wszystkie plany, zamknął granice, poprzesuwał festiwale, uniemożliwił jakiegokolwiek spotkania, przeniósł całe myślenie o wielkich postaciach sztuki w sferę własnych interpretacji i prywatnych wspomnień. A całą tematykę życia ograniczył do drżenia o każdy nowy dzień.

Już dawno upadł projekt realizacji tego filmu w Krakowie. Ale to dobrze. Bo gdzie w naszym mieście znaleźć tak wielką powierzchnię i przestrzeń, by sfilmować pierwsze ujęcia, czyli publiczny, wykonany w przytomności całej francuskiej armii, wyrok na poruczniku Dreyfusie: symboliczne i rzeczywiste odarcie z czci oficera i żołnierza oraz skazanie go na dożywotnią banicję na wyspie odosobnienia, w najbardziej odległym obozie karnym. Gigantyczny plac Republiki w Paryżu zagrał tu najbardziej patetyczną scenę filmu. I chyba najlepszą w całym dramacie, gdy szczelna, wielka ściana równo i bezdusznie stojącej armii jest zderzona z jednostką, która musi przedefilować przed nią i robi to „sucho”, bez drżenia, choć kończąc mocnym, pełnym prawdy i dumy okrzykiem: „skazujecie niewinnego!”.

Przecież wszystko odbyło się tam, w Paryżu. Wszak tak zwana sprawa Dreyfusa to wstyd i małość Francji. Wrzód na sumieniu, kompromitacja, symbol i metafora. Ciekawe, czy Polański, marzący od lat o nakręceniu tego filmu, chciał wyznać grzech w imieniu

Nie wiadomo nawet, czy mamy teraz jeszcze prawo do innej tematyki i innej emocji w sztuce niż zaraza, choroba, czekanie na koniec? Jak w tym nacisku odetchnąć czymś innym?

niesprzyjająca atmosfera wokół słynnego twórcy, a równocześnie regularnie pojawiające się jego świetne, nowe filmy wywoływały potrzebę poznania, ale i jakiejś czułości wobec małości losu. Chcieliśmy więc do niego dotrzeć.

Często zapraszał reżysera do Krakowa odbywający się o tej porze festiwal OFF Camera, ale zapraszał w sposób „tajny przez poufny”. Dlatego trochę bawiliśmy się z festiwalem. Publiczność szukała reżysera, znając niepisany porządek, że trzeba go wypatrywać na Kazimierzu. Bo jeśli jest, to będzie spacerował po słynnych zaułkach naszej fascynującej dzielnicy z odwiecznym przyjacielem Ryszardem Horowitsem u boku. A jeśli takie poszukiwanie się nie udawało, to z napięciem czekało się na niespodziankę *stricte* festiwalową, że nagle reżyser wejdzie na scenę po którejś projekcji festiwalu, by wywołać wśród publiczności niezmienną burzę zachwytu i radość. Tak było sześć lat temu, gdy otrzymał od Festiwalu nagrodę „dla niezależnych filmowców”, czyli „Pod prąd”. Tak było



swojej drugiej ojczyzny? Kraju, w którym się urodził i w którym zamieszkał po tragicznych perypetiach swojego życia? Czy chciał tu wystąpić jako Francuz? Czy raczej stało się tak, że dostrzegł w tej konkretnej historycznie opowiedzi jej walory uniwersalne, pokazujące relacje między jednostką i władzą? Pewnie to drugie. Wszak wspominał w wywiadach udzielanych w czasie produkcji, że w ten sposób można pokazać podobieństwo historycznej afery do tego, co dzieje się w dzisiejszym świecie: prześladowania mniejszości, absurd środków bezpieczeństwa, tajne trybunały wojskowe, wymykające się spod kontroli agencje wywiadowcze, ukrywanie faktów przez rządy, tworzenie fake newsów i wściekłą prasę.

Są w historii wydarzenia mające wymiar uniwersalny szczególnie w relacjach państwo i prawo, system i jednostka oraz w sytuacji spirali samonakręcającej się nienawiści.

Ale mówił też: „Robienie ze mnie Dreyfusa to absurd. Dreyfus nie wpadł w pułapkę, to była pomyłka sądowa. Ale takie instytucje jak armia we Francji przełomu XIX i XX wieku nigdy nie przyznają się do błędu” („Gazeta Wyborcza”).

Film ma już za sobą nagrody i owacje. Wspaniałe recenzje i uznanie tego dzieła za najlepsze – obok *Pianisty* – jego dokonanie artystyczne.

Pianista dostał w swoim czasie Oscara. *Oficer i szpieg* Oscara nie dostał. Ale jego droga liczy się od ostatniego festiwalu w Wenecji, gdzie został uhonorowany Wielką Nagrodą Jury oraz prestiżową nagrodą FIPRESCI. A potem były następne nagrody, aż do niedawnego Cezara (francuski Oscar), który nie przyznając wprawdzie statuetki filmowi, uznał reżysera za najlepszego twórcę roku, co i tak spotkało się z protestem feministek i ostentacyjnym ich wyjściem z uroczystości. Nawet u nas, w Polsce, w Łodzi, w Filmówce, którą Polański ukończył, a potem rozszłał na cały świat, nawet i tam studenci zaprotestowali przed spotkaniem z reżyserem. I po prostu go nie przyjęli.

Czy możemy się więc dziwić, że dzieło przyjmujemy również poprzez aktualny stan ducha jego twórcy? Bo nieraz przychodzi się właśnie dziełami bronić.

Proces Dreyfusa, francuskiego oficera o żydowskim pochodzeniu, odbył się w 1894 roku. Był dla francuskiego społeczeństwa szokiem, bo oskarżał armię, władzę o świadome posługiwanie się kłamstwem jako regułą polityczną. Oskarżenie francuskiego oficera o zdradę ojczyzny było ewidentną pomyłką

sądową, której nikt nie chciał naprawić. Dopiero pułkownik Piquart, nowy szef wywiadu w armii, ryzykując karierę, znalazł sfałszowane dokumenty, na ich podstawie odkrył prawdziwego zdrajcę i doprowadził po wielkich trudnościach do kolejnych procesów, by wreszcie doczekać oczyszczenia dobrego imienia skazanego. Długo to trwało. Kompromitacją jest i to, że zbyt długo – po kilku procesach, też zasygnalizowanych w filmie.

Sprawa niepokoiła Francję. Artyści przemierzali się, by zaprotestować. Nikt już pewnie nie pamięta, że jako pierwsze zareagowało na tę sprawę kino. I to bardzo wcześnie, bo w 1899 roku, pięć lat po procesie Dreyfusa i, co ważniejsze, cztery lata po wynalezieniu kina! Na dodatek zrobił to artysta, który przetrwał w pamięci kinomanów jako twórca bajek filmowych i sztuczek ekranowych, bawiących się techniką nowej sztuki. To Georges Melies, a jego *Sprawa Dreyfusa* to rejestracja procesu w 11 obrazach i w 13 minutach. Na tylko tyle mógł pozwolić ówczesny stan techniczny nowej sztuki. Ale Melies zrobił to i chwala mu za to!

Jest jednak w tym filmie odnotowana najpoważniejsza reakcja człowieka sztuki: Emila Zoli. Wielki pisarz powieści obyczajowo-społecznych rzucił na szalę (jak wkrótce miało się okazać) cały swój talent i swój autorytet: na pierwszej stronie pisma „L'Aurore” zamieścił obszerny tekst pod znamienym tytułem *J'Accuse...!* (Oskarżam). Oskarżał wszystko: polityczną hipokryzję, antysemityzm... On pierwszy wywołał publiczne trzęsienie ziemi. Pomógł sprawie. Lecz pisarzowi również wytoczono proces – został skazany na rok więzienia, a po trzech latach niespodziewanie, w nie do końca jasnych okolicznościach, zmarł.

Film Polańskiego ma też tytuł *J'Accuse!* Ale to jest tytuł tylko na rynek francuski. W świat idzie pod tytułem powieści napisanej przez Roberta Harrisa, brytyjskiego współpracownika Polańskiego. Oficjalnie film jest adaptacją powieści *Oficer i szpieg*, liczyć się ma zatem na świecie forma złagodzona, gatunkowa. Ale niech nas to nie zwiedzie. Została tu zastosowana ważna reguła: są w historii wydarzenia mające wymiar uniwersalny szczególnie w relacjach państwo i prawo, system i jednostka oraz w sytuacji spirali samonakręcającej się nienawiści.

Co jest potrzebne do wiarygodności takiego modelu? Surowość w pokazywaniu następstwa wydarzeń, brak jakiegokolwiek emocji w akcji, graficzna czystość struktury – tylko tyle. Ale w kinie, które lubi emocje – to prawdziwe mistrzostwo.



Maria Malatyńska – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.

Na tym plakacie widać, jak człowiek w klapkach i szlafroku podchodzi do zalanego wykopu na środku ruchliwej drogi. Następnie rozbiera się i wchodzi do wody popływać. Cały czas pada deszcz.

60. KRAKOWSKI
FESTIWAL
FILMOWY
60th KRAKOW
FILM
FESTIVAL

31.05—7.06.2020
krakowfilmfestival.pl
oglądaj online

Wykop
reż. Andrey Gryazev

Producent:



Współorganizator:



Projekt zrealizowany przy wsparciu finansowym:



Mniejsze niebo

Tekst: Łukasz Maciejewski Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Dał twarz Klossowi, nakręcił *Kolumbów* i *Polskie drogi*, *Do widzenia, do jutra...*, *Trzeba zabić tę miłość* i *Żółty szalik*. Czas przymusowego zamknięcia, czas kwarantanny spędziłem, powracając na DVD do filmów Janusza Morgensterna. Najlepszy wybór.

Wewnętrzny spokój Morgensterna zawsze układał się w radykalnej kontrze do artystowskiego niepokoju jego sławnych kolegów: Wajdy, Polańskiego czy Kutza. Wyciszony charakter reżysera sprawiał, że przez wiele lat Morgenstern pozostawał w ich cieniu, a przecież dzisiaj widać wyraźnie, że jego filmografia w niczym nie ustępuje największym.

Filmy Morgensterna mają klasę. Reżyser portretując ludzi pozbawionych własnego nazwiska (*Mniejsze niebo*), pokazując miłość z podciętymi skrzydłami (*Trzeba zabić tę miłość*) albo beznadziejną walkę z alkoholowym nałogiem (*Żółty szalik*), dobrze wiedział, że w kinie mniej znaczy często więcej. Unikał przesady, hysterii i dezynwoltury. Kino Morgensterna nie było nigdy życiem złapanym w locie ani gazetą codzienną. I chociaż twórca *Godziny W* ma na koncie także kilka tytułów typowo konfekcyjnych (*Jutro premiera*, *Dwa żebra Adama*), niektóre z jego filmów zostały zupełnie zapomniane (*Życie raz jeszcze*, *Potem nastąpi cisza*), a inne ciągle czekają na odkrycie (*Mniejsze niebo*), to przecież właśnie Morgensternowi zawdzięczamy filmowe ocalenie prozy Stanisława Dygata (*Jowita*), jeden z najlepszych polskich seriali w historii – *Kolumbów*, wreszcie kultową serię wszech czasów – nakręconą wspólnie z Andrzejem Konicem *Stawkę większą niż życie*.

Kawalerowicz, Munk, Wajda, Konwicki, Kutz, Polański, Morgenstern – filmowy *dream team* polskiego kina. Większość z nich działała wspólnie. Mieli podobne wspomnienia. Po drugiej wojnie światowej zaczynali wszystko od nowa. Poranieni, zawstyżeni, pozbawieni przeszłości. Zanim Morgenstern nakręcił debiutancki film, długo pracował jako asystent, drugi reżyser, wreszcie dobry duch polskiego kina. Także i na tym koncie ma wiele zasług. To on stworzył Cybulskiego: najpierw nakłonił Andrzeja Wajdę do obsadzenia go w *Popiele i diamentach*, a następnie wymyślił najświetniejszą scenę w polskim kinie: legendarną sekwencję z płonącymi kieliszkami spirytusu.

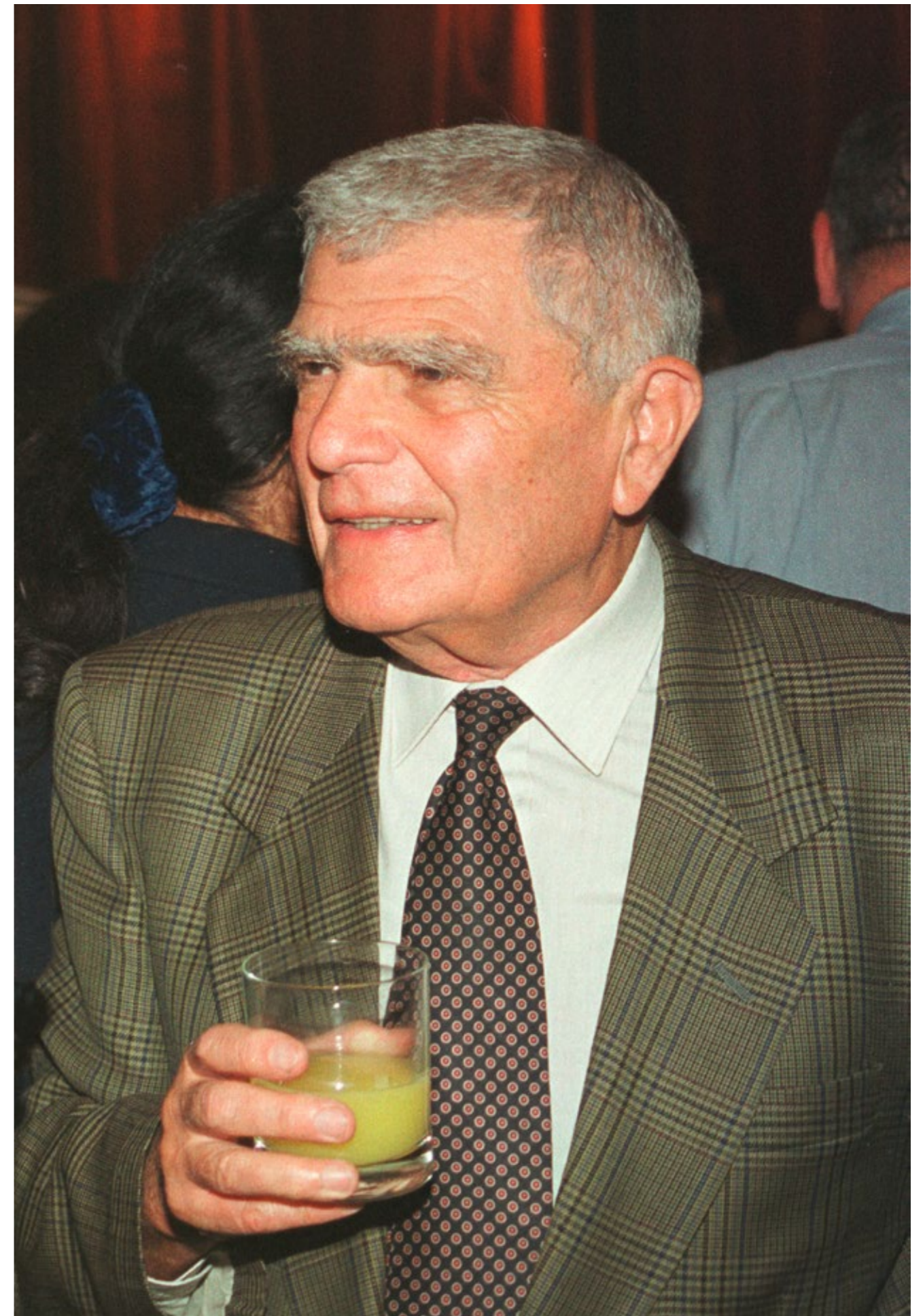
Pierwszym autorskim filmem Janusza Morgensterna było *Do widzenia, do jutra...* (1960). To wyzywający debiut – zanim do Polski trafiły filmy francuskiej Nowej Fali, Morgenstern nakręcił najlepszy rodzimy film „nowofalowy”. W *Do widzenia, do jutra...* młody chłopiec (Cybulski) po prostu zakochał się w dziewczynie (Tuszyńska). Dziewczyna była piękna, młodzi ludzie grali w tenisa, pili szampana i śpiewali piosenki – prawie tak samo jak dzisiaj. Może byli tylko bardziej sentymentalni i trochę zbyt przerażeni – dobrze pamiętali bowiem niedawne czasy, kiedy marzenia były towarem zdecydowanie deficytowym, a spódniczki dziewczyn przykrywały blizny rzeźbione przez „szkło bolesne/obraz dni/które czaszki białe toczy” z wiersza Krzysztofa Kamila Baczyńskiego.

Po kilkunastu latach Morgenstern nakręcił inny, przejmujący film o tym, co mogło stać się z tamtą, powojenną miłością w zupełnie nowych czasach. *Trzeba zabić tę miłość* (1972) według scenariusza Janusza Głowackiego było trafną diagnozą uczuć młodych ludzi, którzy razem z młodością przegrali dojrzałość. Do historii kina przeszła także wspinała finałowa scena, w której dozorca budowy (Jan Himilbach), przywiązuje łądunek trotylu do szyi swojego jedyńskiego towarzysza – psa, po czym ucieka do szopy. Pies oczywiście rusza za nim.

Każdy zabija swoją miłość. Ciągle.



Łukasz Maciejewski – wykładowca na Wydziale Aktorskim Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi. Dyrektor artystyczny festiwalu Kino na Granicy w Cieszynie, ambasador projektu „Kultura Dostępna w Kinach”, kurator filmowy Małopolskiego Ogrodu Sztuki w Krakowie, członek kapituły Paszporty Polityki w kategorii „Film”, członek Europejskiej Akademii Filmowej i Międzynarodowej Federacji Krytyków Filmowych FIPRESCI.





Krakowskie ocieplenie, rys. Andrzej Zaręba

Nasi niezapomniani

Tekst: Mieczysław Czuma

Mieliśmy w Krakowie wspaniałych arcybiskupów...

Taki choćby Albin Dunajewski... Gorący patriota, rewolucjonista, więzień najokrutniejszych katowni. A na koniec kardynał. Stoprzadko spotykany.

W młodości uchodził za jednego z najprzystojniejszych i najelegantszych kawalerów w całej Galicji. Rozkochał w sobie całe legiony kobiet. Gdziekolwiek się pokazał, obsypywany był spojrzeciami pięknych pań. Któreś z takich spojrzeń sprawiło, że wybranką jego serca została pewna młodzieńca i śliczna krakowianka Zofia Doran. Do małżeństwa jednak nie doszło, gdyż kandydat na pana młodego został aresztowany za działalność w organizacjach patriotyczno-niepodległościowych. Osadzony w więzieniu we Lwowie, skazany został na karę śmierci. Wyrok zamieniono później na pobyt w owianym najgorszą sławą morawskim Spielbergu. Rodzice panny Zofii, niepewni losów jej uwięzionego wybrańca, po długich zmaganiach nakłonili wreszcie córkę do związku małżeńskiego z którymś ze statecznych obywateli ziemskich. Naznaczono już datę ślubu, kiedy nadeszła wiadomość o uwolnieniu skazańca. W liście pełnym najwyższych uniesień donosił narzeczonej, że przybywa niebawem po swoje szczęście. Jeszcze tego samego dnia Zofia zażyła truciznę. I to był pierwszy znak przeznaczenia.

Niełatwo było podnieść się po tym wstrząsie. Niedawny więzień praktykował notariat w Krakowie, dyktował redakcji „Czasu”, sekretarował Adamowi Potockiemu z Krzeszowic. I wreszcie znowu los się do niego uśmiechnął. Poznał piękną i mądrą Felicję Szczepanowską. A kiedy już oboje wyznali sobie najgorętsze uczucia, znowu nastąpił kataklyzm. Narzeczona nagle i niespodziewanie zmarła na tyfus. I to był jeszcze jeden, tym razem decydujący już znak. Młodzian utwierdził się w przekonaniu o znikomości szczęścia ziemskiego i postanowił służyć Bogu oraz bliźnim.

Wstąpił do seminarium duchownego w Krakowie, w roku 1861 otrzymał święcenia kapłańskie. Wkrótce powołany został przez arcybiskupa Zygmunta Felińskiego na rektora seminarium diecezjalnego w Warszawie. Podejrzewany o udział w rządzie powstańczym i zagrożony zsyłką na Sybir schronił się w Krakowie. Tu poddany został nadzorowi policyjnemu i karnie przeniesiony na wikariat w Rudawie. Potem, w dobie autonomii Galicji, był już tylko marsz ku górze. Papież Leon XIII mianował go najpierw biskupem, a potem kardynałem. Ten wspierał choćby

Adama Chmielowskiego, późniejszego Brata Alberta, nadał podniosły i uroczysty charakter pochówkowi Adama Mickiewicza na Wawelu, w kazaniach nawoływał do pielęgnowania mowy polskiej. Kraków uwielbiał swojego arcybiskupa.

Samuel Maciejowski, sekretarz króla Zygmunta I Starożytnego, rzecznik łagodnego postępowania wobec innowierców, orędownik dialogu. Zagorzały zwolennik humanizmu, wypróbowany mecenas uczonych i poetów, których gromadził wokół siebie w wybudowanej (rok 1550) rezydencji na Białym Prądniku. Łukasz Górnicki umieścił w jego białoprądnickim dworze akcję *Dworzanina polskiego*, będącego przekładem i adaptacją arcydzieła renesansu włoskiego, którego akcja rozgrywa się na dworze w Urbino.

Adam Stefan Sapieha, nazwany Księciem Niezłomnym. Zezwolił na wawelski pochówek Juliusza Słowackiego i Józefa Piłsudskiego. W latach okupacji hitlerowskiej zwierzchnik Kościoła katolickiego w całym Generalnym Gubernatorstwie. Dzięki niemu Stolica Apostolska wspomagała finansowo działalność Rady Głównej Opiekuńczej. Z własnych funduszy wysyłał paczki do obozów koncentracyjnych. Wielokrotnie interweniował u papieża Piusa XII w sprawie potępienia terroru niemieckiego przez Kościół. Zlecił udzielać chrztu Żydom i wydawać im fałszywe metryki. Z jego inicjatywy rozpoczęto wydawanie „Tygodnika Powszechnego”.

Karol Wojtyła, absolwent i doktor *honoris causa* Uniwersytetu Jagiellońskiego. Aktor, poeta, dramaturg. W czasie okupacji robotnik w kamieniołomie, a potem w fabryce sody Solvay i uczestnik kulturalnego ruchu oporu. Biskup Krakowa, a potem biskup Rzymu. 264 następca św. Piotra. Papież Jan Paweł II, nazwany Wielkim i wyniesiony na ołtarze.

A byli jeszcze i inni. Bo mieliśmy w Krakowie wspaniałych arcybiskupów. Godnych szacunku i niegasnącej pamięci. Towarzyszeli nam przez stulecia w rozmaitych czasach, często trudniejszych od dzisiejszych.



Mieczysław Czuma – profesor krakauerologii, redaktor niehabilitowany.

Niezbędne potrzeby

Tekst: Magdalena Miśka-Jackowska

Czy świat się zmieni? Nikt już o to nie pyta. Pytania są raczej o to jak. Ale mnie męczą sugestie, aby spróbować żyć pod dyktando wyłącznie „pierwszych potrzeb”. Bo co niby mają oznaczać?

Kiedy późną zimą Europa zaczynała chorować, nikt jeszcze nie przypuszczał, jak mocno odbije się to na odbieraniu przez nas sztuki. Owszem, odwołano tu i tam koncerty i parę pokazów filmowych. Mnie samej udało się jeszcze poprowadzić spotkanie przy pełnej sali prawie w połowie marca. Na drugi ogień poszły festiwale – wiele od razu przeniesiono. Pamiętam, jak dyrektor nowojorskiej Metropolitan Opera w przejmującym wystąpieniu poinformowała, że wysyła wszystkich na urlopy i zawiesza wszelką

ogłosił, że będzie grał w kolejne niedziele, w samo południe. Wchodzę tam do niego (chyba to była Warszawa, ale w tym czasie nikt nie dbał o to, skąd, bo wszyscy byliśmy na tej samej chmurze) i co widzę? Marcina w szlafroku. Byłby w tym samym szlafroku pewnie w każdą normalną niedzielę, siedząc sobie przy fortepianie. Miał go na sobie także w tę nienormalną niedzielę. Tyle że były z nim setki innych osób. Urzeka mnie w takich chwilach to, co nie jest przekombinowane, autentyczne. Jeśli wirtualna rzeczywistość pozwala zrzeszać ze sobą ludzi z całego świata, po co udawać? Bądźmy, kim jesteśmy.

Powaliła mnie na kolana akcja, o której nie wiem, gdzie się zaczęła, czy był to Paryż, Amsterdam czy Berlin, to nie jest ważne. Wiadomo, że nuda jest niezbędna w procesie kreacji. Ktoś wskrzesił więc, pewnie z nudów, odwzorowywanie w warunkach domowych słynnych obrazów. Chodziło o to, aby korzystać tylko z tego, co ma się pod ręką. Im więcej metafor w użyciu przedmiotów, tym lepiej. Odwzorowywano i wielkie pejzaże z użyciem kuchennych sprzętów, i znane portrety, w których domownicy sami występowali w rolach bohaterów. To nie było wyłącznie pomysłowe, to było też szalenie zabawne! A śmiech to zdrowie. Kto nie wierzy, niech odzyska zrobiony domowo portret ślubny Arnolfinich.

I jeszcze jedno małe zauroczenie kwarantannowe. Ludzie. Filharmonie z całej Europy zaczęły pokazywać twarze swoich muzyków, którzy na co dzień są po prostu orkiestrą. Nagle rozbili się na uśmiechy, spojrzenia, frak zastąpił dres. Ale talent pozostał niezmienny, nawet gdy grają każdy u siebie w domu, a technika łączy ich w jeden występ. Instytucje w całej Polsce podtrzymują swoją działalność, pokazując współpracowników, kulisy, zapraszając nas do świata od kuchni, skoro i tak wszyscy w niej się znaleźliśmy.

Ze strachem zapytałam niedawno mojego partnera, który zarabia na życie, pisząc muzykę do filmów, czy nie boi się, że umrzemy z głodu. Odpowiedział ze spokojem, że ludzie w dziejach świata, bez względu na okoliczności, zawsze potrzebowali rozrywki. I będą potrzebować. Dla mnie to jest nawet tak zwana niezbędna konieczność.



Magdalena Miśka-Jackowska – autorka wielu programów poświęconych sztuce filmowej, jako konferansjerka związana z licznymi wydarzeniami kulturalnymi w całym kraju, fanka muzyki filmowej i Krakowa.

Pamiętnik pandemiczny: 4 maja 2020

Tekst: Iga Dzieciuchowicz

W poniedziałek 4 maja Nina otrzymała wezwanie na pilne zebranie działu w swojej korporacji. Zwlec się z izolacji nie było łatwo. Na ścianie przy łóżku widać było niebieski ślad od bluzy – Nina opierała się o tę ścianę już dobre dwa miesiące, markując pracę zdalną w charakterze nisko opłacanego dziobaka od copywritingu. Wiadomość wysłał sam prezes, co oznaczało, że nawet klasyczna wymówka w postaci sraczki i zatrucia nie zostanie przyjęta z pełnym zrozumieniem współczuciem. Trzeba było opuścić swój antycovidowy wigwam. Nina rozejrzała się po pokoju i pozbierała wszystkie kieliszki, a potem odstawione w różne kąty butelki. Było tego ze trzy reklamówki. Wytoczyła się z nimi ze swojego mieszkania i weszła do windy. Sunęła przez jeden korytarz budynku, potem drugi. Przed dzwonem na szkło odetchnęła z ulgą. Był wypełniony butelkami po brzegi, obok stały kartony z tymi, które już się nie zmieściły. W jednym widać było szyjkę jacka danielsa oraz bacardi i innych likierów, które kojarzyły się z wakacjami pod palmą. Jednak przez okrągły otwór wylewało się plebejskie fresco i równie przasne browary Łomża. Nina natychmiast rozgrzeszyła się w duchu. Widać było, że wszyscy sąsiedzi tak jak ona już dawno przekroczyli Rubikon i dziarsko zmierzali w stronę wina Tur, a może nawet czystego spirytusu.

Przy lusterku w aucie dyndały trzy maseczki. Jedną zwykłą, drugą uszyta przez seniorów ze Szczurkowej, a trzecia była prezentem z pracy. Z Płaszowa na Biały Prądnik jechało się jak po maśle i to z Beata Kozidrak – na światłach przy Saskiej zaczęła wycić swój przebój *Biała armia*: „To Twoja flaga...”. Przy M1 już rozpoczynała drugą zwrotkę: „Bóg jest z nami, jego prawda jak tarcza Cię ocali”. Niedaleko lkei w końcowych frazach przekonywała, że „Twoja siła to skarb”. Nina zastanawiała się, czy w czasach sprzed pandemii była sterem, białym żołnierzem, żaglem, czy może szalonym wiatrem. Trudno powiedzieć, ale biorąc pod uwagę jej rozwody i kredyty, raczej szalonym wiatrem. Teraz słyszała wyraźnie: „Jesteś zerem”.

Parking przed budynkiem był prawie pusty, więc Nina ostentacyjnie zaparkowała starą hondę na miejscu prezesa Filipowicza, właściciela salonów KIA Motors. Auto było uwalone po sam dach jakimś ostem czy innym mleczem, na tylnym siedzeniu zalegały zimowe koła w liczbie trzech. W czwartym parę dni wcześniej złapała gumę, ale przez wrodzony talent motoryzacyjny przejechała tak jeszcze kilkanaście metrów i wulkanizator z niedowierzaniem oglądał harmonijkę, która kiedyś była felgą. Na szczycie opon wbity był dziecięcy fotelik, które-

go lewa strona wypłowiwała od słońca. Obok tej sterty kłębił się koc oblepiony kocią sierścią. Parkingowy cieć od razu zrozumiał, że coś tu nie gra, ale widząc Ninę gramolącą się z tego ruchomego śmietnika, zrezygnował z pytania o plaketkę.

Spotkanie już się zaczęło. Przy rzutniku stał prezes, obok dyrektorka działu, w którym pracowała Nina. Za stolikiem koło rzutnika w białej bluzce i ołówkowej spódnicy siedziała szefowa działu kadr z uśmiechem, jakby jej właśnie wjechał me-

Trzeba było opuścić swój antycovidowy wigwam. Nina rozejrzała się po pokoju i pozbierała wszystkie kieliszki, a potem odstawione w różne kąty butelki. Było tego ze trzy reklamówki.

fedron. Przed sobą trzymała listę i długopis, a tuż za nią stał długi na kilka metrów parawan, który za chwilę miał odegrać kluczową rolę w tym przedstawieniu. Czterdziestu pracowników wpatrywało się w prezesa z wyrazem twarzy, który przypominał serię wyrobów z tektury.

– Od dziś jesteście wirtualnie zwolnieni. Wasz dział to żart, a żarty w czasie pandemii się skończyły. Będzie restrukturyzacja. Za tym tu oto parawanem wiszą ogłoszenia o pracę – szukamy ludzi na nowe stanowiska i przebudowujemy strukturę tej firmy. Przejdziecie jeszcze raz proces rekrutacyjny. Do jutra na ten adres wyślijcie swoje CV, aplikując na dwa stanowiska. Widełki finansowe w załączniku. Wyniki w poniedziałek. No i nie ukrywam, że nie ze wszystkimi się jeszcze spotkamy – powiedział prezes na jednym oddechu.

Nina nastawiła nawigację na Łobzów. Mieszkał tam ostatni w mieście diler, który miał jeszcze trochę prawdziwej trawy z Holandii.

– Cześć, Arek. Powiedz mi jedno. Palić czy sprzedawać?



Iga Dzieciuchowicz – teatrolożka i feministka. Publikuje w „Dużym Formacie”, „Tygodniku Powszechnym”, portalu Onet.pl i „Codzienniku Feministycznym”. Współautorka książki *Bartoszewski. Droga*.



Tytułowy „osobnikt” z tomu Siwczyka to ktoś w rodzaju współczesnego „everymana”. Osobnikt poety to wyszydzony „każdy”, kto desperacko pragnął być „kimś” przez wielkie „K”. Z wiersza na wiersz tematem przewodnim okazuje się nie sama powierzchowność naszych czasów, ale pogodzenie z ulotnością życia i jakby buddyjskie zanurzenie się w swojej nieistotności. Figury, słowa, którymi opisujemy codzienność, stają się metaforami podróży egzystencjalnej. Świat finansów i biznesu w wierszu Proxy przypomina mitycznego Charona: „*Nasz pośrednik nawalił, słucham z rozbawieniem [...] nasz sprawdzony pośrednik nie jest już nasz, słucham ze zdziwieniem [...] nasz przyszyły pośrednik, słucham z ulgą, wydobędzie z nich prawdę, cena nie gra roli, / jak zawsze, straty są symboliczne, / nie ma znaczenia, komu co mówią.*”

Najmocniejsze frazy pojawiają się w opisach współczesnych umysłów zniewolonych, jak w portretach korpulduzi w wierszach *Nerd* czy *Szybka ścieżka*: „*kurczy się w oczach, wie to, gdy inni patrzą, / może znieść coraz mniej, przydaje się w dziale, / ale myśli, że spadnie niżej, jest gotowy to przyjąć.*” Piękno przemija, lecz nie przemija pragnienie piękna, prawdy, harmonii. Bohater tomu, ten pojedynczy i zbiorowy, pragnie nadać sens istnieniu, choć język nie ocala i nie daje wybaczenia, a „w wiecznym hańgarze trwa transfer”. Zamykająca zbiór jednoaktówka sztucznie odstaje do poprzedzających ją wierszy, wręcz sugeruje, by Siwczyk nie pisał dla teatru. W poezji ma wciąż więcej do powiedzenia.

Jakub Wydrzyński

Krzysztof Siwczyk, *Osobnikt*, Wydawnictwo a5, Kraków 2020.



„Projekt ten musi każdego z widzów nie tylko przychylnie usposobić, ale wprost podbić rozumem rozłożeniem mas, praktycznym podziałem dzielnic, dobrą projekcją komunikacji, a przede wszystkim na wielką skalę i z zamachem artystycznym ugrupowaniem części składowych Wielkiego Krakowa” – pisali w 1910 roku jurorzy konkursu na zabudowę miasta. Ogłosił go prezydent Juliusz Leo, widząc, jak miasto się dusi.

Oto w latach 1909–1912 Kraków z małego organizmu przeobraził się w wielkomiejski. Przyłączono doń między innymi Zakrzówek, Kapelanę, Dębniaki, Grzegórzki, Piaski, Ludwinów, Dąbie oraz Płaszów. W latach 1907–1912 skierowano Rudawę do nowego koryta, rozpoczęto urządzenie bulwarów Wisły (kamienne mury oporowe i wały ziemne), po likwidacji w 1911 roku kolei obwodowej przystąpiono do budowy w tym miejscu reprezentacyjnych Alei Trzech Wieszców jako podstawy Obwodnicy II łączącej Matczyny przez drogowsy (już nie kolejowy) most Dębniaki z aleją 29 Listopada – wylotem na Warszawę. Porządkowanie tego wszystkiego oparto na zwycięskiej koncepcji Władysława Ekielskiego i innych – pierwszym tego typu planie w dziejach urbanistyki polskiej.

Ale Kraków nie byłby Krakowem, gdyby w nagrodzonym II miejscem projekcie nie docenił tego, że „chodzilo autorowi o to, żeby nie narażać miasta (...) na zbytnie koszta”.

Juliusz Leo to jeden z najwybitniejszych polityków Krakowa. Ta książka jest cenną cegiełką hołdu mu składanego. Wstęp napisał prezydent Krakowa Jacek Majchrowski. (wb)

Prezydent Juliusz Leo i Kraków jego czasów (pod redakcją Zbigniewa Nogi), Kraków 2018.



Gombrowiczolodzy wyliczyli, że teksty rozproszone popełnione przez ich Mistrza przynajmniej pod względem objętości dorównują tytułom uchodzącym za kanoniczne, bo *stricte literackie* – zbiorowi opowiadań, „oficjalnym” powieściom i *Opętanym*, trzem dramatom oraz oczywiście *Dziennikowi*. Okazuje się również, że owe – jak to, parafrazując Mistrza, ujął Włodzimierz Bolecki – „teksty drugorzędne” mają często walor absolutnie „pierwszorzędnych”. A bez ich lektury nie sposób pojąć istoty zjawiska „Gombrowicz”.

Zakrojone na trzy tomy nowe wydanie gombrowiczowskich *variów* składa się z form rozmaitych. W wydanym właśnie tomie pierwszym dominują felietony i recenzje – pisane z charakterystyczną przewrotną ironią (zawsze zabarwioną autorskim „ja”, czasami zaś nieskrywaną pewnością swojej racji czy też poczuciem wyższości). A omawia Gombrowicz książki – i zjawiska! – rozmaite: od prozy Wandy Wasilewskiej (momentami chwali!), po manifest artystyczny Jerzego Andrzejewskiego oraz *Wstęp do psychoanalizy* Zygmunta Freuda. Są też jego własne drobiazgi prozatorskie (choćby przezabawny *Dramat baronostwa*), a także szkicowe wersje *Ferdydurke*.

Równie ciekawie zapowiada się tom drugi: pasjonująca może być w nim chociażby lektura polemik z udziałem Gombrowicza oraz napasni na pisarza pojawiających się w prasie PRL, ale także w tytułach emigracyjnych. Tom trzeci przynieść ma natomiast między innymi wywiady prasowe Gombrowicza. (kb)

Witold Gombrowicz, *Varia I*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020.



Raport Stowarzyszenia Nigdy Więcej „Wirus nienawiści: Brunatna księga czasu epidemii” przeraża, choć przecież nie dziwi. Globalna tragedia, którą jest pandemia koronawirusa, miast budzić solidarność, jedynie spotęgowała w Polsce nienawiść i akty agresji wobec ludzi innych ras i narodowości – zaczęli być obwiniani o rzekome roznoszenie wirusa.

Tym ważniejszy okazuje się namysł nad stosunkiem do „przybyszy”, uchodźców i migrantów oraz wszelkiego rodzaju zderzeń kultur – to pod ich znakiem stał będzie zapewne XXI wiek (podobnie zresztą, jak kilka okresów w historii).

Z właściwą sobie brawurową swadą i erudycją temat ten podejmował Umberto Eco – filozof, analityk kultury, pisarz. Zauważał choćby: „Wystarczy, że oddaliśmy się o 50 kilometrów od naszego miasta, abyśmy nagłe uświadomili sobie różnice dzielące nas od naszych sąsiadów – ich dialektałne naleciałości, ich obyczaje, aż po postawy, rysy twarzy i zachowanie. Kusi nas, aby postrzegać różnice jako braki, wady, szpetotę”. Jest coś na rzeczy, prawda? Równocześnie podkreślał: „Wzajemne zrozumienie kultur nie oznacza rozważań nad tym, czego każdy musi się wyrzec, aby osiągnąć równość; oznacza dokładne wzajemne zrozumienie tego, co nas dzieli i akceptację tej różnorodności”. (kb)

Umberto Eco, *Migracje i nietolerancja*, Noir sur Blanc, Kraków 2020.



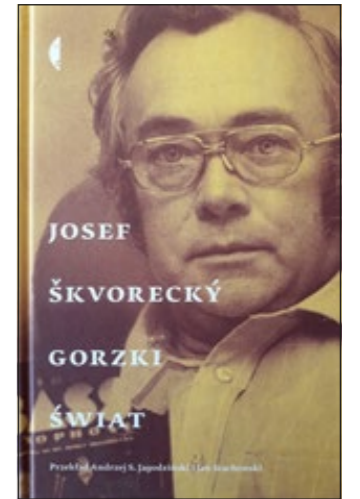
Na początku 1945 roku Jan Marcin Szancer dostał pracę w nowo powstałym wydawnictwie Czytelnik. Został skierowany do Łodzi, gdzie przeniesiono część literacką wydawnictwa. W pokoju łódzkiego Grand Hotelu z Janem Brzechwą ukończyli powieść *Akademia pana Kleksa*. „Pierwszy więc Kleks powstał w pokoju hotelowym – pisał Szancer w autobiografii. – Ta postać ogromnie przypadła mi do serca. Zresztą wracałem do niej wielokrotnie. Brzechwa utożsamiał siebie z Kleksem”.

Każdy z nas może powtórzyć za Grzegorzem Kasdepke: „Gdyby nie oni, dzieciństwo większości z nas byłoby naprawdę szare!”. Oni, czyli ilustratorzy i ilustratorzy bajek wydawanych w epoce PRL. Choć papier był wydechły, kolory blakły, a okładki się odklejały, to te książki dzieciakom dostarczały nie tylko nadzieję, ale budowały ich świat wyobraźni.

Barbara Gawryluk podjęła się opisanie pracy tych twórców z myślą o dzieciach i wnukach – taką składa dedykację. Ale jasne jest, że to również nostalgiczna opowieść dla tych, dla których książka dziecięca i młodzieżowa była ważna. Ferdynand Wspaniały już zawsze będzie wyglądał jak ze ilustracji Kazimierza Mikulskiego, a jeże u Wandy Chotomskiej jak jeże Mięczyńskiego Pokory. A były jeszcze „Świerszczyki” i „Misie” pełne rysunków Bożeny Truchanowskiej czy Hanny Krajnik...

Wielkie też uznanie dla wydawnictwa Marginesy za staranność wydania i mnogość ilustracji. (wb)

Barbara Gawryluk, *Ilustratorzy, ilustratorzy. Motylki z okładki i smoki bez wąsów*, Marginesy, Warszawa 2019.



To proza idealna na czas pandemii – zwłaszcza po lekturze przygnębiających zwykle klasycznych tytułów o dżumach i innych zarazach. Dostajemy oto mocną dawkę zbawiennie stoickiego – czy po prostu zdroworozsądkowego – podejścia do, zwykle przecież, niełatwej rzeczywistości. Tu tyczy ona również niebezpiecznych czasów: nazistowskiej okupacji i stalinizmu. A wszystko doprawione jest szczególnym humorem – subtelnie przewrotnym, często ironicznym, zawsze mądrym i wynikającym ze znajomości życia. Dochodzi do tego pisarska klasa.

Mowa o zbiorze opowiadań Josefa Škvorecký’ego – dziś klasyka literatury nie tylko czeskiej. W Polsce znany z wydanej w PRL chyba przez przeoczenie cenzury powieści *Tchórze* (autor był już na emigracji), a potem z ogłoszonych w obiegu niezależnym *Notatek z autosztambucha* i wreszcie z *Batalionu czołgów i Przypadków inżyniera ludzkich dusz*. Teraz dostajemy 22 perełki (większość po polsku pierwszy raz) z różnych okresów jego twórczości – od lat 50. do 80. ubiegłego wieku. Wyboru dokonał kustosz pamięci Škvorecký’ego (i jego przedni tłumacz) Andrzej S. Jagodziński. Jest o Zagładzie, komunizmie i władzy. Oraz o ludzkich zachowaniach. Jest też – jak to u Škvorecký’ego – o miłości i jazzie.

Dwie frazy z *Mała praska Mata Hari*: „Geraldinka. Miała już chyba ponad osiemnaście lat i wypiękniała. W ciągu minuty umówiliśmy się na randkę”. I: „To głupota, żeby czegoś żałować. Wszystko, co człowiek w życiu zrobi, jest takie już raz na zawsze i nie da się tego zmienić”. (kb)

Josef Škvorecký, *Gorzki świat*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2020.

Łże-dziennik Tadeusza Konwickiego

Tekst: Jakub Wyrzyński

Znak postanowił przypomnieć *Kalendarz i klepsydrę* – silwę Tadeusza Konwickiego z lat 70. ubiegłego wieku. I to w wersji ciekawie wzbogaconej.

Książka, początkowo oceniana, doczekała się najpierw pięciu wydań w wersji niekompletnej. Najpełniejsze autorskie wydanie przygotowane zostało jeszcze za życia autora w roku 2005. W najnowszej edycji *Kalendarza i klepsydry* dostajemy na dodatek swoisty wstęp w postaci wspomnień z podróży po Stanach Zjednoczonych, czyli prawdopodobnie pierwszy popełniony przez Konwickiego łże-dziennik.

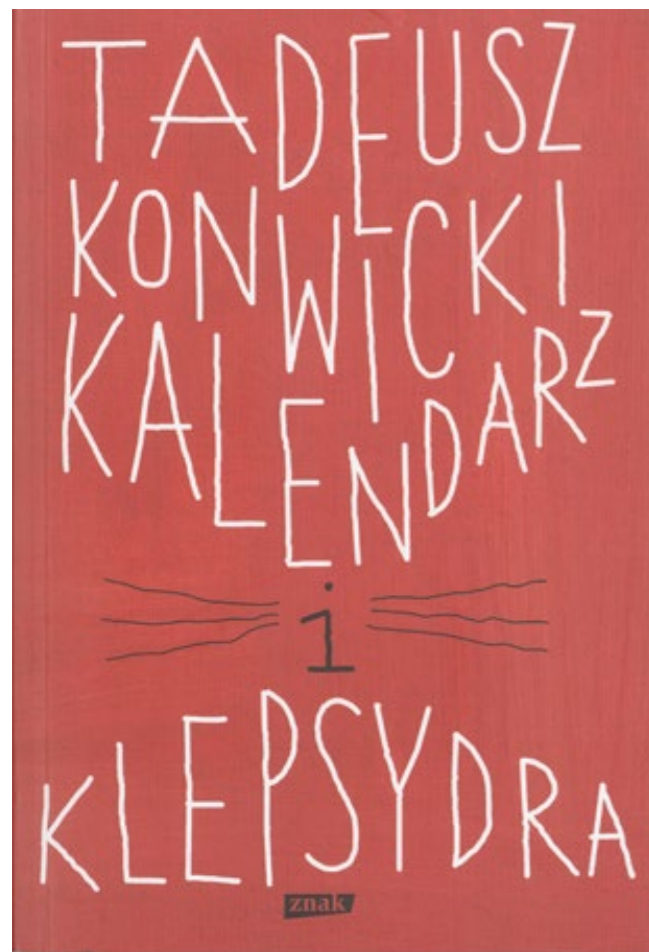
To obraz Ameryki widzianej oczami totalnego outsidera, człowieka zza żelaznej kurtyny, gdzie wypada krytykować imperialistyczny zepsuty Zachód, a jednocześnie Konwickiego przekornego, politycznie niepoprawnego i krnąbrnego. Autor *Kompleksu polskiego* nawet pisząc o „uciśnionych Murzynach”, robi to z sarkazmem typowym dla wysiedleńca z kresów: „Przepraszam znawców zagadnienia, ale moich przodków rów-

nież traktowano nieludzko i eksploatowano bezwzględnie, lecz nikt ze mną dzisiaj się nie cacka z tego powodu”. Młodzi lewacy zapewne zakną nad niegodziwością pisarza, za to znawcy twórczości wilniuka wyczują szyderczy stosunek do rzeczywistości z czasów spełnionej apokalipsy. Konwicki kreśli błyskotliwe diagnozy cywilizacji, ale także gorzko-zabawne obrazki z życia Polonii. I chociaż pyta: „Co mnie upodobiło do tych sióstr i braci nieszczęśliwego Fiodora Dostojewskiego, którzy z rozpacz popadli w nienawiść do Zachodu?”, to nie czyni tego z nienawiścią, ale z rezerwą wobec konsumpcji i powierzchowności USA, kraju pełnego paradoksów i lekko dekadentckiego.

Znajdzie się też coś dla miłośników reportażu. W nowym wydaniu *Kalendarza...* pierwsze zdania ze wspomnianego zbioru *Ameryka, Ameryka* brzmią: „Najbardziej czcigodny jest podróżnik milczący. (...) W naszych uciążliwych czasach pojawili się faceci, których jedynym zawodem jest jeżdżenie z kontynentu na kontynent i publiczne opowiadanie, co widzieli po drodze”. Tak w roku 1973 ironizował pisarz po powrocie z USA. Ciekawe, co powiedziałby na widok dzisiejszych travel-blogerów, influencerów i vlogerów pandemicznie odciętych od świata *last minute*?

W roku 1976 opublikował pierwsze wydanie *Kalendarza i klepsydry* i kontynuując formę silwy, odchodząc od fabuły, dokonał rozliczenia z sobą w wymiarze ideologicznym (młodzieńcza fascynacja socjalizmem) oraz twórczym (nie oszczędzając ani siebie ani ówczesnych literackich sław PRL). Uwieczniona tu galeria osobliwości warszawki epoki Gierka kiedyś wywoływała oburzenie, dziś przypomina o błażości artystycznych mód, przemijalności sławy, pozwala sprawdzić, kto i co oparło się próbie czasu. Kresowiak z Nowego Świata, zmarły w 2015, nie opisze współczesnych lęków, ale jako specjalista od makabry wieku XX ma dla nas gotowe przesłanie: „Wszyscy już dziś mają pełne gęby kryzysów. (...) Ale przecież jednym i permanentny kryzysem jest w ogóle dola gatunku *homo sapiens* na ziemi. Bo ewolucja to kryzys, mutacja to kryzys, trwanie w czasie między życiem a śmiercią to kryzys. Kryzys – nasze anielskie skrzydła”.

Tadeusz Konwicki, *Kalendarz i klepsydra*, Znak, Kraków 2020.



Papież niekoniecznie kanonicznie

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Ilustracja: za zgodą MOCAK-u

Ktoś, kto choć raz w życiu odwiedził jeden ze sklepów czy straganów z dewocjonaliami nieopodal znanych miejsc kultu, zrozumie, o czym mówią artyści, których prace składają się na otwartą w MOCAK-u wystawę *Papież*.

Widziałam już papieża w kuli, na którego spadały płatki śniegu, papieża na blacie zegarka, którego wskazówka zatrzymywała się na czole świętego, a także papieża w formie ogromnego lizaka, z którym z trudem poradziłyby sobie cała grupa przedszkolaków. Obezwładniający kicz wizerunków Jana Pawła II i masowa ich produkcja *made in China*, od dawna prowokowały twórców do krytycznego spojrzenia na płytko pojmowany kult.

Na wystawie dosadnie przedstawił to zjawisko Peter Fuss w pracy *Garden Popes*. Widzimy tu „ogród papieży”, czyli kilkadziesiąt odlewów gipsowych ubranych w różnokolorowe ornaty, które mogą kojarzyć się z ogrodowymi krasnalami. Ich śmieszność i tandeta jest ironicznym sprzeciwem wobec komercjalizacji ważnych dla katolików wartości.

O tym, że papież traktowany bywa jak ikona popkultury, świadczyć mogą fotografie Mateusza Sarzyńskiego. Przedstawiają tatuże, których bohaterem jest święty. Powstały na podstawie znalezionych w internecie zdjęć, które – na życzenie klientów – przeniesiono na ich ciała. W ten sposób stały się dowodem na to, jak można zbanalizować wizerunek osoby duchowej.

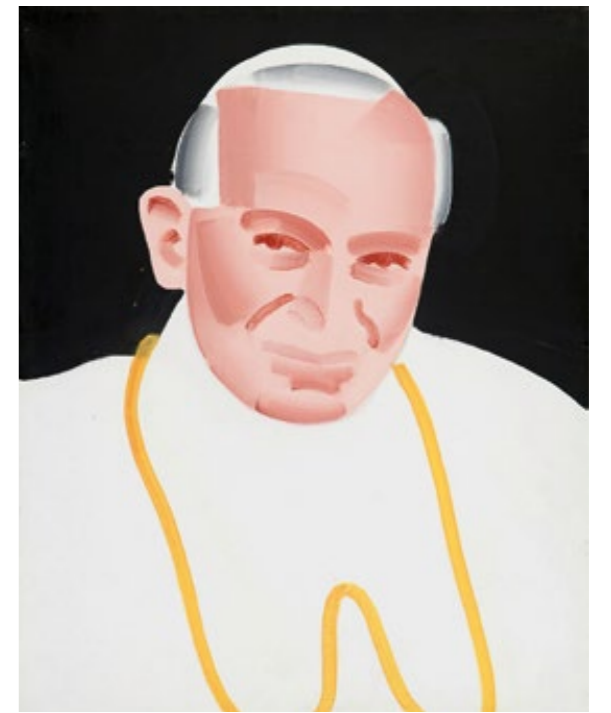
Z kolei Marcin Maciejowski pokazuje, jak sceny kreowane przez media utrwaliły w naszej świadomości obraz papieża. Na płótnie *Z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim i jego żoną Jolantą* widzimy Jana Pawła II w sytuacji, która żywcem wyciągnięta jest z prasowego zdjęcia z audyencji głowy państwa w Watykanie albo z pielgrzymki Karola Wojtyły do Polski.

Podobny temat podejmuje grupa artystyczna The Krasnals, odtwarzając wizerunek świętego, który najczęściej pojawia się w medialnym przekazie. Na obrazie *Papież Jan Paweł II leworęcznie błogosławiący* widzimy jego posągową sylwetkę ze wzniesioną, błogosławiącą wiernych ręką. W tym, że papież podnosi właśnie lewą ręką, krytycy dopatrują się próby nawiązania dialogu między środowiskami lewicowymi a Watykanem.

Niezależnie od możliwości interpretacyjnych, jakie dają pokazywane w MOCAK-u prace, będą one bez wątplenia stały na przeciwnym biegunie planowanej na czerwiec przez Muzeum Narodowe w Krakowie wystawy papieskich zdjęć Adama Bujaka.



Mateusz Sarzyński, bez tytułu, 2017, fotografia, za zgodą Mateusza Sarzyńskiego



Rafał Bujnowski, *Papież*, 2002, olej / płótno, 50 x 40 cm, kolekcja MOCAK-u

Wystawa *Papież* będzie czynna w Galerii Beta w MOCAK-u do 20 września 2020 roku.

Tagebuch spod serca

Tekst: Janusz M. Paluch

Od miesięcy czekała na mnie książka Józefa Barana *Stan miłosny... przerywany. Zapisnik 1988, 2013–2018. To osobista, wręcz intymna opowieść o umiłowaniu życia, które co rusz przerywają problemy lub choroby, wytrącając z normalnego rytmu, z nieświadomej, beztraskiej pogoni za... śmiercią.*

Autor *Zapisnika* ukazuje nader szczegółowo swoje zmagania z chorobą w wymiarze psychicznym, ale i fizycznym, niekiedy wręcz fizjologicznym. Obrazuje trudy codziennej walki z życiem i o życie, pokonywania nieistniejących niegdyś barier. Zwątpienie, bezsilność, cierpienie. Powoli staje na nogi. Pomaga mu w tym twórczość.

I znów wydaje się być nieustraszony, choć przecież zagłada (nie pierwszy raz) kosztuje w oczy. I znów jest mocarzem, choć ma świadomość swego wieku i potworności choroby! To najtrudniejsze, ale i najpiękniejsze fragmenty *Zapisnika*.

Wspominając różne wydarzenia, nie ma litości wobec siebie i „swoich”... Czasem w domu trzasną drzwi... Podniesiony głos

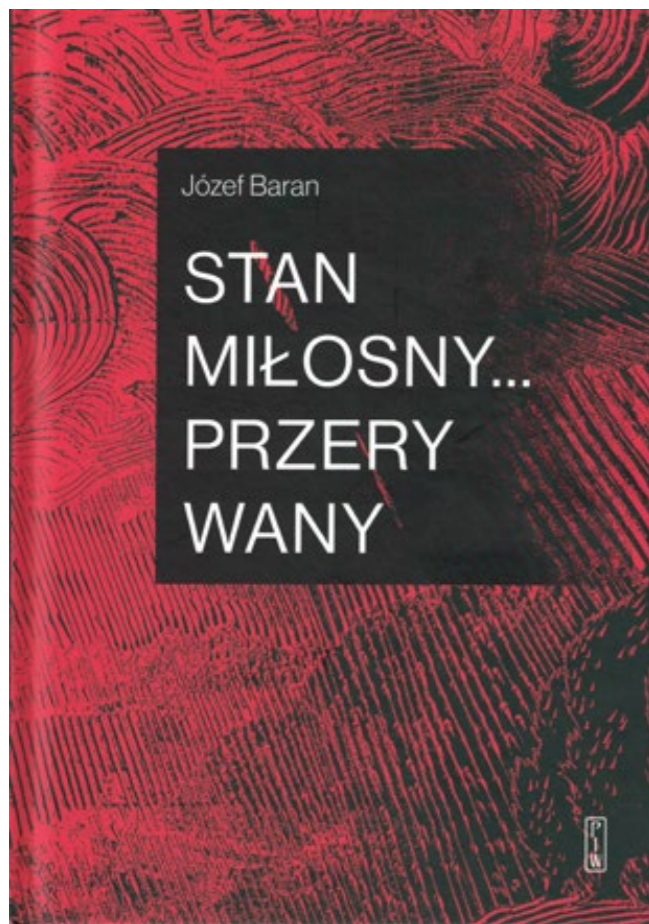
córki „ustawia” poetę: „Świat dla ciebie, tato, był i jest polem walki, walczysz ze wszystkim i wszystkimi, a mnie to niepotrzebne!”.

Przywołuje w książce ważne dla niego postaci ze świata literatury, które miały wpływ na jego drogę twórczą. Z estymą wspomina Artura Sandauera, który jako „największy krytyk” odkrył go, kiedy był „nauczycielem prowincjonalnym!”. Pojawiają się także: Anna Kamieńska – korespondencję z poetką i tłumaczką opublikował Baran na łamach „Twórczości”, Sławomir Mrożek – bogata, bo prowadzona przez wiele lat korespondencja z rodakiem z Borzęcina została opublikowana w książce *Scenopis od wieczności (listy)*. Poznajemy też fragmenty ważnej, bieżącej i już elektronicznej korespondencji literackiej – choćby z Anną Dymną – jedną z najlepszych interpretatorek poezji Barana, poetą Łukaszem Nicpanem czy prof. Charlesem Kraszewskim – poetą i tłumaczem z USA.

W końcu wiersze inkrustujące książkę... Jesteśmy świadkami, jak powstają – od pomysłu, do ostatecznej formy. Książka jest doskonałym podręcznikiem dla wstępujących na ścieżkę literacką. Naturalność przyjaznej i łatwo przyswajalnej poezji Barana potrafi wprowadzić czytelnika w stan euforyczny. Nic dziwnego, wszak – jak twierdzi poeta – „z wierszem jest jak z kobietą – musi działać na twoje serce, na twoją głowę i twoje podbrzusze...”.

Podobnie jak z życiem, które autor porównuje do stanu miłosnego przerywanego chorobami, zwątpieniami, a także pracą nad książką... W każdym z przypadków odpływamy z głównego nurtu codzienności na pobożne, trwamy w trudnym, niepokojącym stanie oczekiwania. Kiedy powracamy do życia, doceniamy jego rytm i miłość bliskich. Jedną z uroczych pielęgniarek opiekujących się poetą w szpitalu dała mu dobrą radę: „Niech się pan nie martwi, co będzie potem... Trzeba nabierać życie małymi łyżkami, myśleć tylko o następnej godzinie, następnym dniu. To od pana zależy, jakimi oczami zobaczy pan świat”. Jakże to brzmi w czasach zarazy...!

Józef Baran, *Stan miłosny... przerywany. Zapisnik 1988, 2013–2018*, PIW, Warszawa 2019.



■ Krakowianie nie pobiegli oglądać Matejki

To była sobota, 9 maja. Niebawem miało minąć dwa miesiące, odkąd zostaliśmy odcięci od wystaw, spektakli, kinowych premier. Z naiwnością wyobrażałam sobie, że do otwartej tego dnia, jako pierwszej po kwarentannie, instytucji kultury ustawią się kolejki. Myślałam, że Sukiennice od rana będą oblegane przez stęsknioną za sztuką publiczność, która skryta za obowiązkowymi maseczkami, będzie karnie i w bezpiecznej odległości wyczekiwała na możliwość wejścia do środka. Wydawało mi się, że krakowianie z zadartą głową będą wpatrywać się w detale obrazów Matejki, ekscytować nowatorstwem Podkowińskiego czy wzruszać nostalgią Chełmońskiego.

Nic z tych rzeczy. W Sukiennicach było tylko kilka osób pilnujących ekspozycji oraz pan z dziećmi, który ewidentnie nie miał pomysłu, co zrobić z potomstwem. Po salach wystawienniczych chodziłam samotnie, zastanawiając się, kiedy ostatnio poświęciłam wiszącym tam dziełom aż tyle uwagi. A daję słowo, że nie był to czas stracony. Choć na co dzień bliżej mi zdecydowanie do innego rodzaju sztuki, to powtórka z historii naprawdę dobrze mi zrobiła. Idźcie w moje ślady, zanim Rynek znów opanują turyści i do *Hołdu pruskiego* trudno będzie się dopchać.

■ Dojrzały artysta patrzy na siebie sprzed lat

Bunkier Sztuki dość szybko poradził sobie z powrotem do normalności, może dlatego że wystawa *Stary Rzepecki patrzy na młodego Rzepeckiego* była przygotowywana od dłuższego czasu. W efekcie od połowy maja możemy oglądać retrospektywę prac Adama Rzepeckiego – artysty związanego z grupą Łódź Kaliska, a od 1990 roku z grupą Stacja Pi.Stacja.

Tytuł ekspozycji jest znamieny. Dojrzały twórca przygląda się na niej sobie sprzed lat. Dlatego została podzielona na dwie części. Jedną stanowią w większości fotografie, które powstawały w latach 70. i 80. ubiegłego stulecia. Możemy zobaczyć tu doświadczenia Rzepeckiego z performansem, jego ironiczną refleksję dotyczącą statusu artysty, a także dialog z dokonaniem takich twórców jak Marcel Duchamp.

Artysta pokazuje też swoje eksperymenty formalne, tak jak choćby w *Dyptyku I*, z serii *Kąt widzenia*. Na jednym zdjęciu widzimy butelki z octem sfotografowane obiektywem standardowym, a na drugim szerokim, co pokazuje, jak można manipulować obrazem rzeczywistości. Artystę do zrobienia tych zdjęć zainspirowały słowa jednego z dziennikarzy BBC, który szukał „prawdziwych” obrazów przewrotu w Angoli. Zadał więc miejscowym pytanie: „Czy jest tu kobieta zgwałcona i mówiąca po angielsku?”. – Chciał mieć osobę mówiącą po angielsku, najlepiej zgwałconą

kobietę, żeby udramatyzować „obiektywną” wypowiedź – mówi Rzepecki, który robiąc swoje zdjęcia poszedł właśnie tym tropem.

Z tą buńczuczną sztuką młodego twórcy dialoguje druga część wystawy. Składają się na nią niedawno powstałe prace, na które wpłynęły osobiste przeżycia artysty związane z przebytą chorobą i procesem zdrowienia. Widzimy tu spojrzenie dojrzałego twórcy na własne życie w kontekście wszechświata i wieczności. Całość wystawy spaja rzeźba *Stary Rzepecki patrzy na młodego Rzepeckiego*. – Twórca stosuje tu ciekawą strategię polegającą na pojawieniu się w dwóch postaciach. Dojrzały artysta konfrontuje się z młodym artystą i pokazuje, że to wszystko, co młody przeczuwał, dorosły już wie – komentuje kuratorka ekspozycji Monika Kozioł.

■ Wawelskie skarby podglądane przed dziurkę od klucza

Gdy ktoś jednak nie chce opuszczać domu, polecamy interesującą akcję internetową Zamku Królewskiego na Wawelu. Pod hasłem #przeddziurkąodklucza kryje się **kilkanaście krótkich filmów**. Muzealnicy prezentują w nich nieoczywiste eksponaty – chociażby wazę apteczną, w której przechowywano antidotum na truciznę. Możemy też poznać tajemnicę biurka pierwszego dyrektora muzeum na Wawelu czy kąpielowy sekret mieszkanca w zamku prezydenta Mościckiego. Wystarczy wejść na stronę wawel.krakow.pl/przeddziurkaodklucza i podglądać do woli.

■ Dom, w którym stukały maszyny do pisania

Gdyby przed laty przyszło nam odbywać kwartanę w Domu Literatów przy ul. Krupniczej, odgłosem, do którego musielibyśmy się przyzwyczaić, byłby dobiegający ze wszystkich mieszkań stukot maszyny do pisania. Liczba książek bowiem, jaka została tam napisana, mogłaby wypełnić całkiem niemałą bibliotekę. Ich autorem oraz miejscu, w którym żyli, reżyser Marek Gajczak poświęcił film dokumentalny *Dom Literatów, czyli kartoteka zebrana*.

Po starej kamienicy oprowadzają nas krakowski scenograf (i autor scenariusza) Jan Polewka oraz dziennikarz Jerzy Kisielewski. Obaj spędzili dzieciństwo przy ul. Krupniczej, a ich ojcowie, Adam Polewka i Stefan Kisielewski, byli sąsiadami, którzy toczyli ze sobą ideologiczne spory, co nie przeszkadzało im się przyjaźnić. Tak jak wielu innym pisarzom, którzy na dłużej lub krócej tu osiedli i prowadzili ożywione życie nie tylko literackie, ale i towarzyskie. Żeby się przekonać, jak ono wyglądało, warto poszukać daty i godziny projekcji dokumentu wśród prezentowanych w internecie obrazów Krakowskiego Festiwalu Filmowego.

Opracowała: Magda Huzarska-Szumiec

Nasza ankieta:

Felietony w dobrym tonie

Co miesiąc w naszych felietonach staramy się, podążając za tematami, które kształtują naszą codzienność, szukać odpowiedzi na najbardziej nurtujące nas pytania. Na całość spogląda nasz redaktor naczelny i „Oknem Beresia” ocenia, czym żyje miasto, Krzysztof Burnetko proponuje analizy „z najwyższej półki”, uzupełniają to regularnie teksty Igi Dzieciuchowicz, Ewy Lipskiej i Jerzego Pilcha. Szukamy jednak dalej i pytamy, co warto opowiedzieć? Co jest istotne? Co Was zainteresuje?

Wasze odpowiedzi pokazują nam, że ciekawych ścieżek nie brakuje. Jak

pisze w liście czytelniczka Pani Anna: „Jak planować w czasach, kiedy nie wiemy, co przyniesie kolejny dzień i tydzień? Jak zdefiniować nową normę? Pracuję w kulturze i potrzebuję inspiracji i motywacji, która pozwoli mi zbudować projekt na nowe czasy”. Spieszmy z pomocą, bo pytania te są nam ogromnie bliskie. Kultura musi być płaszczyzną szukania odpowiedzi na wyzwania, jakie stawia przed nami rzeczywistość, musi być platformą współtworzenia niepewnej dziś przyszłości.

(ng)



Rys. Piotr Błachut

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
KRAKÓW

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Miesięcznik społeczno-kulturalny „KraKów”
Wybierz Kraków!

Nic, co krakowskie, nie jest nam obce

Wydawca: Biblioteka Kraków – dyr. Stanisław Dziedzic. Adres Redakcji i Wydawcy: pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków.

Kontakt: tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: redakcja@biblioteka.krakow.pl

www.miesiecznik.krakow.pl

Pismo tworzą: Jacek Balcewicz, Witold Beres (redaktor naczelny – witold.beres@biblioteka.krakow.pl), Krzysztof Burnetko (sekretarz redakcji – krzysztof.burnetko@biblioteka.krakow.pl), Piotr Błachut, Mieczysław Czuma, Ewa Danowska, Iga Dzieciuchowicz, Zofia Gołubiew, Paweł Głowacki, Krzysztof Jakubowski, Paweł Kopeć, Ewa Kozakiewiczowa, Ewa Lipska, Majka Lisińska-Kozioł, Wojciech Machnicki, Maria Malatyńska, Magdalena Miśka-Jackowska, Magdalena Oberc, Janusz M. Paluch, Jan Piesszczachowicz (redaktor senior), Sylwia Pyzik, Andrzej Romanowski, Anna Stafiej, Katarzyna Siwiec, Magda Huzarska-Szumiec, Elżbieta Wojnarowska, Anna Woźniakowska, Jakub Wydrzyński

Fotografowie: Grzegorz Kozakiewicz, Alicja Rzepa, Piotr Uss Wąsowicz, Danuta Węgiel, Jan Zych.

Layout: Igor Banaszewski

Strona internetowa: Piotr Rachwaniec

Wizerunek pisma i współpraca reklamowa: Edyta Wiśniowska, tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: edyta.wisniowska@biblioteka.krakow.pl

Adiustacja i korekta: Anna Szczepańska-Krasoń, Janusz Krasoń

Druk: Drukarnia KOLUMB

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzega sobie prawo skracania, adiustacji i opracowania redakcyjnego tekstów oraz zmiany ich tytułów. Przedruki tylko po uzyskaniu zgody wydawcy i z zamieszczeniem adresu źródłowego. Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

Polecamy prenumeratę bezpośrednio u wydawcy!

Prenumerata redakcyjna gwarantuje stały i bezpośredni kontakt z naszym czasopiśmie, które nie jest dostępne w każdym kiosku.

Kontakt: Aneta Mastela-Książek
aneta.mastela@biblioteka.krakow.pl,
tel.12/61 89 120

Numer konta na wpłaty na rzecz miesięcznika, w tym na prenumeratę: Biblioteka Kraków,
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków
Numer konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528

Opis: prenumerata miesięcznika Kraków (tu adres wysyłki)

Prenumerata roczna – taniej, pewniej, do domu! (11 numerów, w tym wakacyjny)

– dla odbiorców mieszkających w kraju: **70 zł**
– dla mieszkających za granicą: **190 zł** (poczta priorytetowa, USA, Kanada, Australia) i **150 zł** (poczta zwykła, Europa).

W prenumeracie zamawianej na krótszy okres (np. do końca br.) koszt jednego numeru wraz

z wysyłką wynosi **7 zł** w kraju i **12 zł** za granicą. **Prosimy o podanie adresu, pod jaki pismo ma być dostarczane!** Wysyłka rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dniu wpłaty.

Numery archiwalne: cena wraz z wysyłką – **7 zł** za egz. **Więcej informacji:** www.miesiecznikkrakow.pl, Facebook: <https://www.facebook.com/miesiecznikkrakow/?ti=as>. Ponadto prenumeratę realizują: **RUCH, KOLPORTER, GARMOND** – szczególnie na witrynach internetowych kolporterów.

W sieci kultury

Opracował Piotr Rachwał

KulturaLiberalna.pl

O tym, jak izolacja wpływa na psychikę oraz jak zmieniają się relacje między ludźmi przebywającymi pod zamknięciem, na łamach KulturyLiberalnej.pl, opowiada psychoterapeutka Zofia Miłska-Wrzościńska. <https://kulturalibera.pl/2020/04/28/wymuszona-bliskosc-zmienia-rodziny/>

Wcześniej rodzice mówili do dziecka: „Nie wychodź! Dokąd znowu idziesz?”. Teraz dorosłe dzieci mówią do rodziców: „Jesteś nieostrożna! Czyś ty zariowała? Nie wolno tak robić!”.

(...) W rodzinach prawie każdy ma oddzielną przestrzeń, która wymaga fizycznego bycia poza przestrzenią rodzinną. To zostało teraz w dużej mierze ograniczone. Napięcia, które były w ten sposób rozładowywane, już nie są.

(...) Ostatnio właściwie w co drugim zapisie pojawiało się ze strony pacjenta mniej więcej takie zdanie: „Ja to w sumie z tej pandemii jestem całkiem zadowolona”.

Re: view.pl

Wirus kontra kultura. W serwisie Re: view.pl badacze kultury porównują reakcje na sytuację kryzysową przez przykrymat uwarunkowań kulturowych w poszczególnych krajach.

W sieci lokalnej

Opracowała Barbara Rachwaniec

NaszeMiasto.pl

<https://krakow.naszemiasto.pl/odmrazanie-zwiedzania-mozna-znow-wdrapac-sie-na-wieze/ar/c7-7700385>

Odmrażanie kultury w Krakowie. Serwis NaszeMiasto.pl trzyma rękę na pulsie i informuje, co i gdzie można znowu zobaczyć... na własne oczy.

Coraz więcej atrakcji turystycznych w Krakowie jest znowu dostępnych. (...) Po przerwie związanej z narodową kwarantanną – odwiedzający, spragnieni widoków na miasto z góry wspięli się na Wieżę Ratuszową. Od minionej soboty można też przemierzać wawelską pieczarę – Smoczą

<https://thereview.pl/czy-kultura-zjada-wirusa-na-sniadanie/>

(...) kultury tradycyjnemu otwarte – jak brytyjska, szwedzka czy holenderska – preferują reakcję zgodną ze swoimi wartościami. Być może też tamtejsze władze zakładają, że narzucenie społeczeństwu poziomu izolacji, jaki wprowadzono w Chinach czy Korei, jest po prostu nierealne.

(...) Anegdotalnym, ale dobrze ilustrującym te różnice przykładem jest miasteczko Baarle na granicy holendersko-belgijskiej, w którym – jak podaje „Guardian” – sklepy odzieżowe po stronie belgijskiej zostały zamknięte, a po holenderskiej wciąż są otwarte.

Liberte!.pl

Czy jesteśmy skazani na disco polo? O kulturze na prowincji widzianej z perspektywy Zwierzyńca – kulturalnej perły wśród małych miejscowości – pisze serwis Liberte!.pl <https://liberte.pl/zycie-kulturalne-na-prowincji/>

Na prowincji osoba zajmująca się kulturą może zostać lokalnym działaczem lub „wyrwać się do miasta”, w wyniku czego zrywa najczęściej kontakty z miejscem swojego dorastania. W ten właśnie sposób odbywa się drenaż intelektualny obszarów prowincjonalnych przez duże miasta.

(...) Listę atrakcji kulturalnych Zwierzyńca i okolic mogą rozwijać w nieskończoność. Aktywność w zakresie kultury filmowej, muzycznej czy te-

Jamę. Wszystko to oczywiście na specjalnych zasadach, związanych z epidemią.

GazetaKrakowska.pl

<https://gazetakrakowska.pl/krakow-muzeum-zbiera-opowiesci-mieszkancow-i-pamiatki-z-czasow-pandemii-wlacza-sie-tez-pilkarze-i-szkoleniowcy-wisly/ar/c1-14969178>

Z natury jesteśmy sentymentalni. Wspominamy czasy dobre i złe. Czas pandemii nie będzie tu wyjątkiem. Jak donosi GazetaKrakowska.pl, Muzeum Krakowa zbiera opowieści mieszkańców miasta i pamiątki z czasów pandemii.

Muzeum Krakowa pozyskało już około stu świadectw czasu epidemii koronawirusa w naszym mieście – spisanych opowieści, wierszy, foto-

W następnym numerze:



Nasza Venus

Kobiety okiem fotografa

Włosi w Krakowie

Łomnicki, Szekspir, Wawel

atralnej uzupełnia zainteresowanie przyrodą parku narodowego, który okala Zwierzyńca, oraz historią Zamojszczyzny.

*Ach, czy już pani wie,
Moja pani, moja pani,
Ach, czy już pani wie,
Co się stało na A-B?
Boy*

Opracowała Magda Huzarska-Szumiec na podstawie książki Mieczysława Czumi, Michała Kozioła, Leszka Mazana *To jest Kraków, mości księż!* (wyd. Anabasis)

Collage: Janusz Stefaniak

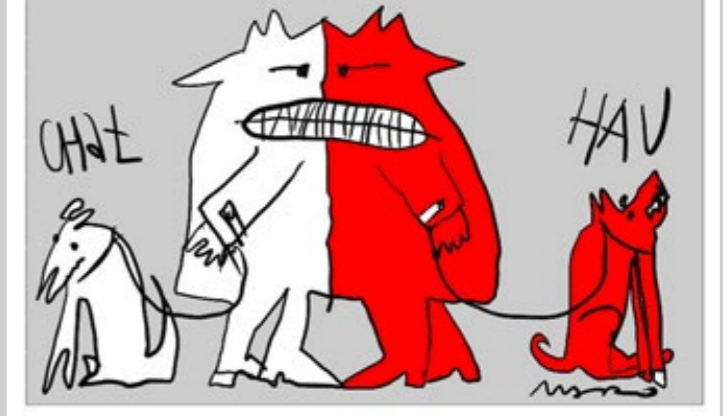
Szajka prasowych szantażystów

24 stycznia 1935 roku w Krakowie rozpoczął się proces tzw. szajki prasowych szantażystów. Na ławie oskarżonych zasiedli: Franciszek Łoboda, Zygmunt Laksberger i Józef Kuczyński. Dowodów na przestępczą działalność tego tercetu miało dostarczyć 75 świadków, którzy zostali przesłuchani w trakcie procesu. A było tak: trzynastcie lat wcześniej Franciszek Łoboda założył tygodnik zatytułowany „Wolne Słowo”. To zrazu niewinne pismo, na łamach którego ukazywały się informacje z życia miasta, ogłoszenia i reklamy, z czasem stało się narzędziem zbrodni. Otóż Łoboda wpadł na pomysł, że na stronach „Wolnego Słowa” będzie zamieszczał niepoehlebne artykuły (dziś powiedzielibyśmy – hejterskie) o bogatych przedsiębiorcach, kupcach, restauratorach i bankierach, a następnie będzie brał od nich pieniądze za opublikowanie sprostowania. Cennik Łobody i jego współpracowników w periodyku wahał się od kilkuset do kilkudziesięciu tysięcy złotych. Poszkodowani w trosce o swoje dobre imię przeważnie milczeli. I dopiero płk. Franciszek Skorupski i kpt. Rudolf Rola-Janicki, dwóch zniesławionych wojskowych, spowodowało, że sprawą zajęła się prokuratura. Wyrok zapadł 5 lutego 1935 roku. Łoboda został skazany na pięć lat więzienia, Laksberger na trzy, a Kuczyński na półtora roku.

Przysnął z trąbką w dłoni

11 maja 1923 roku przybył do Krakowa marszałek Francji Ferdynand Foch. Gościa powitano z najwyższymi honorami, a na śniadaniu u wojewody uraczono go nawet winem i miodem pamiętającym czasy Kościuszki. Następnego dnia odbył się uroczysty bankiet w restauracji „Stary Teatr”, gdzie marszałka znad Wisły – Józef Piłsudski. Nie wiemy dokładnie, jak późny był wieczór, kiedy to marszałek Piłsudski opowiedział marszałkowi Fochowi o hejnalistach, który co godzinę przez okrągłą dobę wygrywa hejnał z wieży Mariackiej. Francuzi, wiadomo, naród muzykalny, więc nasz gość zapragnął, nie bacząc na porę, wysłuchać na żywo krakowskiego hejnalisty. Panowie stanęli więc w okolicach kościoła Mariackiego, wyteżyli słuch i czekali. Być może w oczekiwaniu Piłsudski spoglądał kątem oka na Focha, spodziewając się zachwyty, jaki za chwilę namaluje się na twarzy gościa. Czekają więc, czekają, a tu... cisza. Okazało się, że mający tej nocy dyżur hejnalista Józef Węgrzyn po prostu zasnął. To, że nieszczęsny strażak przeżył następny dzień i wiele kolejnych, zawdzięczał ponoć tylko wstawiennictwu rozbawionego Ferdynanda Focha.

KOMPLETNY BRAK POROZUMIENIA



Rys. Marek Braun

Służąca Kasia cudownie uzdrowia

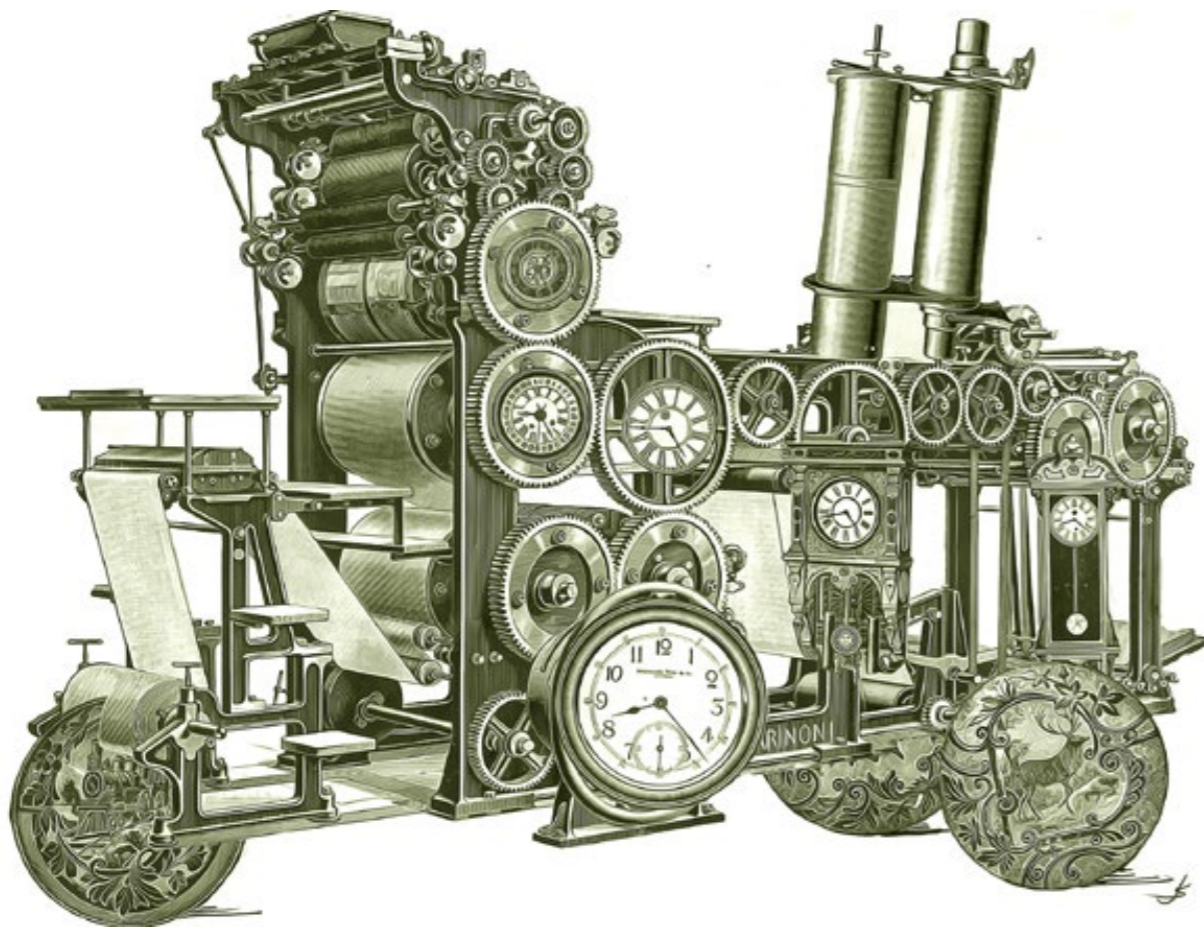
Nie sposób jednoznacznie ustalić, kto pierwszy tę wiadomość puścił w miasto. Faktem natomiast jest, że na A-B w październiku 1932 roku przekazywano ją sobie z ust do ust, szczególnie w środowisku panien służących. Bo też i bohaterka tego hałasu, niejaka Kasia, właśnie z kręgu służących miała się wywodzić. A chodziło konkretnie o jej grób i cuda, do jakich przy nim dochodziło. Ruszyły więc tłumy na Rakowice, by przy mogile służącej Kasi prosić o zdrowie, małżeństwo jak z bajki, bogactwo i co tam kto jeszcze potrzebował. Do grobu przyciskano książeczki do nabożeństw i różańce, a rozgrzebaną ziemię zabierano do domów jako „cudowną”. I trwałoby to pewnie w nieskończoność, gdyby nie zarząd cmentarza mający dość dewastacji nekropolii. Rozpuścił on mianowicie informację, że zwłoki Kasi ekshumowano i wysłano do Rzymu. A była to równie prawdziwa informacja jak ta, że jej grób leczy.

Narodziny diabła!

20 czerwca minie setna rocznica, kiedy to w klinice ginekologicznej przy ulicy Kopernika przyszedł na świat diabeł! Matką czarta miała być 10-letnia dziewczynka pochodzenia (a jakże!) żydowskiego. Diabłatko miało wszystko, co mieć powinno, czyli rogi, kopytka i ogon. Mały bies miał zostać ochrzczony w kościele św. Mikołaja. Dziennik „Naprzód” donosił jednak, że tuż przed przyjęciem sakramentu „błyskawica przecięła obłoki i przeleciała nad kościołem, który trząsł się w posadach”. Diabeł, bojąc się najwyraźniej święconej wody, wierzgał i krzeszał iskry kopytami tak, że należało go przykuć łańcuchami. Budynku kliniki musiało bronić przed grupą starszych pań (nie wiemy, w jakich nakryciach głowy) aż sześciu policjantów. Kiedy nieco poważniejszy „Ilustrowany Kurier Codzienny” napisał, że w istocie narodziło się dziecko z przedłużoną kością ogonową, lud i tak wiedział swoje, oskarżając gazetę o sianie nieprawdy.

Kościuszkowreszcie stanął

Na A-B wciąż pamiętamy o perypetiach pomnika Odsieczy Wiedeńskiej dłuta profesora Dźwigaja. Opisywaliśmy w tym miejscu niewdzięczność władz Wiednia, którym pomnik się nie spodobał i nie stanął tam, gdzie stanąć miał. Tymczasem mamy podobną historię, choć z czasów odleglejszych. Otóż pomnik Tadeusza Kościuszki, ten sprzed wawelskiej katedry, zanim dumnie opromienił historię okolicy, kilkanaście lat przeczekał w pełnej gotowości na dziedzińcu krakowskiej straży pożarnej. Choć trudno w to uwierzyć, właśnie tyle czasu zajęło władzom miasta podjęcie decyzji o lokalizacji postumentu. Najpierw miał stanąć na Rynku, u wylotu Szewskiej. Jednak pomysł ten nie przypadł do gustu Radzie Artystycznej magistratu. Wreszcie 9 grudnia 1921 roku Tadeusz Kościuszkowski dosiadający konia opuścił straż pożarną i stanął tam, gdzie do dziś możemy go podziwiać.



Janusz Stefaniak

Tomasz Westrych, *Dialog* / *Dialog*, celuloza / drewno, 117 x 125 x 39 cm, 2015

Klub Przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”



Zofia Katarzyna Morstin, Kraków
 Magdalena i Piotr Maciukiewicz, Kraków
 Anna Kozłowska i Damian Kalbarczyk, Kraków
 Grzegorz Szymański, Warszawa
 Małgorzata Barońska-Jaguś i Paweł Jaguś, Kraków
 Aleksander Skotnicki, Kraków
 Alicja i Krzysztof Goerlichowie, Kraków
 Beata i Wojciech Starowieyscy, Kraków
 Stanisław Dudzik, Kraków
 Adam Michnik, Warszawa
 Marek Borkowski, Kraków
 Janusz Szerla, Kraków
 Grzegorz Kogut, Kraków
 Robert Barański, Kraków
 Józef Palinka, Warszawa
 Marek Braun, Kraków
 Krystyna Zachwatowicz, Kraków
 Aleksander Herzog, Warszawa
 Marta i Grzegorz Kondrasiuk, Lublin

Jacek Purchla, Kraków
 Artur Wolski, Warszawa
 Kazimierz Sumera, Zawoja
 Lidia Hanusiak, Kraków
 Andrzej Gaworski, Warszawa
 Tomasz Janowski, Kraków
 Józef Opalski, Kraków
 Halina i Leszek Domańscy, Kraków
 Katarzyna Janowska, Warszawa
 Anna i Tadeusz Buczek, Katowice
 Stanisław Bisztyga, Kraków
 Ewa Przyboś-Razowska, Kraków
 Krzysztof Bień, Kraków
 Teresa Bergier, Kraków
 Antoni Legeżyński, Kraków
 Krystyna Socha, Porąbka Uszewska
 Elżbieta Motas, Warszawa
 Jolanta i Jarosław Brudniccy, Kraków
 Iwona Ben, Kraków
 Barbara i Andrzej Jajszczyk, Kraków
 Józef Grudnik, Kraków
 Teresa Prac, Warszawa
 Alicja Jarkowska-Natkaniec, Kraków
 Ewa Rusek, Kraków

Andrzej Wyrobiec, Kraków
 Jarosław Poczykowski, Białystok
 Jadwiga Falkowska, Białystok
 Marcin Barcz, Piaseczno
 Tomasz Langie, Kraków
 Tomasz Majka, Zawada
 Jerzy Zoń, Kraków
 Amelia i Rafał Skąpscy, Jazowsko
 Anna Kosiorkiewicz, Kraków
 Jerzy Hausner, Kraków
 Katarzyna Bilan-Zajac, Kraków
 Monika Gierko-Libicka, Warszawa
 Waldemar Smolski, Kraków
 Rafał Bubnicki, Wrocław
 Adam Opatowicz, Kołbaskowo
 Dominika Dudek, Kraków
 Wanda Chmielowska, Kraków
 Hanna Gajewska-Kraczkowska, Pruszków
 Gerhard Gnauck, Sulejówek
 Wacław Marszałek, Warszawa
 Piotr Krzywiec, Warszawa

Dołącz do Klubu Przyjaciół „KRAKOWA”!

Klub Przyjaciół Miesięcznika „KRAKÓW” to ludzie i firmy, którym bliski jest duch Krakowa i polska kultura. Wystarczy wpłacić raz na dwa miesiące miesięczny 140 złotych (osoby), 500 zł (firmy), a nawet 1000 zł (PRZYJACIELE KULTURY), aby przez rok być wymienionym na liście Przyjaciół Pisma wraz z ewentualnym logo, dostawać

zaproszenia na wszystkie imprezy organizowane przez redakcję, w grudniu otrzymać w prezencie książkę pióra któregoś z Autorów pisma wraz z osobistą dedykacją i oczywiście co miesiąc dostawać kolejny numer „KRAKOWA”! A dla PRZYJACIÓŁ KULTURY czeka uniikatowa reprodukcja grafiki Daniela Mroza!

Wpłaty:

Biblioteka Kraków
 pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3
 31-154 Kraków
 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528
 tytułem: Klub Miesięcznika „KRAKÓW”
 – nie zapomnij podać adresu, na jaki mamy wysłać nasz magazyn!
 Istnieje też możliwość uzyskania tytułu Złotego Mecenasa Promocji „KRAKOWA” – zapraszamy do rozmów.

Ziemia na horyzoncie!

Tekst: Jerzy Pilch

Pamięci Zbyszka Batki

Nie wiem, czy kiedy to czytacie, jest już „po wszystkim”. Czy jest już po nas czy też swobodnie można wyjść z domu i z lekkim sercem własnego dogorywania wypatrywać? Może tak, może nie.

Teraz każdy wariant zdaje się nie do pomyslenia. Czy posłuszne wypełnienie zalecenia kryjącego się pod subtelnym hasztagiem #zostańwdomu przyszło mi z trudem? Raczej nie.

Plusów jest kilka, za to wszystkie mocne. Wczoraj upieklimy pszenno-żytni chleb, długo wyrastał w ciepłe, ale jest. K, której o kreatywność na tym akurat polu przesadnie bym nie podejrzewał, wymyśla coraz to nowe receptury ozdrowieńczych substancji. Czytnik ściąga gazety i książki. I wreszcie aksamitna kanapa koronuje meblowanie domu. Na horyzoncie widzę zarys wyspy pełnej dojrzałych, ożywczych kokosów, których to wodę pijam przynajmniej raz w tygodniu – innymi słowy ekstraklasa wraca z końcem maja. Czego chcieć więcej?

Oczywiście nie stoję z tymi, co wieszczą moralną odnowę społeczeństwa, ani też z tymi, którzy zapowiadają kompletną zagładę, tyle że wedle bardzo stanowczego klucza. Tak jest, widzę tę zagładę – jest z nami od dawna.

Rozpaczliwe reklamy telewizyjne ze wzruszającą muzyką w tle przedstawiają przeciążoną służbę zdrowia w całkowitym rozpadzie, bezradną, acz zwycięską. Polska służba zdrowia mesjaszem służb zdrowia. W grobie leżała i zmartwychwstała dzięki esemesom o treści tej a tej. Szpital, a w zasadzie SOR, jako główne ognisko choroby, pozwala przypuszczać, że statystycznie każdy ranny w wypadku samochodowym zostanie też w gratisie zarażony. Sytuacja nie jest zabawna, jeszcze kilkanaście dni temu – pisane w końcu kwietnia – przy jednoczesnym zakazie wchodzenia do lasu, lekarze mogli pracować w wielu miejscach jednocześnie: szpital, przychodnia, prywatna praktyka, wizyty domowe, nie było wydzielonych izb przyjęć. Nawet w zakazanym lesie się dało.

O czym my tu mówimy? O konkretach – rzecz jasna. Niemal cały poprzedni rok spędziłem w paru warszawskich szpitalach. Opieka zero? Godziny na SOR-rze? Bardzo

Nie stoję z tymi, co wieszczą moralną odnowę społeczeństwa, ani też z tymi, którzy zapowiadają kompletną zagładę, tyle że wedle bardzo stanowczego klucza. Tak jest, widzę tę zagładę – jest z nami od dawna.

proszę. Brak personelu? Proszę? Nie pomogą panie pójść pod prysznic, bo za daleko? Dwa miesiące bez kąpiele? Proszę. Voilà. Spadł pan z łóżka i złamał żebro? Pościel po tygodniu jest naprawdę do wymiany? Niestety, brak łóżka?

Śmieszą mnie alarmy o dramatycznej sytuacji w szpitalach. Kiedy ona nie była dramatyczna? Albo inaczej – kiedy ona była poprawna? Ludzka? Od trzech miesięcy głośno o tym w telewizji, a gdzie ci eksperci, do kurwy nędzy, byli w zeszłym roku? Do szpitala powinno się założyć kombinezon komandosów oraz zabrać cały survivalowy sprzęt. Wolę zostać w domu.



Jerzy Pilch – pisarz, felietonista i kibic.

MNK
MUZEUM
NARODOWE
W KRAKOWIE

KAROL KARDYNAŁ WOJTYŁA

FOTOGRAFIE ADAMA BUJAKA

WYSTAWA OD **19.06.2020**



MUZEUM KSIĄŻĄT
CZARTORYSKICH

MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

ARSENAL MUZEUM KSIĄŻĄT
CZARTORYSKICH

UL. PIJARSKA 8



